



Lorem ipsum dolor sit amet, consectetur adipiscing elit. Aenean commodo ligula eget dolor. Aenean massa. Cum sociis natoque penatibus et magnis dis parturient montes, nascetur ridiculus mus. Donec quam felis, ultricies nec, pellentesque eu, pretium quis, sem. Nulla consequat massa quis enim. Donec pede justo, fringilla vel, aliquet nec, vulputate eget, arcu. In enim justo, rhoncus ut, imperdiet a, venenatis vitae, justo. Nullam dictum felis eu pede mollis pretium. Integer tincidunt. Cras dapibus. Vivamus elementum semper nisi. Aenean vulputate eleifend tellus. Aenean leo ligula, porttitor eu, consequat vitae, eleifend ac, enim. Aliquam lorem ante, dapibus in, viverra quis, feugiat a, tellus. Phasellus viverra nulla ut metus varius laoreet. Quisque rutrum. Aenean imperdiet. Etiam ultricies nisi vel augue. Curabitur ullamcorper ultricies nisi. Nam eget dui.

Lorem ipsum dolor sit amet enim.

Etiam ullamcorper. Suspendisse

a pellentesque dui, non felis.

Maecenas malesuada elit lectus

felis, malesuada ultricies. Curabitur

et ligula. Ut molestie a, ultricies

porta urna. Vestibulum commodo

volutpat a, convallis ac, laoreet

enim. Phasellus fermentum

in, dolor. Pellentesque facilisis.

Nulla imperdiet sit amet magna.

Vestibulum dapibus, mauris nec

Lorem ipsum

dolor sit an

vel cu aeter

argumentu

an sit blan

inacunda,

elit. Etiam nec bla

vulputate

assueverit

ornare eget dictu

eu aliquam ante p

Lorem ipsum dolo

elit. Etiam nec bla

molestie imperdic

ornare eget dictu

eu aliquam ante p

w numerze:

REPORTAŻ:

Szczęście do potęgi siódmej · Dominika Cicha	3
Czas mija z fazami księżycy · Anita Wołos	5
Trzyłatek w sześciu kolejkach · Anna Anklewicz	7
Przemek w krainie szamanów · Małgorzata Micherda	8
Łomnicki, Miller i Spielberg, czyli w poszukiwaniu korzeni · Magdalena Skrzyniarz	10
Wyzbyć się strachu i uprzedzeń · Agnieszka Bukowczan	11
Nauczyć się żyć inaczej · Kinga Łukasik	13
Taniec uratował jej życie · Sylwia Czekaj	15
Marzenia, praca, SM... i ja · Stanisław Cygan	18

ROZMOWY:

Znaleźć słoneczną stronę życia... · Krzysztof Kawik	20
– Pójść do nieba, bo w piekle już byłem... · Dominika Cicha	21
– Gra w teatrze lalek to jak gra na pianinie... · Monika Szymanek	24
– Nasze wyobrażenie o wikingach opiera się na hipotezach i domysłach... · Anna Dawidowska	26
„Fight for your Dreams”, czyli o drodze po sukces · Anita Wołos	28
– Przez lata z pielęgniarek zrobiło się służące... · Katarzyna Sudol	29
– Teraz moje życie stało się nieco spokojniejsze... · Adrianna Szustak	31
– Chcemy rządzić światem · Gabriela Moskała	33
– Zawsze ciągnęło mnie gdzieś w świat... · Ewa Majewska	35
– Jeśli chodzi o powołanie, to nie ma jednej drogi, ale co najmniej dwie: kapłaństwo lub małżeństwo · Mateusz Prochowicz	37
– Nie pieczemy ciast i nie szydełkujemy... · Ariel Żdżyłowski	39

RECENZJE:

Mistrz pierwszego akapitu · Ewa Majewska	40
Uwolnienie, a potem terapia · Izabela Rzepecka	40
Życie pełne śmierci, zemsta przepętniona miłością · Joanna Rakoczy	41
Prawdy i mity o czeskim raju · Małgorzata Micherda	42
Świat widziany oczami kobiety skrzywdzonej · Monika Szymanek	43
To nie jest beztroska opowieść o Polsce i miłości · Sylwia Łukasik	44
Nie istnieje dziennikarski obiektywizm · Stanisław Cygan	44
Ujęcia zamiast rozdziałów · Ariel Żdżyłowski	45

FELIETON:

Zmierzch (super) bohaterów? · Agnieszka Bukowczan-Rzeszut	45
„Oddam w dobre ręce tego przystojniaka” · Izabela Rzepecka	47
Dorastanie na ugorze · Joanna Rakoczy	47
Na tapczanie siedzi leń, czyli ja... · Katarzyna Sudol	48
Prywatność coraz bardziej zagrożona... · Anna Dawidowska	48
Wszystko przez te frytki chrupiące! · Magdalena Skrzyniarz	49
Absurdalność feminizmu · Natalia Przewrocka	49
Ach, te stereotypy! · Sylwia Czekaj	49
Tak, jestem psiarą... · Sylwia Łukasik	50
Wcale nie trzymałam się blisko krawężnika! · Patrycja Świąder	51
Savoir-vivre minus 2.0 · Zbigniew Paszek (gościnnie)	51
Szyncle, czyli kotlety mielone · Adrianna Szustak	52
Co jest z nami nie tak...? · Gabriela Moskała	52
Kilka scen z życia matki pracującej · Anna Anklewicz	52



Szanowni Państwo

W specjalnie przygotowanym (po raz pierwszy) magazynie XYZ przedstawiamy wybrane teksty autorstwa słuchaczy dwusemestralnego kursu nr 8 odbywającego się w Studium Dziennikarskim Instytutu Filologii Polskiej Uniwersytetu Pedagogicznego im. Komisji Edukacji Narodowej w Krakowie w roku akademickim 2015/2016.

To ich pierwszy kontakt z prawdziwym dziennikarstwem, zwieńczenie rocznego pobytu w Studium Dziennikarskim UP obchodzącym w tym roku piękny jubileusz 35-lecia istnienia (sic!), czyli uczestniczenia w wykładach i ćwiczeniach, a także w laboratoriach odbywanych w siedzibach redakcji prasowych, portali internetowych, rozgłośni radiowych i ośrodka Telewizji Kraków.

Podobno dziennikarstwa nie da się nauczyć, ale można nim zarazić, a nawet zafascynować, wskazać mistrzów i ich dzieła. Kadrze wybitnych pracowników naukowych i publicystów chyba to się udało, ponieważ w większości wypadków powstały teksty, których nie powstydziłyby się profesjonalne redakcje.

Jeśli dodać do tego jeszcze aktywność niektórych słuchaczy na huba.news w portalu Interia.pl, to można chyba mówić o pełni zadowolenia i satysfakcji kierownictwa Studium i całej kadry dydaktycznej z racji takiego, a nie innego – niezwykle dojrzałego – podejścia kursantów do obowiązków wynikających z odbywania dwusemestralnych wykładów i warsztatów dziennikarskich.

Gratuluję wszystkim Państwu podjęcia przed rokiem trafnej decyzji o zapisaniu się na kurs dziennikarski, a przede wszystkim szczerze dziękuję za rzetelne podejście do obowiązków sukcesywnie wyznaczanych przez wykładowców.

Efekt? Wydanie na zakończenie kursu naprawdę profesjonalnego pod każdym względem (zawartość merytoryczną tekstów, strona graficzna i ilustracyjna, druk) magazynu XYZ. Proszę się nim chwalić przy każdej okazji. Doprawdy jest czym...

dr Maciej Malinowski
redaktor naczelny magazynu XYZ
kierownik Studium Dziennikarskiego Uniwersytetu
Pedagogicznego im. Komisji Edukacji Narodowej
w Krakowie

PS Wszystkie teksty słuchaczy kursu nr 8 znajdują się na stronie studiumd@www.

35 lat działalności, przeszło 900 absolwentów!



Studiujesz inny kierunek lub nie studiujesz,
ale masz świadectwo maturalne?

NIE MARNUJ CZASU, SKOŃCZ

**DWUSEMESTRALNY
KURS DZIENNIKARSKI**
w Studium Dziennikarskim
Instytutu Filologii Polskiej UP

Nauczysz się warsztatu, poprawisz swą polszczyznę!!!
Zajęcia we wtorki po południu. Niska opłata za semestr

Są wolne miejsca

ZAPISY:

studiumd@gmail.com
www.up.krakow.pl/stud_dzien
tel. 12 662 61 47, 12 662 61 64

Redaktor naczelny: dr Maciej Malinowski.

Zespół: Anna Anklewicz, Agnieszka Bukowczan-Rzeszut, Dominika Cicha, Stanisław Cygan, Sylwia Czekaj, Anna Dawidowska, Sylwia Łukasik, Kinga Łukasik, Krzysztof Kawik, Ewa Majewska, Małgorzata Micherda, Gabriela Moskała, Mateusz Prochowicz, Natalia Przewrocka, Joanna Rakoczy, Izabela Rzepecka, Magdalena Skrzyniarz, Katarzyna Sudol, Adrianna Szustak, Monika Szymanek, Patrycja Świąder, Anita Wołos, Ariel Żdżyłowski.

Kierownictwo działów: reportaży: Leszek Rafalski; rozmowy: Wacław Krupiński; recenzje: dr Sławomir J. Tabkowski; felieton: dr Edward Chudziński.

Redakcja językowa, adiustacja i korekta tekstów: dr Maciej Malinowski.

Opracowanie graficzne (projekt graficzny, dtp): Joanna Sroka (e-mail: joannasroka1@wp.pl). Druk: Grafika – Druk – Reklama Krzysztof Jarosz, 32-060 Cholerzyn k. Krakowa 280.

* Kompozycja ilustracyjna na okładce (projekt: Joanna Sroka) zaczynająca się od słów „Lorem ipsum” jest tekstem składającym się z łacińskich i quasi-łacińskich słów, mającym korzenie w łacinie klasycznej, sztucznie wyeksponowanym (a więc trudno się w nim doszukiwać sensownej treści...) z fragmentu traktatu Cyserona z 45 r. p.n.e. „O granicach dobra i zła” („De finibus bonorum et malorum”). W XVI w. nieznanemu drukarzowi tekst ten posłużył – jako wypełniacz – do zademonstrowania krajów pisma i wyglądu strony drukowanej książki. Można więc od szabloności graficznej sprzed pięciu stuleci uznać za pierwszą makietę z layoutem (red.).

– Sama popatrz na te dzieci.
Czy któregoś mogłoby nie być? Nie!
Wszystkie są potrzebne i kochane...

REPORTAŻ

Szczęście do potęgi siódmej

– Dziecko to zawsze i kłopot, i radość. Ale każdy kolejny model jest jeszcze bardziej udoskonalony – śmieją się Dorota i Krzysztof Janiakowie, rodzice siedmiorożni dzieci.

CHATA W SZCZĘŚCIE BOGATA!

W tym domu nie ma czasu na nudę. Rozalka i Klara znalazły gdzieś „Mózg elektroniczny”, którym bawił się przed laty ich tata, i teraz, skupione, marszcząc nad nim czoła. Zastanawiają się, który z narysowanych liści to liść klonu, a który brzozy.

Daniel pogrywa na gitarze, Michał, tegoroczny maturzysta, stuka w klawiaturę, Julian podnosi doniczkę z kwiatkiem, która właśnie – po raz kolejny zahaczona stopą – przewróciła się na podłogę, a babcia podkręca ukochane radio.

Jasiek i Ela siadają ze mną przy stole, łapiąc się za głowy.

– Fajnie mieć tyle rodzeństwa, ale ten hałas już mnie wkurza! Jak jest ciepło, idę się uczyć na podwórko, ale zimą muszę jakoś wytrzymać – żali się Ela, uczennica Technikum Ekonomicznego.

– Uczę się w hałasie, śpię w hałasie, wszystko robię w hałasie. Nie da się inaczej! – mówi Janek.

– No, to jest masakra! – dopowiada Julek.

Mieszkają w małej miejscowości pod Łodzią. Mają tu do dyspozycji cztery pokoje. Pierwszy w dzień jest salonem, jadalnią, pokojem zabaw, studium muzycznym i halą sportową. W nocy – sypialnią rodziców. W drugim mieszka niepełnosprawna babcia razem z najmłodszą Klarą. Pozostałe dwa to królestwo „starszaków”.

– Marzę o tym, żeby każde dziecko miało swoje biurko i mogło się przy nim rozwijać – mówi mama całej ferajny, Dorota. – Mąż każdą wolną chwilę spędza na remontowaniu piętra. Jutro skończy gipsować, potem weźmiemy się do malowania i położymy panele.

Najmłodsza Klara bierze mnie za rękę i pokazuje, gdzie w nowym, „dziewczyńskim” pokoju będzie stało jej łóżko, a gdzie szafa. Nie może się już doczekać, kiedy zaśnie pod sufitem pomalowanym w gwiazdki. Tak sobie wymarzyła.

Ale na razie jedynym miejscem, w którym można chwilę odetchnąć, jest... zimna piwnica. To tutaj Michał stawiał pierwsze muzyczne kroki, a tata Krzysztof skrywa się czasem, by pograć na puzonie.

MIŁOŚĆ W RYTMIE JAZZU

Po 21 latach małżeństwa Dorota i Krzysztof patrzą na siebie z taką samą miłością, jak w dniu ślubu. A może nawet i większą. Zapytani o przepis na szczęśliwy związek, odpowiadają: – Nie przestawać się sobą zachwycać.

Dorota: – Krzys był kolegą mojej przyjaciółki. Mówiła mi: „Musisz go poznać, bo gadasz tak samo, jak on. Kiedy słyszę, co on mówi, to tak, jakbym ciebie słyszała”. I zaprosiła nas na swoje urodziny. Przyszłam na nie z chłopakiem, ale pomyślałam: „Skoro ten Krzysiek jest taki fajny, to chyba warto go poznać”. Zaczęliśmy rozmawiać. A on cały czas patrzył mi w oczy.

Krzysztof: – Akurat wtedy Pat Metheny nagrał nową płytę „Rejoicing” i chciałem jej posłuchać, a Dorota podeszła i mi przeszkadzała – śmieje się. – Ale pomyślałem, że to w sumie fajna osoba i pewnie mogłoby coś z tego być, gdyby nie fakt, że wtedy nie szukałem dziewczyny.

Wpadli na siebie ponownie po... 10 latach. Na sylwestrze. Ona: 29-letnia pani pedagog. Zdołowana, bo nikt fajny się nie trafia. On: 30-letni muzyk, po 5-letnim związku i odrzuconych oświadczeniach.

Dorota: – Spotkalismy się jako osoby dojrzałe, które chciały założyć rodzinę. We wcześniejszych związkach coś nam nie wychodziło. To nie była wielka miłość z motylkami w brzuchu, choć pisałam o nim wiersze, ale raczej pewność, że to jest człowiek, któremu mogę zaufać i który patrzy w tym samym kierunku. Nie było żadnych wątpliwości.

– Krzys nie był superprzystojniakiem, ale mi się podobał. Pomyślałam: „Fajny facet i tyle”. Jaki był pierwszy komplement, który od niego usłyszałam? „Jesteś strasznie chuda” – wspomina ze śmiechem.

Na zabawie sylwestrowej Krzysztof postanowił poderwać Dorotę na... gitarę. Zgasiło światło i zaczął grać. Wszystko, cokolwiek chciała, choć twierdził, że nie umie.

Po imprezie odprowadził ją do domu. Trzy dni później, 3 stycznia, znów się spotkali. W walentynki padł z kwiatami na kolano. Jak mówią, nie było na co czekać!

Ich narzeczeństwo trwało pół roku. Bardzo chcieli wytrwać w czystości przedmałżeńskej, więc prosili o pomoc Pana Boga.

– Modliliśmy się razem, żeby nie wylądować w łóżku. A że wstydziliśmy się trochę tej modlitwy, klękaliśmy i nic nie mówiliśmy. Wytrzymać było trudno, ale się udało – mówią.

JASNA GÓRA, CZYLI MIODOWY TYDZIEŃ W TRAMPKACH

Ich ślub odbył się w sierpniu, podczas pieszej pielgrzymki na Jasną Górę. Zaprośli wszystkich, którzy tylko przyszli im do głowy, czyli ponad... 500 osób.

– Dzień przed ślubem myślałem, że nic z tego nie będzie, bo moja narzeczoną pokłóciła się ze mną o nocleg. W sumie do dziś nawet nie wiem, o co poszło – śmieje się Krzysztof.

– Chciałeś spać w stodole, a nie z nami! – dopowiada Dorota.

– Byłem naprawdę załamany! Bo jak tu odwołać tych wszystkich gości? Nie było w pobliżu żadnego telefonu – wspomina Krzysztof. ►



Ale ślub się odbył i zabawa weselna była przednia. Ks. Konrad Krajewski, obecny arcybiskup ad personam i jałmużnik papieski, śpiewał „Sto lat” na wszystkie melodie świata. Było też wielkie ognisko z kielbaskami i tańce do upadłego. Na Jasną Górę weszli już jako małżonkowie, w ślubnych strojach i... trampkach.

Miesiąc po ślubie począł się Michał. Nie mogli się doczekać, bo zawsze marzyli, by mieć dzieci. Najlepiej troje.

– *Trochę wam nie wyszło...* – podsumowuje Ela.

– *Wielka by była szkoda, gdyby na trójce się skończyło!* – zapewnia Dorota.

– *Wszystkie nasze dzieci planował Pan Bóg, a nie my. Urodził się Michał, a potem Daniel, Ela, Jasiek, Julek, Rozalka i – 10 kwietnia 2010 r. – najmłodsza, Klara* – dodaje.

RODZINA – SPORT EKSTREMALNY

Prowadzenie takiego domu to nieźle wyzwanie! Rodzice wstają o 5.00 i rozpoczynają dzień od wspólnej modlitwy. Starszaki zwlekają się z łóżek o 6.00, a młodsze dzieciaki o 7.00. Potem szybkie śniadanie, szkoła i przedszkole. Kiedy dzieci są poza domem, Dorota ma czas na domowe obowiązki i zajęcie się 89-letnią mamą, która niedawno miała udar, a wcześniej straciła nogę. Późnym popołudniem, gdy rodzina jest w komplecie, przychodzi moment na rozmowy o szkole i nie tylko, na odrabianie lekcji i zabawę. 21.00 to czas na wspólny kwadrans dla Pana Boga. Jak sobie z tym wszystkim porządzić i nie zwariować?

– *Łatwo nie jest, to pewne, więc czasem trzeba umieć odpuścić* – mówi Krzysztof.

– *Ogarnia się to, co najważniejsze. Zakupy i gotowanie muszą być. Z porządkami bywa różnie...* – dopowiada Dorota.

Ale każdy stara się jak może. Rozalka niedawno nauczyła się cerować skarpetki i teraz dzielnie ćwiczy.

– *Ostatnio byliśmy na kilkudniowych rekolekcjach. Nie mieliśmy z kim zostawić chorej babci. I co? Ela zaproponowała, że zostanie i się nią zaopiekuje. Dobry wynalazek taka Ela* – śmieje się Krzysztof.

Choć nierzadko sobie dokuczają, bardzo się lubią. I bez trudu potrafią wymienić zalety życia w takiej ekipie.

– *Mogę pod przykrywką oglądać z młodymi bajki i nikt nie powie mi, że jestem dziecinny* – śmieje się Daniel, uczeń Technikum Informatycznego.

– *Albo grać w gry dla dzieci!* – dopowiada Ela.

– *Można też powiedzieć komuś: „Mam starszego brata! Jak się nie uspokoisz, to zobaczysz!”* – przekrzykują się.

– *A jak się ich dobrze zorganizuje, to przyniosą ci wszystko, o co poprosisz* – żartuje Daniel.

Dorota by chciała, żeby spędzali razem więcej czasu. Ale dobrze przynajmniej, że siadają wspólnie do sobotnich i niedzielnych obiadów.

CHODZĄCE CUDA

Dorota: – *Każde z naszych dzieci jest cudem, niesłychaną wartością i darem od Boga. Nasze małżeństwo też jest cudem. I dom też.*

– *Nic nie wskazywało na to, że będziemy tak mieszkać. A udało nam się zamienić mieszkanie w blokach na dom z ogrodem. Luksus! Jest komfort, przestrzeń i nadzieja na to, że każdy będzie miał kąt dla siebie.*

O czym jeszcze marzą?

Żeby udało im się znaleźć dobry sposób na to, by zarobić na rodzinę. Może własny interes? Jeszcze nie wiedzą. Dorota pracowała w przedszkolu przez 13 lat. Odkąd urodziła piąte dziecko, zajmuje się domem. Krzysztof był do niedawna kierownikiem sprzedaży w „Ruchu”, ale właśnie go zwolnili. Szuka kolejnej posady.

Krzysztof: – *Ludzie mówią: „O, teraz dostaniecie 500+, będziecie mieć dużo kasy”. To nieprawda. 500+ to szansa, żeby przetrwać. Ale nieprawdą jest też to, że nie opłaca się mieć dużej rodziny. Czy ma się jedno dziecko, czy siódmkę, pieniędzy ma się tyle samo. Czyli się nie ma...*

Dorota ma nadzieję, że dzięki 500+ dzieci w końcu będą mogły rozwijać swoje zainteresowania. Michał chciał kiedyś chodzić na karate, ale na wydatek 60 zł na miesiąc nie było ich stać. Może w końcu pojedą na piękne wakacje.

JACY WIĘC ONI WŁAŚCIWIE SĄ?

– *Wyjątkowi. Już przy pierwszym spotkaniu urzekła mnie ich serdeczność i otwartość. Podziwiam Dorotę, jak to wszystko ogarnia: siódemka dzieci, leżąca mama. Po prostu hardcore. Ale przy tym wszystkim są też niezwykle dobrzy dla innych. Pamiętam, jak kiedyś w rozmowie wspomniałam, że zepsuła mi się zmywarka i w żadnym serwisie nie chcą jej naprawić. Po kilku dniach Dorota dzwoni z prośbą o tę zmywarkę, bo jej znajomym bardzo by się przydała. Powiedziałam, że nie wiem, czy ten grat jeszcze do czegoś się nada. A Dorota na to: „Krzysiek wszystko potrafi naprawić!”. Tak też się stało – pan „złota rączka” i tym razem nie zawiódł ukochanej. Jakie trzeba mieć wielkie serce, by mając tyle swoich spraw, robić jeszcze coś dla innych!* – podkreśla Renata, znająca Dorotę i Krzysztofa.

Kiedy Janiakowie patrzą na siebie – mimo zmęczenia – nie kryją szczęścia.

– *Sama popatrz na te dzieci. Czy któregoś mogłoby nie być? Nie! Wszystkie są potrzebne i kochane* – mówi cicho Krzysztof.

Spoglądam ukradkiem na rozbieganych po kątach Michała, Daniela, Elę, Jaska, Julka, Rózię i Klarę i myślę, że Krzysztof dobrze wie, co mówi.

DOMINIKA CICHA

W górnym rzędzie od lewej:

Ela (17 l.), Michał (20 l.), Daniel (19 l.), Krzysztof, Jan (14 l.).

W dolnym rzędzie:

Julian (12 l.), Klara (6 l.) i Rozalia (9 l.) Janiakowie.



Kobiety zaczynają snuć opowieść.
Wspominają lata, kiedy wszystko było inne,
a sprawy, które dziś wielu ludziom wydają się ważne,
nie miały znaczenia...

REPORTAŻ

Czas mija

z fazami księżyca

Duży pokój. Na ścianach obrazy – po lewej stronie Matka Boska i Jezus ukazujący swoje serce, dalej Matka Boska Częstochowska. Po prawej stronie wielka szafa z ubraniami, a obok niej ozdobny, stary kredens ze złotą zastawą.

W pokoju jest też stół, a na nim gazety. Stoją dwa łóżka. Na jednym siedzi młodsza z dwóch siostr, Maria, obok krząta się starsza, Eugenia. Kończy karmić koty, które traktowane są tu jak członkowie rodziny, wszystko im wolno.

ŁUDZIE BYLI WTEDY WESELSI

W końcu kobiety zaczynają snuć opowieść. Wspominają lata, kiedy wszystko było inne, a sprawy, które dziś wielu ludziom wydają się ważne, nie miały znaczenia.

– Urodziłam się w 1926 roku w Skołoszowie. Mój tato Piotr Łopuszański pracował na kolei. W 1933 roku urodziła się Maria. Zawsze się nią zajmowałam, razem się bawiłyśmy, czytałyśmy i śpiewałyśmy. Pomagałyśmy mamie gotować, prać, sprzątać. Ot, takie zwykłe codzienne obowiązki... – opowiada Eugenia.

Przed wojną Eugenia chodziła do szkoły podstawowej w Radymnie, gdzie skończyła sześć klas. Łopuszańscy mieszkali w małym, drewnianym, starym domu. Nowy z kuchnią i dwoma innymi pomieszczeniami wybudowany został już po wojnie i ślubie Marii.

– W domu, tak jak kilka innych rodzin, mieliśmy wtedy małe radio. Z niego to dowiadywaliśmy się o wszystkich wydarzeniach – wspomina Eugenia.

Franciszka Kędzierska miała młodszego brata, Marcina, który został księdzem. Przed wojną był proboszczem parafii w Jarocinie koło Niska. Eugenia w każde wakacje odwiedzała wuja. Dzięki niemu chciała nawet zostać zakonnicą. Wszczępił w niej miłość do Boga i modlitwy.

NIEMIECKIE CUKIERKI I BANDA DZIKIEGO BYDŁA

Koniec sierpnia 1939 roku. Czuło się, że zbliża się jakiś konflikt, może nawet wojna. Ludzie nie kryli zdenerwowania. 1 września do ich domu zapukał jakiś mężczyzna. Przyniósł ojcu rozkaz stawienia się w wojsku. Po kilku dniach w Skołoszowie pojawiły się wojska niemieckie. W pobliżu domu Eugenii i Marii położonego nieopodal dużej łąki rozbito obóz.

– Nie sprawiali wrażenia złych ludzi. Czasami przychodzili do mamy po jedzenie albo wymienić posiłki, np. za mleko – wspomina Eugenia.

Zdarzało się, że ze zwykłej z ciekawości małe dzieci chodziły, wbrew rodzicom, oglądać pojazdy wojskowe czy też to, w jaki sposób ci żołnierze żyją.

– Niekiedy chodziłam tam i dostawałam od nich cukierki. Kiedyś wracałam od znajomej z Radymna z banką po mleku, byłam w połowie drogi do domu, gdy natknęłam się na wysokiego mężczyznę w mundurze. Najpierw się wystraszyłam, bo szłam sama, a ten zawołał mnie do siebie. Zaczął mówić trochę po niemiecku, trochę łamanym polskim, że w swoim kraju też zostawił małą dziewczynkę, taką jak ja. Mówił o swojej córce, opisywał ją. Wspominał

też o tym, że bardzo za nią tęskni. Po tym wyciągnął całą garść słodczy i wrzucił mi do banki.

Sytuacja radykalnie się pogorszyła, gdy po kilku tygodniach na owe tereny przybyli Rosjanie i rozbili obóz w miejscu, w którym wcześniej stacjonowali Niemcy.

– Wtedy zapanował totalny chaos. Pamiętam, że zachowywali się głośno i wulgarnie, często popijali w namiotach różne trunki – dodaje p. Maria.

– Ludność przyzwyczaiła się do Niemców, Sowieci zaś byli jak „banda dzikiego bydła” – dodaje Eugenia.

RELACJE POLSKO-ŻYDOWSKIE I POLSKO-UKRAIŃSKIE

Przed wybuchem II wojny światowej w Skołoszowie żyły dwie rodziny pochodzenia żydowskiego. Rodzina Foglów miała nieduży dom i prowadziła sklep z artykułami spożywczymi.

– Pan Fogiel słynął z tego, że często dawał ludziom towary na kredyt. Zyskiwał też sympatię dzieci, ponieważ po zakupach dostawali garść łakoci. W pobliżu znajdował się także inny sklep, prowadzony przez Polaka, pana Kaszewskiego. Kiedy mama wysyłała mnie po zakupy, to chętniej chodziłam do Fogla niż Kaszewskiego, bo zawsze częstował mnie cukierkami – wspomina Eugenia. – Bywali jednak i tacy, którzy nie pochwalali tego, w jaki sposób rodzina żydowska zyskiwała sobie klientów. Próbowali wymyślać różne hasła znieważające do zakupów w tamtym sklepie. „Nie chodź do Żyda, bo Żyd cygani, idź do katolika, on sprzeda ci taniej!”

W Skołoszowie mieszkali też Ukraińcy, kilka rodzin. Zajmowali się uprawą ziemi i hodowlą zwierząt. Na wsi ludzie chętnie odwiedzali się w święta, m.in. Bożego Narodzenia.

– Kiedy u nas były święta, Ukraińcy nie pracowali, tylko przychodzili do nas i razem świętowaliśmy. Na ruskie święta czasami razem szliśmy do cerkwi – wspomina Maria.

Po wybuchu wojny relacje Polaków i Ukraińców znacznie się pogorszyły. W dużej mierze było to spowodowane obietnicą daną przez Niemców, że Ukraińcy będą mieli własne państwo po wojnie, dlatego też donosili o sprawach mniej lub bardziej ważnych niemieckim żołnierzom.

– Pamiętam, że kiedy dzieci ze wsi w maju poszły śpiewać litanię loretańską pod figurkę Najświętszej Pani, znajdującą się obok domu Ukraińców, ci wychodzili i krzyczeli, że nie mogą tam przebywać. Jeśli chcą śpiewać, niech idą sobie pod stodołę – mówi Maria.

– W Radymnie była cerkiew, do której pewnej nocy przyszło wielu Ukraińców, aby popoświęcić im broń. Ludzi ci mieli zamiar napadnąć w nocy na domy Polaków i ich pozabijać – dodaje Eugenia.

Niemcy wspierali Ukraińców; pozwalali im urządzać zabawy taneczne; zorganizowali w Skołoszowie przedszkole dla dzieci ukraińskich nazywane „Sadoczekiem.” W latach 1944–1945 polskich Ukraińców ze Skołoszowa wywieziono na Ukrainę, a do ich domów wprowadzili się rodziny Polaków ze Wschodu.

Ludność
przyzwyczaiła
się do Niemców,
Sowieci zaś
byli jak „banda
dzikiego bydła...”

► W 1943 roku Eugenia pojechała na tydzień do wuja Marcina, do Jarocina. Tam pomagała w pracach na plebanii. W tym czasie w jej rodzinnym domu pojawili się Niemcy i zażądali, by w ciągu kilku dni Franciszka lub ktoś z rodziny stawiał się na komisariacie w Radymnie. Eugenia, powiadomiona przez matkę, że musi wracać, pożegnała się z wujem. Nie sądziła, że Marcina Kędzierskiego było dane jej oglądać po raz ostatni...

KIERUNEK: NIEMCY

Eugenia po powrocie do domu zamiast do matki poszła na komisariat. Tam dowiedziała się, że trwają wywózki i wraz z innymi mieszkańcami zostanie wysłana na roboty do Niemiec. Przewieziono ją na stację kolejową i wsadzono do wagonu. Minęło kilka dni, zanim dojechali na miejsce. Ludzie modlili się, żeby to nie był tylko obóz koncentracyjny.

W marcu 1943 roku wraz z innymi przewożonymi ludźmi Eugenia wysiadła na niemieckiej stacji w mieście Cham.

– Ustawiono nas w rzędzie. Wszyscy byli wystraszeni. Chwilę potem przyjechały powozy i furgonetki, z których zaczęli wysiadać młodzi mężczyźni i piękne kobiety, ale także starsi ludzie. Okazało się, że mają oni wybrać sobie po kilka osób, które będą u nich pracować. Wysiadła taka piękna pani ubrana w futro, na włosach miała złotą chustę. Bardzo chciałam, żeby mnie wybrała. Chodziła i chodziła. Parę razy przeszła obok mnie, uśmiechając się przy tym. Jednak mnie nie wybrała. Potem chodził obskurny mężczyzna. Bałam się, że mnie wybierze. Na szczęście poszedł dalej. Do mnie podszedł za to straszny pan i zabrał do siebie – wspomina Eugenia.

Tym mężczyzną okazał się Anton Schwarzfischer. Zabrał Eugenię i jeszcze dwie inne osoby do swojego domu w miejscowości Roding. W dużym gospodarstwie potrzebne były ręce do pracy, gdyż synów mężczyzny wezwano do służby wojskowej. Po przyjeździe wszyscy zostali przydzieleni do pokoi.

– Mieszkaliśmy we trzy. Na gospodarstwie przebywało już kilkoro innych ludzi z Polski i z Czech. Anton miał żonę o imieniu Johan. Małżeństwo traktowało wszystkich przybyłych ludzi bardzo dobrze. Po kilku miesiącach tworzyliśmy prawie jedną wielką rodzinę. Nikt nie chodził głodny. Latem pracowaliśmy przy żniwach, jesienią przy wykopkach, a zimą przynosiliśmy drewno z pobliskiego lasu, żeby ogrzać pomieszczenia.

Dom znajdował się w malowniczym krajobrazie. Na starych zdjęciach, które Eugenia dostała od swoich opiekunów, widać wzgórza porośnięte drzewami, a nieopodal rzekę. Po podwórku biegały zwierzęta, psy, kury, kaczki. Kobieta opowiadała, że dostawali nawet czas dla siebie.

KANDYDACY NA MĘŻÓW

W Roding stacjonowali przez kilka miesięcy amerykańscy i francuscy żołnierze. Z jednym z Francuzów Eugenia bardzo się zaprzyjaźniła. Spędzali razem wiele wolnych chwil. Dogadywali się po niemiecku, gdyż po kilku miesiącach Eugenia nauczyła się tego języka w sposób komunikatywny.

Niestety, krótko po wyjeździe z Roding Francuz zginął na froncie. W pamięci Eugenii pozostał jako dobry przyjaciel, na którego w chwilach samotności mogła liczyć.

O jej rękę starał się także Amerykanin, John.

– Był przystojnym blondynem w mundurze, zawsze o nienagannych manierach. Pochodził z jakiejś dosyć bogatej i szanowanej rodziny. Błagał mnie, bym pojechała z nim do Stanów. Obiecował wspierać rzeczy, o których biedna, młoda i samotna dziewczyna podczas wojny mogła tylko pomarzyć. Nie skorzystałam z jego propozycji, mimo że przychodził przez kilka tygodni z tą samą prośbą. Wołałam wrócić do Polski, do rodziny.

Wysiadła taka

piękna pani

ubrana w futro,

na włosach miała

złotą chustę.

Bardzo chciałam,

żeby mnie

wybrała...

W kwietniu 1945 roku przyszła wiadomość, że Eugenia może wracać do Polski. Zbliżał się koniec wojny. Nie obyło się bez łzawego pożegnania. Johan zapewniał Eugenię, że ta może na nich zawsze liczyć i że jeśli będzie chciała wrócić, to w każdej chwili może ich odwiedzić.

Anton do końca nie krył zawodu, że Eugenia nie chciała poślubić jednego z jego synów. A ona? Toczyła ze sobą wewnętrzną walkę. Z jednej strony chciała wracać do domu i marzyła o tym, by po dwóch latach spotkać się z rodziną, jednak z drugiej było jej żal opuszczać ludzi, których zdążyła już traktować jak własną rodzinę. Było jej tam dobrze, nie cierpiała głodu czy też z powodu działań wojennych. Postanowiła jednak wrócić.

POWRÓT

Kilka tygodni przed wyjazdem dostała list z informacją, że zmarła jej ukochana mama. To był dla niej cios. Nie zdążyła się z nią pożegnać. Nie tak to miało wyglądać.

– Najpierw wujek, potem mama. To utwierdziło mnie w przekonaniu, że decyzja o powrocie jest słuszną.

Musiałam się zająć siostrą, która miała raptem 12 lat – mówi Eugenia.

Po kilku dniach dotarła do Skołoszowa. Wracała ze stacji polami. W domu czekała na nią siostra. Maria zajmowała się po śmierci matki całym gospodarstwem. Czasami pomagał jej ojciec, który wrócił z frontu. Jakis czas po śmierci żony znalazł sobie inną kobietę, z którą zamieszkał niedaleko domu córek. Relacje z ojcem się oziębły, a macocha znana była we wsi jako czarownica.

Eugenia i Maria mieszkaly w starym domu i radziły sobie we dwie.

Eugenia czasem, już po latach żałowała, że nie wyjechała do USA z przystojnym żołnierzem lub też nie została w Niemczech. Nigdy nie wyszła za mąż.

Tłumaczyła się, że zawsze chciała iść do zakonu, ale wybuchła wojna. Potem wróciła i zajmowała się Marią. Kiedy ta wyszła za mąż, nadal mieszkali w jednym domu.

– Czas mija z fazami księżycą – nostalgicznie puentuje swoje minione lata, w których nie brakowało ani pięknych, ani tragicznych chwil.

Odnoszę jednak wrażenie, że w jej życiu jest jakaś tajemnica. Może nie wyszła za mąż, ponieważ kochała kiedyś tak bardzo, że nie potrafiła pokochać kogoś bardziej?

W dokumentach trzyma stare fotografie rodziny gospodarza z Niemiec. Na zawsze w jej wspomnieniach zostali ukochany wuj Marcin, o którym opowiada że łzami w oczach, oraz matka, z którą nie zdążyła się pożegnać, a która umarła „ze zgrzyoty” jako młoda kobieta.

Może najbliższej tej tajemnicy są słowa pisarki Paulliny Simons: „Idziemy przez ten świat samotnie, ale jeśli mamy szczęście, to przez jedną chwilę należymy do kogoś i ta jedna chwila pozwala nam przetrwać całe wypełnione samotnością życie”.

ANITA WOŁOS



- Ile w naszym kraju jest takich matek jak ja, ile dylematów i wyrzeczeń przed nimi stoi? Zwyczajnie i po ludzku bardzo im wszystkim współczuję... - mówi p. Cecylia, matka trzyletniego syna, dla którego z wielkim trudem znalazła przedszkole

Trzylatek w sześciu kolejkach

„Takie będą Rzeczypospolite, jakie ich młodzieży chowanie” – mawiał Jan Zamoyski, wielki hetman koronny Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Mimo że od tamtego czasu upłynęło przeszło 400 lat, owa sentencja nic nie straciła na aktualności.

Dotyczy także edukacji przedszkolnej, bo przecież od wychowania i kształtowania postaw małego dziecka w dużym stopniu zależy, jakim będzie człowiekiem w dorosłym życiu.

Ale jak zdobyć miejsce w przedszkolu dla trzylatka? Okazuje się, że urasta to do problemu nie lada..

Synek Cecylii Kalinowskiej, uśmiechnięty blondynek o niebieskich oczach, uczęszcza do samorządowego żłobka w Skawinie. Czuje się tam dobrze, jednak w grudniu tego roku skończy trzy latka, co oznacza, że od nowego roku szkolnego straci prawo do żłobka. Musi się więc rozwinąć w przedszkolu.

W Skawinie funkcjonuje sześć przedszkoli samorządowych, ale wnioski można było składać jedynie do trzech wybranych.

W pierwszej kolejności pani Cecylia wybrała się do Samorządowego Przedszkola nr 6, placówki dobrze znanej, gdyż mieszczącej się w tym samym budynku, co żłobek, do którego zaprowadza synka. Ponieważ jest zadowolona (kompetentny personel, własna kuchnia oferująca zbilansowaną dietę i duży piękny plac zabaw z ogrodem z tyłu budynku), miała nadzieję, że z równie dobrą opieką zetknie się w tym przedszkolu i że jej dziecko zostanie przyjęte.

Nadzieję ostudziła informacja dyrekcji, że wniosek p. Cecylii jest 64. w kolejce, a wolnych miejsc dla nowych dzieci przygotowano zaledwie dziesięć.

SZEŚCIOLATKI ZOSTAJĄ W PRZEDSZKOLACH

– Dyrektor wyjaśniła mi, że problem z zapewnieniem miejsc w przedszkolach dla trzylatków dotyczy całego kraju i jest wynikiem nowelizacji ustawy o systemie oświaty, która weszła w życie na początku 2016 r. Ponieważ zniosła ona obowiązek szkolny dla dzieci 6-letnich, większość rodziców zdecydowała się zostawić swe pociechy w przedszkolach, co spowodowało drastyczne obniżenie się liczby wolnych miejsc dla trzylatków – wyjaśnia p. Cecylia.

Jak wynika z szacunków Ministerstwa Edukacji Narodowej, około 80 procent sześciolatków zostaje obecnie w przedszkolach, co może wpędzić w tarapaty setki tysięcy rodzin.

Jeszcze tego samego dnia p. Cecylia wybrała się do Samorządowego Przedszkola nr 3.

– Słyszałam, że mają rozbudowany program zajęć dodatkowych, w tym wycieczki, spektakle i język angielski dwa razy w tygodniu. Dzieci koleżanek chodzą już tam i są bardzo zadowolone. Stąd moja i męża decyzja, by spróbować zapisać synka do tej placówki.

Podczas rozmowy zdystansowana pani dyrektor poinformowała mnie, że w placówce jest tylko 15 miejsc, i jednocześnie pokazała gruby segregator z podaniami złożonymi przez rodziców – opowiada Cecylia. – Czułam, że sytuacja robi się coraz bardziej napięta, ale musiałam działać dalej.

W Przedszkolu Samorządowym nr 5 p. Cecylia została zarejestrowana pod numerem 62., a było tylko siedem wolnych miejsc. Jednak spośród wszystkich wspomnianych placówek na tym przedszkolu zależało jej najmniej. Znajdowało się dość daleko od domu i na dodatek w niezbyt dobrej dzielnicy, gdzie łatwo się natknąć na grupy pseudokibiców.

W NIEPUBLICZNYCH NADZIEJA

Zaniepokojona trudnościami, p. Cecylia zaczęła rozważać możliwość zapisania dziecka do przedszkola niepublicznego. Nie zrażał jej fakt, że czesne wraz z wyżywieniem jest tam większe nawet o 500 zł w porównaniu z przedszkolami samorządowymi, w których przeciętne opłaty wynoszą około 300 zł za miesiąc.

– Nie wyobrażam sobie, aby z powodu zmian prawnych mój synek był zmuszony do rezygnacji z edukacji przedszkolnej, nawet za cenę wyższego czesnego – postanowiła p. Cecylia.

Niepubliczne przedszkole o ładnie brzmiącej nazwie „Bajkowa Kraina” w pierwszej chwili nie wzbudziło jej zachwytu. Mały, ciasny budynek, jedna sala o powierzchni nieprzekraczającej 40 m² przeznaczona do zabawy, leżakowania i jedzenia, wejście bez wiatrołapu i personel sprawiający wrażenie zdunzonego swoją pracą...

Mimo to zdecydowała się wypełnić wniosek. Zdziwiła się jednak, gdy usłyszała, że dokonując wpłaty wpisowego w kwocie 300 zł, jeszcze przez zawarciem umowy z przedszkolem, uzyskuje jedynie gwarancję miejsca w placówce.

Integracyjne Przedszkole „Parkowe Skrzaty” kusilo za to lokalizacją tuż obok dużego, pięknego parku.

– Po kilkunastominutowej rozmowie z wyjątkowo niesympatyczną kobietą, której kolor ostrej, czerwonej szminki pamiętam do dziś, okazało się, że najprawdopodobniej przedszkole w ogóle nie uruchomi rekrutacji.

Ostatnim ratunkiem miała się okazać „Mała Akademia Montessorii”. Już z zewnątrz budynek wydał się p. Cecylii przyjazny. Ciemnozielone ramy okien oraz dym leniwie snujący się z kominu sprawiały wrażenie chatki z bajki, a małe, gustowne mebelki i przestronna szatnia tworzyły przyjazną atmosferę.

Na spotkanie Cecylii wysłała młoda, miła dyrektorka i udzieliła wyczerpujących odpowiedzi na wszystkie pytania, po czym zaprosiła na spotkanie informacyjne dla rodziców w następnym tygodniu.

– Na początku przybliżyłam nam ideę Marii Montessorii, której główne motto brzmi „Pomóż mi zrobić to samemu”. Istota tej pedagogiki zakłada, że każde dziecko jest inne, a zatem powinno rozwijać się według swoich możliwości, kompetencji i umiejętności, nauczyciel zaś pomaga dziecku w rozwijaniu indywidualnych cech osobowości. Czymś zupełnie zaskakującym było dla mnie wprowadzenie dorosłych w świat dziecka. Małe koraliki, kamienie, drewno mające ułatwić dziecku poznanie świata wypełniały dwie sporych rozmiarów sale w pełni oddane do dyspozycji dzieci. Zaścisnęłam za takim światem – opowiada Cecylia. – Światem pozbawionym cywilizacyjnej sztuczności, zabawek z plastiki i wszechobecnej chemii w każdym z produktów. Zapragnęłam, by mój synek uczęszczał do tego przedszkola. Ogarnął mnie spokój, wszystko zaczęło się układać w logiczną całość.

Niestety, przedszkole miało tylko trzy wolne miejsca dla nowych dzieci.

LIŻY BEZSIŁNOŚCI

Minęło kilka pełnych napięcia i niepewności tygodni i w końcu ogłoszono wyniki rekrutacji. Niestety, sprawdziły się najgorsze obawy p. Cecylii: jej synek nie został przyjęty do żadnego przedszkola: ani samorządowego, ani prywatnego.

– Czy wie pani, jak czuje się matka, która w uczciwy sposób chce zapewnić dziecku edukację przedszkolną, a nigdzie nie ma dla niego miejsca? Nawet w przedszkolach niepublicznych – żali się Cecylia. – Proszę mi wierzyć, że w dniu, kiedy zostały podane do publicznej wiadomości wyniki rekrutacji, po prostu się popłakałam. Z nerwów, emocji i bezsilności. Nie mam w pobliżu mamy ani teściowej, opiekunka do dziecka też odpada, bo kosztuje majątek. Pozostanie mi chyba rezygnacja z pracy.

Niespodziewanie pojawiło się maleńkie światełko w tunelu. Dyrekcja żłobka, do którego obecnie uczęszcza dziecko p. Cecylii, widząc problem i chcąc pomóc zdesperowanym rodzicom, dała możliwość pozostawienia dzieci urodzonych w 2013 roku na jeszcze jeden rok. Nie wiadomo jednak, czy dla wszystkich wystarczy miejsc. Cecylia musi czekać na decyzję...

– Zaczęłam się zastanawiać, ile w naszym kraju jest takich matek jak ja, ile dylematów i wyrzeczeń przed nimi stoi. Zwyczajnie i po ludzku bardzo im wszystkim współczuję... – kończy p. Cecylia.

ANNA ANKLEWICZ

PS Personalia bohaterki zostały zmienione

Przemek w krainie szamanów

Nie pojawił się na wyznaczonym spotkaniu w Urzędzie Pracy, bo za namową swojej dawnej znajomej, Lidii Kazen, szefowej TTV, właśnie tego dnia ze starą, niemodną kamerą ruszył w Polskę, aby przygotować dokumentację do programów mających powstać na podstawie jego pomysłu. Tak rozpoczął szaloną wędrówkę, która przyniosła mu popularność, blizny, szansę na wyleczenie prostaty i odnalezienie gromadki swoich niesłubnych dzieci.

O Przemysławie Kossakowskim już od chwili jego pojawienia się na ekranie było w mediach głośno: pisano, że zrobił karierę od „bezrobotnego, bez zasiłku i koneksji” do „gwiazdy telewizyj”. Że wcześniej był utalentowanym malarzem, któremu w pewnym momencie zabrakło natchnienia, co zmusiło go do różnych zajęć, łącznie z tatuowaniem świń.

*

Po debiucie reporterskim przyszedł czas na debiut literacki. W sprzedaży pojawiła się książka „Na granicy zmysłów” i to jej promocja przywiodła Kossakowskiego do Andrychowa.

Na zewnątrz sporo osób tarasujących wejście. Przede mną dziewczyna trzymająca w dłoni bilety.

– Jeszcze nie wpuszczają? Przecież już po wpół do szóstej – zagadnęłam.

– Spóźnili się i ustawiają sprzęt. Nie chcą, żeby im ktoś przeszkadzał – odpowiedziała.

W końcu drzwi zostają otwarte, a sala błyskawicznie się zapęlnia.

*

Przemek „Kosa” Kossakowski po powitaniu poinformował, że jego spotkania z publicznością nie mają sztywnego scenariusza, dlatego za każdym razem są inne.

– Są niespodzianką również dla mnie, bo zdjęcia będące inspiracją do opowieści wybiera towarzyszący mi „moderator”, czyli podróżujący ze mną kolega – także Przemek.

Siedzący przy komputerze moderator o imponujących dredach okazał się twórcą i szefem Gryfińskiego Festiwalu Miejsc i Podróż, „Włóczyki” – Przemysławem Lewandowskim.

– Oczywiście, przerywanie mojego monologu jest mile widziane. Możecie pytać o „Szósty zmysł”, o „Inicjację” i tylko, z prawdziwą przyjemnością, nie odpowiem na pytania o program „Nieoczywiste”. Bo go nie lubię – kontynuował „Kosa” z uśmiechem.

Już od pierwszych słów Kossakowskiego widać było, że zaintrygował widzów. Szczupły 44-latek z tatuażami na ramieniu swobodnie, prostym językiem i bez zadęcia opowiadał o swoich przeżyciach, emocjach i refleksjach.

Zaczął się od „kubła”. Na ekranie pojawiła się fotografia, na której widać było, jak Kossakowski w nim stoi, czy też może właśnie z niego wychodzi. Okazało się, że jest to zbiornik do tzw. floatingu służący do głębokiej relaksacji oraz redukcji stresu. Napęnia się go wodą o temperaturze ludzkiego ciała, mocno nasyczonej solą. Człowiek unosi się na jej powierzchni, odizolowany od wszelkich dźwięków i światła, co sprzyja przejściu mózgu ze stanu czuwania w stan rozluźnienia, a następnie w stan zbliżony do medytacji.

– A wiecie, że takie kapsuły służyły kiedyś do tortur? – „Kosa” przyglądał się zdumionej publiczności, która zastanawiała się, czy to nie żart.

Jednak była to prawda. Odizolowanie człowieka od wszelkich bodźców zewnętrznych (tzw. deprywacja sensoryczna) sprawia, że umysł zaczyna wytwarzać halucynacje, tracić orientację.

– Zwłaszcza jeśli torturowany nie wie ani co się z nim dzieje, ani gdzie jest i jak się tam znalazł – tłumaczył Przemek. – Dlatego CIA stosowała tę metodę, do przesłuchiwania więźniów.

*

Pojawiła się też opowieść o egzorcyzmowaniu firmowego samochodu TTV, który – jak zapewniał „Kosę” jeden z szamanów – mógł spowodować nieszczęście, gdyż w jego prawym przednim kole tkwił demon płci męskiej. Publiczność zaśmiewała się szczerze, słuchając, jak Przemek przekonywał później księgową, że fakturę za uwolnienie szkody od ducha można zaksięgować jako „przegląd techniczny”.

Kossakowski opowiadał też o starszej kobiecie, która na Ukrainie „wygryzała” z niego choroby (wcześniej sama mu je przypisała):

– Okazało się, że to nie boli. Przesuwała po moich plecach ustami, mrucząc jakieś modlitwy.

W tym czasie przed domem staruszki na swoją kolej czekali już członkowie lokalnej mafii, którzy przywieźli rannego kolegę i z niechęcią patrzyli na intruzów zajmujących uzdrowicieli prawie godzinę.

*

W pewnym momencie ktoś podszedł do sceny. Zrobiło się zamieszanie i po chwili moderator poinformował publiczność:



– *Przykro mi, ale musimy przerwać to spotkanie, bo po Przemku właśnie przyjechała policja.*

Gdy sala zamilkła, roześmiał się i wyjaśnił, że to żart, a policja prosi tylko o przestawienie samochodów stojących w niedozwolonym miejscu.

*

Jedna z uzdrowicielek, specjalistka od pijawek, leczyła Kossakowskiego z bólu głowy. Efekty mogliśmy zobaczyć na fotografiach: najpierw chude pijawki zwisające z czoła Przemka, potem tłuste, napasione krwią pijawki na czole i na koniec zapuchnięte, zabandażowane czoło.

Po tej terapii kobieta uznała, że należy mu wyleczyć również prostatę. Także przy użyciu pijawek. Na jego podejrzliwe pytanie, gdzie zamierza je przyłożyć, odpowiedziała:

– *Tam.*

Wizja przerażonego pomysłem Kossakowskiego, namawianego przez złośliwą ekipę do poddania się leczeniu, wywołała salwy śmiechu.

Na leczenie prostaty, ku radości jego towarzyszy, namawiano go zresztą regularnie podczas całej podróży po Ukrainie. Tak jak w Rosji masowo przekonywano go, że posiada niesłubne dzieci. Opowieść o częstotliwości tych diagnoz i przepowiedni rozśmieszyła również publiczność.

Nikt się jednak nie śmiał, gdy Przemek tłumaczył, że pijawki powinny być uznawane za odpad medyczny i niszczone po zabiegach, bo wpuszczone do zbiorników wodnych, stanowią zagrożenie – w przypadku zakażenia krwi osoby leczonej mogą przenosić jej chorobę. A kobieta, u której był, wrzucała je do pobliskiego bajorka, nie zważając na to, że może narażać np. bawiące się tam dzieci.

*

Największe emocje wzbudziły opowieści o grobach, w których dał się zamknąć bohater wieczoru. Pierwszy z tych grobów znajdował się w Polsce. Neoszaman, czyli człowiek świadomie odtwarzający pradawne szamańskie rytuały, zabrał Kossakowskiego z jego ekipą w przepiękne miejsce i:

– *Najpierw kazał mi znaleźć 12 kamieni, sam miałem je wybrać. Następnie „po rozgrzaniu ich do czerwoności w ogniu” wrzucił wszystkie do wykopanego w ziemi dołu w niewielkim namiocie.*

W tak powstałej saunie nagi Kossakowski, w towarzystwie nagiego szamana, przygotowywał się do spędzenia nocy w wykopanym własnoręcznie grobie, gdy tymczasem szaman rzekł do niego:

– *A teraz uwolnij swojego bizona.*

Zdumionemu tym poleceniem Przemkowi tłumaczył, że w każdym z nas drzemią zwierzęce instynkty. Możemy obudzić w sobie na przykład kota czy cokolwiek innego, ale szaman radził, by wybrać zwierzę silne, potężne...

Jak wyglądało budzenie bizona w jego wykonaniu? Przemek zilustrował to, rycząc i okładając się pięściami po klatkę piersiową. Sala również zaryczała – ze śmiechu.

– *To chyba goryl, nie bizon* – podpowiedział ktoś z widowni.

A „Kosa” kontynuował opowieść.

Po obudzeniu w sobie dzikiego zwierzęcia ułożył się w wykopanym wcześniej dole, który następnie został zakryty, i spędził noc na rozmyśleniach.



Jak twierdził – warto było, bo po takiej nocy człowiek zyskuje inną perspektywę spojrzenia na życie i śmierć.

Ten rytuał polscy neoszamani nazywają „pogrzebem wojownika”. Ma on służyć oczyszczeniu z negatywnej energii, z lęków. Może też pomóc w zamknięciu jakiegoś etapu życia, pozostawieniu go za sobą.

*

Drugi grób Kossakowski kopał sobie w Rosji. Miejsce było koszmarnie. Bagniste. Śmierdzące. Pełne komarów. Szaman nie kazał mu kopać głęboko, ale ambicja Przemka,

który podkreśla, że w głębi duszy wciąż jest chłopcem, nie pozwoliła mu poprzestać na tej niewielkiej jamie, jaką proponował Rosjanin.

Przerwał kopanie dopiero po groźbie, że jeśli dół będzie głębszy, to rytuał się nie odbędzie. Sens tej groźby zrozumiał, gdy zobaczył maskę przeciwigazową z długą rurką. Okazało się, że tu nie ma mowy o pustym grobie i że będzie leżał zasypany, oddychając przez rurę. Sala w milczeniu słuchała, jak po przysypaniu ziemią czuje się każdy jej kilogram podczas oddychania, jak traci się poczucie czasu i bezpieczeństwa, jak pojawia się irracjonalny lęk:

– *Nie wiesz, jak długo już tak leżysz. Chcesz się natychmiast uwolnić, a jednocześnie myślisz, że jeśli tam jesteś dopiero przez chwilę, to się ośmieszysz... Wiesz, że za chwilę cię odkopią, że wystarczy zawołać, a mimo to zaczynasz się panicznie bać, że sobie pojadą, zostawią cię tam.*

I w tej pełnej napięcia ciszy Kossakowski doszedł do momentu, gdy nagle usłyszał „bzzzz” i przez rurę przedostał się do niego komar. Opis próby (udanej dopiero za drugim podejściem) zabicia komara poprzez uderzanie twarzą o maskę sprawił, że na chwilę emocje opadły i widownia odreagowała je śmiechem. Po chwili jednak znowu spoważniała i zamilkła, słuchając jak Przemek, uwięziony pod ziemią, zaczął nienawidzić kolegów ze swojej ekipy (odwlekających jego odkopanie, aby zrobić dobre ujęcie), jak nasłuchiwał odgłosu zbliżających się kroków, jak po zdjęciu z twarzy maski – na wpół jeszcze przysypany – rozejrzał się, spojrzał na otaczających go ludzi i poczuł, że ich kocha, a świat jest niewiarygodnie piękny...

*

Zabawne anegdoty mieszały się z refleksyjnymi opowieściami. Czas mijał niepostrzeżenie. Spotkanie dobiegło końca. Sala podziękowała za nie gorącymi brawami. Gość zapowiedział, że po spotkaniu każdy, kto ma ochotę, może sobie z nim zrobić zdjęcie lub podejść po dedykację w książce. Z propozycji skorzystała mniej więcej połowa sali, ustawiając się przed sceną, obok schodów, po których właśnie zszedł Kossakowski.

Osoby wychodzące z budynku głośno wymieniały wrażenia:

– *Szkoda, no szkoda, że to już koniec.*

– *Niesamowity człowiek!*

– *I jaki sympatyczny, szczery, bezpośredni...*

– *Bardzo dobrze wyreżyserowana ta bezpośredniość. Musi mieć dobrego specjalistę od wizerunku.*

– *Nieprawda, przecież widać, że niczego nie udaje.*

MAŁGORZATA MICHERDA

Łomnicki, Miller i Spielberg, czyli w poszukiwaniu korzeni

Radomyśl Wielki nie narzuca się swoją wielkością; jest małym, podkarpackim miasteczkiem z 3200 mieszkańcami i historią sięgającą XVI wieku. Ale to właśnie w jego historię wplotły się nazwiska trzech wielkich postaci: Tadeusza Łomnickiego, filmowego Wołodyjowskiego, Arthura Ashera Millera, pisarza, ostatniego męża Marilyn Monroe, i reżysera Stevena Spielberga.

O rodzinie Łomnickich informuje tablica na budynku dawnego Urzędu Pocztowo-Telegraficznego, o Millerze i Spielbergu – zbiory gminne oraz prywatne historyczki dr Marii Przybyszewskiej i regionalisty Jana Ziobronia. Oboje od lat dbają o zachowanie wszystkich ciekawych wydarzeń i osób w pamięci lokalnej społeczności.

Z SZABELKĄ I NA KONIU OD NAJMŁODSZYCH LAT

Tadeusz Łomnicki, jeden z najwybitniejszych polskich aktorów, urodził się 18 lipca 1927 r. w Podhajcach k. Lwowa w rodzinie urzędnika pocztowego i nauczycielki. To właśnie obowiązki zawodowe ojca, Mariana Łomnickiego, sprawiły, że cała rodzina w 1933 roku przeniosła się do Radomyśla Wielkiego.

– Łomnicy z dwojgiem chłopców: Tadeuszem i Janem, zamieszkali w dworcu Kostórkiewiczów przy ul. Tarnowskiej (obecnie ul. Józefa Piłsudskiego), w tylnej części budynku, gdzie wówczas znajdował się Urząd Pocztowo-Telegraficzny – opowiada historyk Jan Ziobroń. – Wraz z przybyciem do miasta mały Łomnicki rozpoczął naukę w przedszkolu, a później w szkole powszechnej.

W radomyskich zbiorach zachowały się zdjęcia, na których został uwieczniony debiut sceniczny Tadeusza Łomnickiego. Przyszły aktor wystąpił wraz z bratem Janem w przedstawieniu „Księżna Łowicka” w 1934 roku w radomyskim Sokole. „Ubrany w harcerski mundurek, grał rolę strażnika więziennego, w rękę trzymał szabelkę” – p. Ziobroń przytacza słowa Eugenii Ryniewicz, nauczycielki Łomnickiego.

Dodaje również, że Tadeusz Łomnicki brał udział w szkolnej inscenizacji widowiska „Ołowiane żołnierzyki”. W gminnych albumach znajdziemy też zdjęcie, na którym bracia Łomnicy siedzą na koniu, podobno pierwszy raz. Zdjęcie okraszone jest wspomnieniami Piotra Kality, który napisał, że był to koń wygrany na loterii fantowej przez Leona Spiegla i przechowywany w stajni burmistrza miasta, Józefa, ojca pana Piotra.

W połowie 1936 roku Tadeusz, Jan (późniejszy reżyser serialu „Dom”), Anna, ich najmłodsza siostra, która przyszła na świat w kwietniu 1935 roku, i ich rodzice przenoszą się do Mszany Dolnej.

MARILYN MONROE W ZWIĄZKU Z RADOMYSŁEM

W Radomyślu Wielkim do wybuchu II wojny światowej ok. 60 procent mieszkańców stanowili Żydzi. Do dziś pozostało kilka elementów kultury żydowskiej – najważniejszą częścią pejzażu jest niewielki cmentarz założony w XIX wieku. Na kirkucie znajduje się m.in. obelisk upamiętniający zagładę 500 radomyskich Żydów w lipcu 1942 roku.

Jednym z Żydów mających korzenie w Radomyślu Wielkim był wybitny dramaturg i scenarzysta, Arthur Asher Miller. Na radomyskim kirkucie pochowani są dziadkowie Millera, co w latach 90. potwierdził Jan Ziobroń. Na ślady związków światowej sławy dramatopisarza z Radomyślem dotarł dzięki studiom nad

pokaźną księgą „Radomysl Wielki and neighbourhood”, wydaną w trzech językach: angielskim, jidysz i hebrajskim w Tel Awiwie w 1971 roku.

– To prawda, rodzina Millerów kiedyś tu mieszkała. Nie jestem pewien, ale chyba był to klan zajmujący się złotnictwem – zastanawia się Józef Rybiński, burmistrz Radomyśla Wielkiego. Swych powiązań z podkarpackim Radomyślem nie do końca był pewien sam Miller.

Jan Ziobroń w trakcie rozmowy przytoczył fragment wspomnień Millera, w których nie jest pewien, z którego konkretnie Radomyśla pochodzi jego rodzina. Wymieniał Radomyśl w zachodniej części Polski, na Ukrainie oraz w czeskich posiadłościach rodziny Schwarzenbergów.

Po potwierdzeniu w zachowanych dokumentach informacji, że rodzina Millera pochodziła z Radomyśla Wielkiego, regionalista zaprosił pisarza do Polski. Amerykański dramaturg wysłał swojego bratanka Morty’ego Millera. Ten przyjechał latem 1992 roku, zwiedził miasteczko i cmentarz. Niestety, kontakt radomyskiego regionalisty z Mortym Millerem urwał się. W 2004 roku Radomyśl Wielki odwiedziła także krewna Millera, Emma Johnson.

Były mąż Monroe urodził się w rodzinie polsko-żydowskich imigrantów: Izydora Millera i Augusty Tatal. Izydor pod koniec XIX wieku, mając 7 lat, wyemigrował z rodziną do Stanów Zjednoczonych. Właściwie dołączył do rodziców, którzy już byli w Stanach Zjednoczonych. Sam odbył kilkutygodniową podróż do USA z tabliczką na szyi. W Ameryce odebrał go brat i wspólnie pojechali do Nowego Jorku. Wiadomo także, że był niepiśmiennym, ale zamożnym kupcem. Prowadził sklep z odzieżą damską na Manhattanie, zatrudniał 400 osób.

– Czy postać Arthura Millera zasługuje na upamiętnienie w rodzinnym mieście jego ojca? Wydaje mi się, że na pomnik bądź tablicę zasługuje osoba głęboko związana ze środowiskiem lub taka, która w jakiś sposób wpływałaby na promocję miasta i gminy. I tu należałoby się zastanowić, czy samo pochodzenie Arthura Millera ma z tym jakiś związek – kwituje Józef Rybiński.

Sam Arthur Asher Miller planował wizytę w mieście przodków, ale nigdy nie udało mu się tego planu zrealizować. Zmarł 10 lutego 2005 r.

KORZENIE RODZINY SPIELBERGÓW?

Korzeni w Radomyślu Wielkim doszukuje się również Steven Spielberg, światowej sławy reżyser, twórca m.in. „Listy Schindlera”. Ponoć tutaj mieszkali jego dziadkowie. Przedstawiciele założonej przez Spielberga Fundacji „Shoah” odwiedzili Radomyśl Wielki, szukając dokumentów i świadków mogących potwierdzić, że właśnie stąd wywodzą się przodkowie reżysera.

– Wiemy z całą pewnością, że rodzina Spielbergów mieszkała w Radomyślu. Nie wiemy, czy chodzi właśnie o Radomyśl Wielki – wyjaśniła Irena Garwerska („Gazeta Wyborcza”, Kraków nr 226, wydanie z dnia 26/09/1998).

O ile związki Łomnickiego z miasteczkiem są udokumentowane, o tyle historia Żydów poddawana jest ciągłym badaniom. Pracują nad nią historycy, z pomocą przychodzą uczniowie i mieszkańcy pobliskich miejscowości, którzy na strychach znajdują niesamowite zdjęcia i pamiątki. Być może kiedyś uda się ustalić losy rodziny Millera, zanim wyjechała do Stanów Zjednoczonych, oraz to, czy Spielberg faktycznie ma coś z Radomyślem wspólnego.

MAGDALENA SKRZYNIARZ



Wyzbyć się strachu i uprzedzeń

wówczas pielęgniarze. Metody mieli proste, bo i takimi byli ludźmi. Nieuzasadniona przemoc fizyczna pojawiała się na każdym kroku, pacjentów dla świętego spokoju zamykano w kaftany lub krępowno pasami bezpieczeństwa.

SZALENIEC CZY ARTYSTA?

Po 1989 roku wraz z rządami dr. Andrzeja Kowala nadeszły lepsze czasy dla szpitala. Kaftany odesłał się do lamusa, a szpital miał się w końcu stać nowoczesną placówką. Tę misję dyrektor Kowal przeprowadził powoli i metodycznie, czekając, aż starzy ordynatorzy przejdą na emeryturę.

Praca trwała wiele lat, gdyż wciąż żyją ordynatorzy starszej daty, leczący metodami biologicznymi, przywiązujący niewielką wagę do tego, by pacjent uzyskał możliwość readaptacji psychospołecznej. Dopiero wraz z akcesją do Unii Europejskiej pojawiła się możliwość współpracy międzynarodowej i wdrożenia projektów z tego obszaru.

Lata mijają, a kolejni ustawodawcy wciąż nie są w stanie przełamać bariery między medycyną a pomocą społeczną. U progu jubileuszu stulecia szpitala choroba psychiczna ciągle nosi na sobie piętno stygmatu, stereotypy trzymają się mocno, a wieloletnie leczenie, po którym pacjent nie może wrócić do społeczeństwa, bo brakuje struktur i organów, które by mu w tym pomogły, wpędza go w poczucie beznadziei.

– Zaraz – powie ktoś. – *Czy nie temu przypadkiem służy terapia?*

MAZIDŁA I MALOWIDŁA

Jeszcze przed wojną szpital pełnił rolę miejsca pobytu także dla tych pacjentów, którzy nie mieli ciągłych, ostrych objawów, ale nie mogli wrócić do domu, ponieważ rodziny nie chciały ich przyjąć. To dla nich powstał w 1928 roku pawilon dla chorych pracujących. Od teraz chorzy w lepszym stanie nie muszą przebywać z tymi, którzy nadal mają ostre objawy. Mogą pracować na rzecz szpitala, na przykład w kuchni czy piekarni, na folwarku.

– *Wyjście do pracy było oznaką zdrowienia* – wyjaśnia Maciej Bóbr, rzecznik prasowy szpitala.

Te formy terapii stosowało się nadal w latach 70., gdy szpital współpracował z Fabryką Kosmetyków „Pollena – Miraculum” w Krakowie.

Obecnie nie pozwala na to system ubezpieczeń. Jest za to terapia twórcza, która z jednej strony pomaga uwierzyć we własną siłę, z drugiej zaś pozostaje sposobem komunikacji między pacjentem a terapeutą.

Przed wojną w Szwajcarii żył i tworzył niezwykły malarz i pisarz Adolf Wölfl. Wyjątkowo płodny, pozostawił po sobie wspaniałą spuściznę, mimo że 35 lat spędził w zakładzie zamkniętym w zupełnej izolacji. Na początku dostawał do porąbania drewno i koperty do posklejania. W końcu szpital zamówił u niego freski, obecnie jego prace są wystawiane w największych światowych galeriach.

Lekarz przyjmujący pacjenta na izbie przyjęć pyta, kto może mu pomóc.

– Wójt... – pada odpowiedź.

Wyśmiewany i wytykany przez sąsiadów palcami chory wierzył, że wyłącznie wójt jako osoba poważana w środowisku, w którym mieszkał, może wpłynąć na prześladowców...

Kiedy widzimy karetkę pogotowia podjeżdżającą gdzieś w towarzystwie radiowozu, jest prawie pewne, że pacjent trafi niebawem do szpitala psychiatrycznego...

NOWOCZESNA PLACÓWKĄ W EUROPIE

Nowo otwarty w 1917 roku szpital w Kobierzynie, symbolicznie wybudowany na promienisto-koncentrycznym planie motyla (gr. *psyche*), był najbardziej nowoczesną placówką w Europie. Wspaniały park zaprojektowali architekci krajobrazu z Towarzystwa Upiększania Miasta Krakowa i Okolicy, układ urbanistyczny miasta ogrodu szpitalowi nadał Władysław Klimczak, a nad koordynacją czuwał nieoceniony architekt Tadeusz Stryeński.

Wraz z pacjentami na terenie zakładu zamieszkał cały personel z rodzinami.

Tak zwanych chorych niespokojnych umieszczono w budynkach parterowych, by uniknąć dyskomfortu prowadzenia ich po schodach, a chorzy na gruźlicę mieli zapewnione ogrzewane zimną leżakownię, niczym w *Czarodziejskiej górze* Tomasza Manna. Leżakownie zachowały się do dziś.

Po wojnie szpital borykał się z trudnościami finansowymi, ale mimo to trwały prace nad poprawą losu pacjenta i unowocześnieniem metod terapii. Dyrektorem był prof. Antoni Kępiński, współzałożyciel pierwszej polskiej Pracowni Psychologicznej, a po nim dr Władysław Stryeński, który zrezygnował z pensji szpitalnej po objęciu urzędu senatora. Założył pierwszą w Krakowie, a drugą w Polsce Poradnię Zdrowia Psychicznego.

W czasach dr. Jana Gallusa szpital ogarnęła obsesja idealnego porządku. Dyrektor miał w zwyczaju odbywać rano spacer i sprawdzać stan czystości. Kontrolował, czy podłogi są pozamiatane, ale nadzór medyczny niestety nie trzymał takiego poziomu. Krążyły straszne historie o tym, że w kuchni zniknęło mięso. Niektórzy starsi pacjenci do dziś wspominają, że gdy lekarze szli do domu, niepodzielnią władzę w szpitalu sprawowali

W Polsce centrum Art Brut nie istnieje, więc pacjenci obecnego Szpitala im. Babińskiego nie mogą liczyć na międzynarodową popularyzację swojej twórczości. Mimo to tworzą, bo arteterapia jest skuteczna. Zbiory szpitalne liczą już 4 tys. prac, a obrazy wiszą nawet na ostrych oddziałach przyjęć.

— *Nikt ich nie niszczy, bo czemu pacjenci mieliby to robić?* — pyta retorycznie pan Maciej, z wykształcenia historyk sztuki. I dodaje, że kończąc terapię, pacjenci mogą liczyć na wystawienie swoich prac. To, obok wyzdrowienia, ukoronowanie pobytu. A już wkrótce o jednej z takich niezwykle byłych pacjentek (malarce, poetce i dramatopisarce) powstanie film. Być może na półkach w księgarni ujrzymy jej powieść napisaną wspaniałą schulzowską prozą? A może jeden z tzw. trudnych pacjentów, od dekady przebywający na detencji, zamiast pisać kolejne skargi, przeleje w końcu na papier swą bogatą wiedzę o służbach specjalnych?

JAK DOSTAJĄ GRUBE LEKI, TO WSZYSCY CHODZĄ

W 2015 roku na ławkach przed szpitalem odbywa się nocny pokaz filmu *Co gryzie Gilberta Grape'a?* w ramach piątej odsłony Letniego Projektora. W trakcie seansu rodzi się pomysł przedsięwzięcia *Uważaj na głowę*, stałej ekspozycji w piwnicach szpitala. Spontanicznie w włączają się w to pacjenci, pomagają roztawiać krzesła. Podpowiadają, co można by umieścić na wystawie, by jak najlepiej pokazywała przeżycia towarzyszące walce z chorobą, hospitalizację, farmakoterapię czy społeczny stygmat, jaki nadal wisi nad zaburzeniami psychicznymi.

Na wystawie można zobaczyć zabytkowy kaftan, ale i prawdziwe pasy wraz z łóżkiem szpitalnym. Były pacjent, który sam się w takich pasach znalazł, opowiada:

— *Wpadłem w jakiś szal, zacząłem się drzeć, że ja z tym łóżkiem wyjadę.*

Lekarz psychiatra dr Damian Leszczyński tłumaczy:

— *Zawsze czuję się źle, kiedy muszę zlecić tak represyjne metody, jak unieruchomienie pasami. Stosuje się je tylko w razie absolutnej konieczności, gdy pacjent z powodu halucynacji albo silnego lęku stanowi zagrożenie dla siebie lub innych.*

Do tego dochodzi bolesne leczenie farmakologiczne, pacjenci opisują szereg skutków ubocznych:

— *Kark jest sztywny, trzeba cały czas łkać ślinę, bo sucho w ustach, drep- cze się cały czas;*

— *Jak dostają grube leki, to wszyscy chodzą. Możesz tak chodzić ze dwie godziny. I tak bez sensu, bezcelowo...*

DLACZEGO TY NIE PALISZ?

Pacjenci na lekach nie mają wiele do roboty, więc chodzą i palą. W latach 70. najważniejszym miejscem, w którym odbywa się integracja, jest szpitalna świetlica, a w niej fotele roztawione wokół popielniczki. Wszyscy siedzą i palą.

— *Jak zaczęłam tu pracować, zadawano mi wielokrotnie pytanie, dlaczego ty nie palisz. Palenie jest całkowitą normą, a jeśli ktoś tego nie robi, to musi mieć ważny powód. Tłumaczyłam, że mam chore płuca* — mówi Weronika Chodacz, prezes zarządu Stowarzyszenia Archipelagi Kultury i pomysłodawczyni projektu *Uważaj na głowę*. A jeden z pacjentów wspomina:

— *Jak ktoś nie mógł spać, to szedł o piątej rano i palił. Oprócz kradzieży pieniędzy nagminnie było podbieranie czy kradzież cudzych papierosów z szafek.*

Na wystawie stoi stara, wysłużona popielniczka.

Są też dokumenty. Na przykład wyciąg z ustawy z dnia 19 sierpnia 1994 r. o ochronie zdrowia psychicznego, zgodnie z którą przyjęcie do szpitala może nastąpić bez zgody pacjenta. Osoby mające już takie doświadczenia wiedzą doskonale, że nie warto się nie zgadzać, bo wtedy nie można wyjść na własne żądanie. Nieświadomi odwołują decyzję ze strachu przed szpitalem i samym leczeniem.

Niekiedy choroba również wpędza pacjenta w stan, w którym nie potrafi zdecydować się na leczenie. Jedna z pacjentek opowiada:

— *Zdarzyło mi się, że sama zgłosiłam się do szpitala, i to nieraz. Zawsze starałam się to jak najbardziej odwlec. To potwornie trudna decyzja. Każdy krok*



Adolf Wölfl, Sancta-Maria-Burg-Riese-Traube

z tym całym chaosem w głowie był mordęgą. Ale posłałam, bo co miałam zrobić? Już się tak męczyłam, że się zwijałam...

Według obecnych badań co czwarty Polak doświadczy w życiu kryzysu psychicznego. Ilu poszuka wtedy pomocy?

CO TO ZNACZY MIEĆ SZKŁO W GŁOWIE?

Wystawa obrazuje także inną ważną rzecz, a mianowicie scenariusz złego zdrowienia. Pozornie pacjent wszystko sobie układa w głowie, ale brakuje prawdziwej pomocy readaptacji społecznej. Nie pomaga państwo, nie pomaga rodzina. Mówi o tym w przejmujący sposób były pacjent, którzy sam miał takie doświadczenia, a teraz pomaga innym:

— *Trafia człowiek 15 lat temu do domu, który nie jest przygotowany, a rodzina również nie jest przygotowana na przyjęcie osoby chorej. Matka, ojciec, siostra, brat czy żona nie są w stanie zrozumieć, co to znaczy mieć szkło w głowie, nie wyjść z domu nie dlatego, że się nie chce, ale że nie można wyjść, nie ma takiej woli, żeby się podnieść z łóżka...*

Inny pacjent mówi, że rodzina nie była w stanie już słuchać dźwięku wyciskanych tabletek. Były pacjent po wypisie zderza się ze światem zewnętrznym, który nie jest na niego przygotowany, więc wraca do szpitala. Wie, że jeśli podejmie pracę, straci rentę, a choroba może wrócić. Po nawrocie choroby szanse na odzyskanie pracy są niemal równe zeru. Pacjent wypisany z psychiatrii nie może również liczyć wraz z rodziną na takie samo wsparcie, jakim państwo otoczy cukrzyka, chorego na nowotwór po chemioterapii czy osobę po zawale. Co więcej, ludzie nie wyśmiewają się ani z cukrzyków, ani z chorujących na nowotwory. Jak zdjąć stygmat z tego obszaru?

— *Media nam w tym nie pomagają* — mówi ze smutkiem Maciej Bóbr. — *Bo jeśli dziennikarz zatytułuje swój tekst: „Wariat pobił żonę”, to zawsze taki news trafi na pierwszą stronę.*

DO SZPITALA NA SPACER?

Szpital stara się otwierać na ludzi i chce się stać częścią społeczności, do której przecież należy. Jak to zrobić?

Przed wszystkim wyzbyć się strachu i uprzedzeń. Przyjść na wystawę *Uważaj na głowę* albo na coroczny spacer po terenie miasta ogrodu, w trakcie którego pan Maciej przybliży sto lat istnienia szpitala, pokaże odrestaurowane zabytkowe budynki, opowie mnóstwo ciekawych anegdot. Można wypić kawę i zjeść szarlotkę w małej restauracji, pospacerować z dziećmi między stuletnimi drzewami, pooglądać hasające wiewiórki.

Panu Maciejowi marzy się, by w budynku teatru rano wyświetlać filmy dla pacjentów, później seanse w ramach Dyskusyjnego Klubu Filmowego dla kilkuset regularnych widzów, a wieczorem Hollywoodzkie blockbustery.

AGNIESZKA BUKOWCZAN-RZESZUT

– Może gdybym się urodził jako niewidomy i nie wiedział, co tracę, pewnie łatwiej by mi się było pogodzić z tym, co się stało. Ale z drugiej strony, nie przeżyłbym i nie zobaczyłbym tego, co zdążyłem zobaczyć...

Nauczyć się żyć inaczej

Jest prawdopodobnie w pół do ósmej rano, gdyż zawsze o tej porze rozlega się dźwięk budzika. Trzeba wstać i wykonać dokładnie cztery kroki w lewo, w stronę szafy, a stamtąd wyjąć spodnie. Jeśli nogawki są długie, to prawdopodobnie muszą to być spodnie. I prawdopodobnie mają kolor niebieski, a więc dzisiaj wpasują się w chłodną aurę przemijającej zimy. Tak, szyba w oknie jest zimna, słychać odgłosy aut mknących po mokrej jezdni. Na dworze prawdopodobnie pada deszcz...

Michał jest niewidomy, wzrok stracił jako nastolatek. Postępująca choroba w końcu całkowicie odebrała mu zdolność widzenia. Straszna okazała się nie tylko sama utrata wzroku, ale przede wszystkim pozbawienie się na zawsze szansy wyjścia na mecz, do kina czy na wystawę do muzeum. Nic nie mogło już być takie samo jak wcześniej. W jednej chwili świat stał się dla Michała czymś nieznanym, nieprzewidywalnym i zarazem niebezpiecznym.

– *Może gdybym się urodził jako niewidomy i nie wiedział, co tracę, pewnie łatwiej by mi się było pogodzić z tym, co się stało. Ale z drugiej strony, nie przeżyłbym i nie zobaczyłbym tego, co zdążyłem zobaczyć. Nie widziałbym ani jednego wschodu słońca. A teraz przynajmniej mam cokolwiek w wyobraźni. Nie muszę się zastanawiać, jak wygląda samo słońce. Teraz dokładnie wiem, jak wygląda „wasz” świat, do którego już nigdy nie będę miał dostępu. Tak jak jedni od najmłodszych lat uczą się chodzić, biegać, tak ja musiałem się w swoim nowym życiu nauczyć pokonywać przeszkody, które stawały na mojej drodze.*

Dwudziestoletni Michał mieszka z rodzicami. Oni również zmuszeni zostali do przeorganizowania całego swojego dotychczasowego życia, dostosowując się do potrzeb i wymagań syna. Trzy pokoje na drugim piętrze kamienicy były na początku całym światem ich syna. Dopiero po upływie czasu chłopak zaczął opuszczać mury mieszkania, by zmierzyć się tym, co czyha na niego na zewnątrz.

TAK SAMO, A JEDNAK W INNY SPOSÓB

Dzień Michała wygląda pozornie jak dzień zwykłego człowieka, jednak niemal każda czynność wykonywana przez młodzieńca wymaga niezwyklej ostrożności. Przygotowanie prostego śniadania zajmuje przeciętnej osobie około pięciu minut, Michałowi jednak ów czas wystarcza jedynie na odnalezienie potrzebnych do przygotowania posiłku składników.

Zdarza się, że sięgając do lodówki, słyszy za sobą dźwięk spadającego przedmiotu. Za pomocą słuchu potrafi stwierdzić, że został on wykonany z metalu. Ostrożne ruchy ręką po podłodze pozwalają mu na odnalezienie leżącego tuż obok jego nogi widelca.

Michał doskonale zna kształt każdego znajdującego się w jego mieszkaniu przedmiotu, nie sprawia mu więc trudności identyfikacja konkretnych rzeczy. Nic nie znajduje się też w przypadkowym miejscu. Sztuczki leżą ułożone

zawsze w jeden sposób, w tę samą stronę, a między nimi idealnie mieści się talerz. Na talerzu również nie może być nieładu, gdyż precyzja ułożenia kolejnych składników warunkuje ich odnalezienie. W przeciwnym razie talerz stałby się jedną wielką zagadką, a to, co znajduje się na widelcu – loterią.

– *Większość ludzi nie może wyjść z podziwu, że potrafię jeść tak jak wszyscy. Widelcem i nożem! Pewnie wyobrażają sobie, że wbijam widelec we wszystko, co stanie mi na drodze do talerza, i kroję wszystko, co znajduje się dookoła niego. Ale tak nie jest...*

ŚWIAT IDEALNY

– *Kiedy zlokalizuję stół znajdujący się w kuchni, wiem, że zaraz zetknę się ze znajdującym się obok krzesłem. Wysuwam je, a następnie wykonuję trzy kroki za siebie. Czekam tam przygotowane przeze mnie wcześniej śniadanie. Od pewnego czasu wszystko zacząłem robić automatycznie. Gdyby ktoś przestawił coś w którymkolwiek miejscu, straciłbym wówczas na pewno orientację. U mnie wszystko znajduje się w miejscu, jakie mam w swojej wyobraźni. To taki system rzeczy... Jeśli czegoś potrzebuję, wiem, gdzie tego szukać. Nie ma więc mowy o tym, by panował u mnie bałagan.*

Część rzeczy Michała została specjalnie oznakowana. Przyprawy znajdujące się w kuchni przechowywane są w pojemnikach wykonanych z materiałów o różnej teksturze (każda odpowiada konkretnemu składnikowi). Oznakowane są również ubrania. Przyszyty po wewnętrznej stronie znaczek wskazuje na kolor odzienia, z kolei miejsce w półkach oznacza rodzaj ubrania. Można rzec, świat idealny. Świat, w którym wszystko znajduje się na swoim miejscu. Świat, w którym trudno liczyć na jakąkolwiek zmianę, gdyż każda próba zaburzenia dotychczasowego układu skutkowałaby kompletną dezorientacją.

ISĆ W NIEZNANE

Jednak wszystko, co znajduje się poza murami mieszkania Michała, takie idealne już nie jest. On sam nazywa świat zewnętrzny „polem minowym”. W owej przestrzeni Michał nie może mieć pewności, że ktoś wczoraj zaparkował samochód w miejscu do tego przeznaczonym, a nie na środku drogi; że ktoś był zbyt leni-

wy, by wynieść śmieci do kontenerów, i położył je na schodach; że dziecko biegnąc do domu, upuściło pomarańczę.

– *Wychodząc z mieszkania i robiąc trzy kroki w przód, wiem tylko, że jestem naprzeciwko jednej z głównych ulic miasta. Oczywiście, przez lata nauczyłem się, jak dotrzeć w niektóre miejsca. Na początku miałem problem nawet z zamknięciem drzwi na klucz, zejściem po schodach. Proste czynności, na które wcześniej nigdy nie zwróciłbym uwagi, wymagają skupienia, na przykład zdolność chodzenia prosto. Na przejściu dla pieszych muszę iść w ten sposób, żeby nie wylądować na masce samochodu. Bez kontroli wzroku to jest ogromnie trudne. Problem jednak i w tym, że czuję, iż ten świat jest mi wrogiem. Wszystko opiera się na znakach drogowych, sygnałach świetlnych, napisach. Jedynie, co mogę zrobić, to słyszeć i czuć...* – wyznaje szczerze Michał.

Może gdybym
się urodził jako
niewidomy i nie
wiedział, co
tracę, pewnie
łatwiej by mi się
było pogodzić
z tym, co się
stało

„PATRZĘ” NA ŚWIAT

► Jego światem jest wszystko: rozlegający się wokół szum przejeżdżających samochodów; szelest gazety trzymanej w ręce przez biegnącego w pośpiechu przechodnia; wiejący wiatr wlokący po chodniku zdarty plakat; szczekanie psa odbywającego poranną wędrówkę; dźwięk klaksonu po drugiej stronie ulicy; wibracja telefonu czekającego na autobus mężczyzny; podmuch wiatru ledwo odczuwalny na twarzy; zapach unoszących się w powietrzu spalin; aromat kawy z pobliskiej kawiarni.

Ale i ciepły dotyk dłoni na ramieniu i rozlegający się z tyłu głos: „Może pomóc?”

— *Każdy krok sprawia mi wielką trudność. Nawet jeśli wiem, gdzie powinienem się kierować, to otoczenie jakby chciało mi wszystko utrudnić.*

Spieszący się ludzie nie zwracają nawet uwagi na to, że przed chwilą kogoś właśnie niechcący potrącili. Michał pamięta, że wczoraj, kiedy szedł tą samą ulicą, było tu puste miejsce, a dziś stoi tam samochód. Szczeliny w chodniku też nie było. Z dnia na dzień zmienia się wszystko. Technika „trzy kroki w lewo” nie do końca się sprawdza.

Robienie zakupów pozostaje dla Michała następnym wyzwaniem. O ile owoce, warzywa czy pieczywo udaje mu się znaleźć bez trudu, o tyle wszystko, co znajduje się w jakimkolwiek opakowaniu, jest dla niego zagadką (podobne kształty, wielkości, faktury, ciężar...). Bez pomocy innych osób niemożliwe by było znalezienie na przykład... fasoli w puszcze.

— *Załóżmy, że znajdę alejkę z puszkami, gdzie powinna się znajdować — opowiada Michał. — Ale te wszystkie puszki są prawie takie same. Nawet gdy próbuję potrząsnąć, by rozpoznać zawartość po wydawanym odgłosie, to wszystkie są do siebie tak podobne, że nie mogę ich rozróżnić.*

NA CHWILĘ, TAK JAK KIEDYŚ

W życiu Michała zdarzają się jednak momenty, kiedy możliwy jest, jak sam twierdzi, „powrót do przeszłości”. Do czasów, kiedy świat zewnętrzny poznawał za pomocą wzroku. To sen.

W tej właśnie sferze nie zmieniło się prawie nic.

Śnię o tym, co było kiedyś, czasami w snach pojawiają się wspomnienia. Ale też kiedy poznaję nowych ludzi i potem mi się oni śnią, widzę ich tam takimi, jakimi ich sobie wyobrażam. To niezwykle!

— *Wtedy znowu widzę! Śnię o tym, co było kiedyś, czasami w snach pojawiają się wspomnienia. Ale też kiedy poznaję nowych ludzi i potem mi się oni śnią, widzę ich tam takimi, jakimi ich sobie wyobrażam. To niezwykle! Zyskałem też dodatkową zdolność. Kiedy jeszcze widziałem, nie sądziłem, że jest to fizycznie możliwe. Otóż kiedy się obudzę, mogę stwierdzić, jak coś pachniało! Raz na przykład śniło mi się, że zgubiłem się w lesie. I do teraz pamiętam zapach tamtego lasu. Mam wrażenie, że czułem wtedy też wilgoć, deszcz... Było mokro. Przed utratą wzroku nigdy mi się to nie zdarzało. Wszystko odnosiło się do tego, co widzę. Zapach był wtedy tak jakby nieobecny... Niezwykły jest też inny fakt. Otóż widziałem, że zgubiłem się wśród drzew. Na pewno był to las. Wszystko widziałem. Ale chciałem się z niego wydostać, nie idąc wzdłuż jakiejś ścieżki czy też przed siebie, ale po omacku! Szukałem wyjścia, nasłuchując, czy w oddali nie ma drogi, po której jeżdżą auta, dotykałem drzew i tak poruszałem się między nimi... Nasz mózg ma tak niezwykle zdolności łączenia wszystkiego.*

PRZEZ ŻYCIE Z INNYMI

Tak jak większość dwudziestolatków Michał dąży do celu, jakim jest skończenie jakiejś uczelni. Obecnie znajduje się na etapie szukania kierunku studiów na miarę oczekiwań. Chce zacząć samodzielnie zarabiać, bo renta i pieniądze od rodziców nie wystarczają na długo przy jego specjalnych potrzebach.

— *W moim wypadku to bardzo trudne. Nie mogę stwierdzić, że coś mi się podoba i chcę to studiować. Najpierw muszę zadać sobie pytanie, czy da mi to szansę na znalezienie pracy. Czy akurat w tym sektorze osoba niewidząca będzie mogła cokolwiek zrobić? I czy w ogóle sobie poradzę? To największe ograniczenie...*

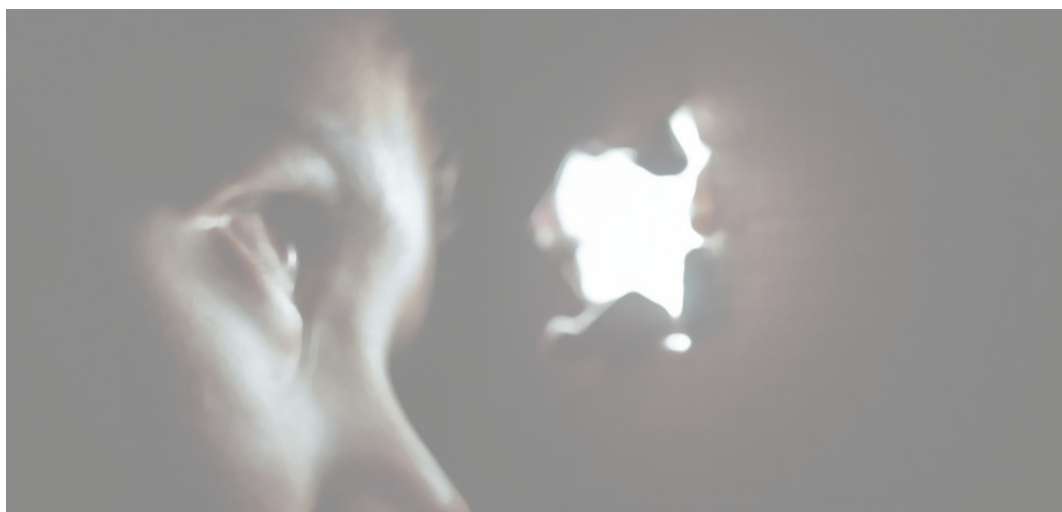
Czas wolny Michała bywa bardzo urozmaicony, aktywność fizyczna jest dla niego nieodłącznym elementem dnia codziennego. Nie mógłby sobie jednak pozwolić na tak wiele, gdyby nie przyjaciele, koledzy i rodzina. Jego entuzjazm i niczym niezmatczona ciekawość świata przyciągają nawet obcych. Zawsze znajdzie się ktoś, kto chętnie potowarzyszy Michałowi na siłowni, zakupach czy wyjściu na spacer.

Pomagają mu też najnowsze osiągnięcia techniki. Nawet jeśli Michał nie jest w stanie przeczytać książki, to może jej po prostu posłuchać. Nie wyobra-

ża sobie życia bez audiobooków.

— *Wiem, że samodzielnie nigdy nie będę się mógł wspiąć na wysoką górę, na pewno nie wskoczę też do morza, żeby trochę popływać. Ale od czego ma się przyjaciel! Oni dają mi tak wiele, więc i ja muszę się starać... — mówi na koniec.*

KINGA ŁUKASIK



Celina bierze udział we wszelkiego rodzaju warsztatach,
wydarzeniach tanecznych, tańczy w zespole i indywidualnie.
Jest szczęśliwa...

REPORTAŻ

Taniec może uratować życie



– **Mama mówi, że jeszcze u niej w brzuchu ruszałam się w rytm muzyki. Mając trzy latka, zaczęłam skakać pierwsze salta w łóżeczku, trzymając się jego poręczy. Oglądając telewizję, zachwycałam się łyżwiarstwem figurowym, a podczas koncertów wielkich gwiazd zwracałam uwagę na tancerzy w tle. Kiedy wszystkie dzieci marzyły o aktorstwie, sporcie lub zawodach wykonywanych przez rodziców, ja chciałam zostać tancerką...**

Dzieciństwo. Podrzeszowska wieś. Gdy starsze rodzeństwo idzie do szkoły, a rodzice do pracy, ojciec co dzień zawozi Celinkę do mieszkającej nieopodal babci. Zawsze lubiła tam przebywać, jednak tego dnia zmienia zdanie.

Przyszła sąsiadka i plotkuje z babcią. Dziewczynka się nudzi, bo niewiele rozumie, lecz gdy ni stąd, ni zowąd słyszy słowa: „Ale grzeczna z ciebie dziewczynka, chyba zabiorę cię do siebie”, nagle dopada ją strach. Stres!

„Łzy podchodzą do oczu bo: jak? dlaczego? jakim prawem ta obca straszna baba chce mnie zabrać?! Gdzie jest mama?”

Panika. Jak tu uciec? Gdzie się schować?

Musi walczyć. Napięcie narasta.

Jest! Przyjechał tata. Szybko! Trzeba biec, wskoczyć mu w ramiona i ścisnąć najmocniej jak się da. Teraz jest już bezpieczna. W domu nie mówi o zajęciach rodzicom, tylko oznajmia, że jest już duża i nie chce więcej jeździć do babci. Woli zostawać sama w domu...

Mijają dni i okazuje się, że decyzja, choć lepsza, wciąż nie wydaje się dobrym rozwiązaniem. Ogromny dom taki pusty. Jest sama. Na pewno coś się czai za szafą. Najlepiej spędzać te godziny pod kołdrą bez choćby najmniejszego drgnięcia. Dzwonek do drzwi. „O nie! Kto to? To na pewno ona! Ta stara, okropna baba przyszła mnie zabrać”.

I znów łzy i ten strach. Czy kołdra na pewno zadziała? Czy nikt jej nie zobaczy? Gdzie rodzice?! Dzwoni. Wciąż dzwoni. Przerażliwy dźwięk wdiera się w uszy i próbuje zmusić ją do poddania się. Nie! Wytrzyma! Tak. W końcu cisza. Cisza... Cisza... Poszła. Co za ulga.

Teraz już tylko zasnąć. Ze snu budzi Celinkę znajomy warkot silnika samochodu ojca. Ulga. Radość powraca, uśmiech rozpromienia twarzyczkę dziewczynki.

Taniec jest jak respirator. Nie pozwala całkowicie się poddać. Gdy już umierasz, on wciąż podtrzymuje cię przy życiu. Jeżeli tylko zechcesz walczyć, pomoże ci wrócić do życia

Celina Adamczyk

czynki. Celinka biegnie tacie na spotkanie. Klucz przekręca się w drzwiach. Jeszcze chwila. Jest. Ukochany tatuś bierze córeczkę na ręce, a ona zapomina o całym strachu. Teraz znów może biegać, śpiewać, tańczyć. Tańczyć. Teraz jest bezpieczna.

KOMU BĘDZIE KIEDYŚ ŻAŁ

W podstawówce, kiedy zauważa straszą koleżankę wykonującą szpagat, myśli: „Wow! Ale fajnie. Też bym tak chciała”. Wraca do domu i pierwsze, co robi, to usiłuje powtórzyć, co widziała.

Cóż za niewyobrażalne zdumienie pojawia się na twarzy, gdy już przy pierwszej próbie nie sprawia jej to żadnej trudności. Kolejne poprawnie wykonywane akrobacje wprawiają ją w coraz większą dumę i budują pewność siebie. W szkole dość szybko okazuje się, że świat nie jest tak kolorowy, jak do tej pory sądziła. Uczennica, choć zdolna, a nawet jedna z najlepszych w klasie, jest nielubiana przez wychowawczynię, panią Barbarę.

„Nie rozumiem, czemu mnie nie lubiła. Miałam wrażenie, że gnębi mnie i miesza z błotem przy każdej możliwej okazji tylko dlatego, że nie potrafiłam wypowiedzieć tej głupiej głoski »r«”.

Koniec roku. Wszyscy czekają na rozdanie nagród na oczach całej szkoły. Wychowawczynie wyczytuje po kolei nazwiska i wręcza dzieciom kolorowe książeczki. Celinka cierpliwie, lecz z podekscytowaniem czeka na swoją kolej. Zostało tylko dwóch nieuczących się, zawsze rozrabiających chłopców i ona. Tak! To już na pewno jej kolej.

Gdy chce z dumą ruszać do przodu, pani Barbara mówi:

– *Na ten rok to wszystkie nagrody w tej klasie. Pogratulujmy pilnym uczniom gorącym brawami...*

Pani Barbara, widząc pytający wzrok dziewczynki, mówi:

– *Celinka nie może dostać nagrody, ponieważ ma problemy z wymową...*

Kończą się wakacje. Nowy rok szkolny zapowiada wiele atrakcji. Już na początku okazuje się, że klasa Celinki ma przygotować przedstawienie pod tytułem „Calineczka”. Pani Barbara rozdaje role tak, by każdy mógł coś powiedzieć. Z pewnością zaraz i ona otrzyma swój wierszyk. Jeszcze tylko trzy kartecki. Brakło... Nie, nie brakło:

– *Ponieważ Celinka ma problemy z wypowiadaniem „r”, nie może nic mówić w oficjalnym przedstawieniu, ale ustawimy ją gdzieś obok drzewka – komunikuje wychowawczynie.*

Smutno. Jakie to przykre i upokarzające, każdy otrzymał jakąś rolę oprócz niej. „Może nauczycielka ma rację i powinnam się odsunąć w cień.”

Mija czas. W szkole otwierają dziecięcą grupę taneczną. Ciekawe. Wszyscy się zapisują, to ona też się zapisze. Wesoła muzyka, kolorowe stroje, ciekawe ▶



- choreografie. Liczne występy czy to w ramach uświetnienia gminnych uroczystości, czy wzięcia udziału w rzeszowskich przeglądach i konkursach.

Dziś rozpoczęcie pracy nad nowym układem „Jesień”. Będą liście, będą kwiaty i będzie jeden motyl. Kto nim zostanie? Wiadomo, że każdy by chciał. Lekkie napięcie, pozytywne wibracje w brzuchu, przedłużające się chwile.

– Celinko, myślę, że najlepiej nadajesz się do tej roli – mówi trenerka.

Hmm... „Jakiś głos, gdzieś w głębi powtarzał mi: »na pewno ty«”. Pierwsza w życiu solówka przysparza o nie lada dumę. Najpiękniejszy strój, ogromne skrzydła. A gdyby tak po prostu wzbić się i polecieć...

Każdy kolejny występ motywował do pracy. Coraz więcej osób docenia jej talent. Także nauczyciel wychowania fizycznego:

– Dziecko, jesteś cudowna, nie ograniczaj się. Zapiszę cię na akrobatykę w Rzeszowie.

„Wow! Rzeszów. Akrobatyka. Trenerzy. Zajęcia. Rodzice! Co powiedzą rodzice? Niestety, oni twierdzą, że brak im pieniędzy i czasu, by móc mnie posyłać na takie zajęcia”.

Kolejne ukięcie. Skąd te ograniczenia?! Dlaczego to tak boli? Teraz nie zostaje nic innego, jak tylko ćwiczyć w domu. Ale jak? Wszyscy ciągle narzekają. Rodzeństwo stale dokucza i się wyśmiewa. Najlepiej się chować, robić wszystko po kryjomu. Niech nikt nie widzi, niech nikt nie wie, niech nikt nie ocenia...

JUŻ NIE ZMIENISZ TERAZ NIC

Nadszedł nowy etap życia. Gimnazjum. Nowa szkoła, nowe miejsce, nowi ludzie. Ale ścisk! Jaki tłum, wszyscy się pchają. Skąd tyle ludzi? Plan lekcji. Zobaczymy. Środa – język polski, chemia, matematyka, informatyka, geografia, zajęcia ruchowe – taniec towarzyski. „Co?! Co to za przedmiot?! Byłam tak rozgoryczona wszystkimi wcześniejszymi ograniczeniami, że od razu stwierdziłam, iż każda kolejna aktywność ruchowa może wywoływać złudne nadzieje”.

No trudno. Idzie do domu. Humor nie dopisuje. Uciążliwa podróż autobusem niemiłosiernie się przedłuża. W końcu drzwi. Na twarzy pojawia się sztuczny uśmiech, który pomoże uniknąć denerwujących pytań rodziców. Tata nie pozwala się smucić w domu. Można wchodzić. Chwila rozmowy. Udawanie, że wszystko jest dobrze, i koniec przesłuchania. Chwila wolnego. Pokój.

Skąd ten przytłaczający smutek? Co ze sobą zrobić?

No dobra. Dziś środa, pierwsze zajęcia z tańca towarzyskiego. O proszę, prowadzi je nauczyciel historii. Zastanawiające.

– Na początek nauczymy się cha-chy. Ustawcie się w dwóch rzędach i powtarzajcie za mną: cha-cha-raz-dwa-trzy, cha-cha-raz-dwa-trzy...

Łączenie w pary, obroty, promenady, kolejne figury.

– Uśmiech. Zakładamy uśmiech.

Zdumiewające. Naprawdę ciekawe zajęcia. I to zakładanie uśmiechu. „Ile to daje możliwości, tak schować się za maską”. Można stosować to wszędzie. Nikt nie musi wiedzieć, jaka jest w rzeczywistości. Całe życie można udawać, pokazywać, że wszystko jest dobrze, i robić to tak, by nikt się niczego nie domyślił.

Już na drugich zajęciach nauczyciel dostrzega niesamowite poczucie rytmu i harmonię ciała Celiny:

– Miałas kiedyś coś wspólnego z tańcem towarzyskim? Chciałabyś dołączyć do grupy zaawansowanej? Prowadzę dodatkowe zajęcia po lekcjach w piątki. Zapraszamy.

I tu zaczyna się coraz większa fascynacja tym stylem tańca. Nie dość, że może ukrywać prawdziwe oblicze, to jeszcze jest w tym naprawdę dobra. Znowu rozpoczynają się liczne występy. Fale komplementów zalewają ją z każdej strony. Rodzi się prawdziwa miłość do tańca, objawiająca się w poszukiwaniu każdej dodatkowej możliwości rozwijania się w tym kierunku.

Rzeszowska szkoła tańca „Gama” okazuje się strzałem w dziesiątkę. Nie zaniedbując szkolnej nauki, Celina każdą wolną chwilę poświęca na ćwiczenia. Wszędzie jest chwalona i nie chce zawieść niczyich oczekiwań, a już najbardziej swoich. Po prostu chce być idealna...

NIE PRZEWIDZIAŁ TEGO NIKT

Zajęcia. Zajęcia. Zajęcia. „No kiedy skończą się te lekcje?! Ale żenada! Zamiast tu siedzieć, już dawno mogłabym ćwiczyć nowe figury do układu z jive’a”.

Jacy ci wszyscy ludzie są denerwujący. Po co im te głupie uśmieszki na twarzach. Przecież i tak nikt nie uwierzy, że są szczęśliwi.

Wreszcie koniec, nie tylko lekcji, ale i roku szkolnego. Za tydzień jedzie na wakacje do Zakopanego, a tymczasem może tańczyć do woli. Obrót – pierwszy, drugi, trzeci... Ach! Co za ból! Co się dzieje?! Nie wytrzyma! Szpital. Badania. Czekanie. Lekarz prosi Celinę z rodzicami do siebie:

– Szanowni Państwo, mamy tu do czynienia z torbielą – niezłośliwym rodzajem nowotworu. Nie ma co zwlekać, zaczniemy leczenie medykamentami, jeżeli mimo to cysta się nie zmniejszy, zalecana będzie operacja.

„Co?! Nowotwór?! Jaki nowotwór?! Co to za torbiel?! Co to jest cysta?! I jeszcze operacja? A jeśli umrę? Umrę...”

Nic innego zdaje się nie dochodzić do głowy nastolatki. Teraz potrafi sobie wyobrazić jedynie najgorszy scenariusz. Lekarz zabronił jej tańczyć. Co więc robić? Dziewczyna zostaje sam na sam z myślami, które się kotłują, wirują, krążą, mieszają, bełtają, gmatwują, płatają, wikłają...

„Stop! Nie! Trzeba zagłuszyć te myśli. Telewizor jest idealnym rozwiązaniem. Bezmyślne oglądanie wszystkiego, co leci, załatwi sprawę”.

Nie. Jednak się myliła. Już w pierwszym obejrzanym serialu jedna z bohaterek ma groźną torbiel. No pięknie. Koniec z telewizorem. Lepiej już zamknąć się w pokoju i bić się z tymi podłymi myślami.

Mija dzień za dniem, Celina ani myśli podnosić się z łóżka, nie chce widzieć rodziców ani w ogóle nikogo. Nie chce mieć kontaktu z ludźmi. Po co jej ten zakłamany świat? Samej jest łatwiej. Samopoczucie pogarsza się coraz bardziej. Każdy dzień jest coraz większą męką. Cztery ściany jakby z każdą minutą się zaciesniają. Czas się ciągnie.

Kolejna wizyta u lekarza, pierwsze wyjście z domu od wielu dni. Leki pomogły, guz się zmniejszył, operacja nie będzie konieczna. Rodzice się cieszą, ale Celina nie czuje ulgi. Wracą do domu i wciąż chce być sama. Zaczyna nienawidzić siebie samej. Nie potrafi dłużej udawać szczęśliwej. Nie chce...

I ZANIM MINIE DZIEŃ

Siostra właśnie wróciła z wakacji, a że pokój jest wspólny, skończył się azył samotności. Trzeba powrócić do kontaktów międzyludzkich. Jednak dalej nie sprawiają one przyjemności, są swego rodzaju torturą duszy.

Rozpoczyna się kolejny rok szkolny. „Co za męka. Ile ludzi. I znowu pełno tych przepychających się, uśmiechniętych sylwetek, których jedynym problemem jest za duża liczba zadań domowych”.

Celina czuje się jak cień. Cały czas odnosi wrażenie, że stale ucieka, że jest nie w tym miejscu, gdzie powinna być. Ulgę daje jedynie taniec i potem zamknięcie się w pokoju. Coraz bardziej nie lubi przebywać między ludźmi. Nasila się poczucie gorszości i niższości.

Nastolatka nie chce się pokazywać w miejscach publicznych, bo uważa, że nie ma do tego prawa. Pełna luster sala treningowa jest jedynym miejscem pozwalającym ukoić duszę. Dodatkowym pocieszeniem są nieustające pochwały prowadzących. Niestety, i tu nie jest łatwo. Kolejne kontuzje dają się we znaki. Największy problem stanowi skrecona kostka.

„Jak tańczyć ze skreconą kostką? A jak powstrzymać się od tańca? Trudno. Poboli, poboli i przestanie”.

A każdy dzień bez tego ruchu pogarsza jej samopoczucie. Już lepiej cierpieć fizycznie niż psychicznie. Każde naciśnięcie stopą na ziemię wywołuje okropny, przesywający ból, który ciągnie się aż do łydki. Po treningu boli jeszcze bardziej. Ale jakie słodkie jest odczuwanie tego ucisku. A po nocy przychodzi dzień.

Znowu te wszystkie irytujące zajęcia. „Dlaczego czuję się tu jak gówno?”. W domu otwiera książkę, by się uczyć, lecz zamiast nauki patrzy dwie godziny na jedną stronę, pochłonięta różnymi myślami. Tak, myślami:

„A gdyby po prostu zniknąć z tego świata... Nikomu już więcej nie wadzić. Nikogo nie drażnić własnym bytem”.

Tylko jak to zrobić? Musi być szybko i bezboleśnie. Noc. Ciemno. Oślepiające lampy samochodów. Krawędź chodnika. Tępy wzrok. Jadą. Jadą. Jadą. Co to za prędkość? Co się stanie, jak skoczy? A co jeśli przeżyje taką próbę? I jeśli zostanie kaleką? Strach paraliżuje jej ciało i myśli.

Z otępienia wyrwa ją głośny dźwięk telefonu. Jutrzejsze tańce rozpoczyna się pół godziny później. Tańce. Ciepła fala na sercu. Już jutro będzie tańczyć. To jest lepszy dzień, przepełniony radością. Każdy ruch w rytm muzyki przenosi w inny wymiar...

I powraca szara rzeczywistość. Jak umrzeć? Na pewno nie będzie się wieszać, rzucić się nie ma skąd, odkręcając gaz, może zabić nie tylko siebie. W zasadzie ciekawą opcją jest zamrożenie. „*Podobno gdy już się umiera, całe ciało ogarnia przyjemne ciepło, a śmierć przychodzi w postaci kojącego snu. Dlaczego zaczęło jej się robić ciepło?*”. Teraz nic z tego nie wyjdzie. Jedyne, co osiągnie, to wredne choróbko.

Nadchodzą kolejne dni. Znowu czas tańca, wirowania, zakładania uśmiechu, który miał być sztuczny, ale jednak jest prawdziwy. Chwile wytchnienia i odpoczynku. Weekend. Po weekendzie. Szkoła. A żyły?

„Co za intrygujące uczucie dotykanie ostrzem skóry, przesuwanie w jedną i drugą stronę”.

Może nie nóż. Może żyłeczka. Jedno, drugie, trzecie delikatne nacięcie. Czwarte. I jest krew. Cieknie. Nawet nie boli. Nie jest źle. Ktoś idzie! Szybko! Chować wszystko! Uśmiech!

Przerwa między lekcjami. Znowu ten ścisk na korytarzach.

„Aldona. Dlaczego ona się tak codziennie uśmiecha? Przede mną nie ukryje, że też jest nieszczęśliwa”. Każdy jest nieszczęśliwy. Świat składa się jedynie z bólu, cierpienia i zakładania masek.

Gorący news w szkole. Koleżanka siostry się powiesiła. „*Wow. Dąta radę. Jedna odważna*”. Trzeba dyskretnie podpytać siostrę:

– *Gosiu? Jak Agata się zabiła, to pomyślałaś o tym samym?*

– *Nie! Co Ty. Samobójstwo to tchórzostwo. Nikt nie ma prawa decydować o śmierci. Wyobraźasz sobie, jak musi się czuć teraz jej rodzina? Nie dość, że cierpią, to jeszcze są wytykani palcami.*

„Co to za odpowiedź? Samobójstwo to tchórzostwo? Od kiedy?”.

Coś tu nie gra. Co za mętlik... Dobra. Skoro tak, to ona też stawi czoła. Od teraz chce żyć, zmienić coś w swym życiu. Poradzi sobie. Od czego zacząć? Jak wstać? Uśmiechać się do samej siebie, myśleć pozytywnie.

Tak. Zawsze jakiś początek. Chwilami to pomaga, ale potem upada się niżej. A każdy upadek boli jeszcze bardziej. Celina zawsze była miła dla ludzi i ochoczo pomagała, bo wiedziała, że kiedyś nadejdzie dzień, że to ona będzie potrzebować wsparcia. Stwierdza zatem, że skoro nie daje rady sama, to tym razem poprosi o pomoc.

Mama. Może mogłaby umówić ją z psychologiem. Niestety, ona wszystko powiedziała tacie, który jest przeciwnikiem udawania się do takich osób:

– *Celina! Co ty znowu wymyślasz?! Psychologa ci się, kurwa, zachciało?! Żle ci?! Brakuje ci czegoś?! Po jaką cholere chcesz opowiadać obcemu konowałowi o nie wiadomo czym?! Idź do pokoju i nawet mnie nie wkurwiał! Nie chce więcej słyszeć o takich pomysłach!*

Mama. Dlaczego? Dlaczego to zrobiła? Czy nie rozumie, że jest źle? Znowu ból. Ogromny zawód. Nikomu nie można ufać. Nikt nie chce pomagać. Na szczęście jest taniec. On nie zadaje pytań. On nie zdradza tajemnic. On po prostu jest blisko...

NIE PYTAJ PRZECIEŻ WIESZ

Do każdego los się kiedyś uśmiecha. Spotkania parafialnego KSM (Katolickie Stowarzyszenie Młodzieży) gromadzą sporo osób. Stałe uczęszczanie pozwala złapać bliższy kontakt z uczestnikami. Ludzie są różni i każdy ma swoje problemy. Niektórym życie daje mocno w kość, ale przy tym dużo też ich uczy.

Kasia widzi, że Celina potrzebuje pomocy, dostrzega te zablakane, błagające oczy. Sama leczyła się psychiatrycznie na nerwicę natręctw. Pamięta,

jak to przeżywała. Teraz widzi kogoś, kogo może wesprzeć. Otula Celinę skrzydłem przyjaźni i ciepła, zdobywa zaufanie, opowiada swoją historię.

Nie trzeba wiele. Wystarczy być i rozumieć. W krótkim czasie do dziewczyn dołącza kolejna koleżanka, która również rozumie, czym jest cierpienie, która też swoje przeszła. Celina promienieje wśród osób, które ją rozumieją. Jej stan psychiczny poprawia się pomimo ciągłych huśtawek nastroju.

Teraz, gdy zaczyna być lepiej, oczywiście musi się coś wydarzyć. Wraz z ukończeniem gimnazjum Celina chce zrezygnować z tańca towarzyskiego. Bariera czasowa, finansowa i odległościowa okazuje się zbyt duża. Znowu to poczucie beznadziejności. Łzy strumieniami toczą się z oczu. Serce boli tak, jakby zdradził ją ktoś najbliższy. Gdziekolwiek się uda, wszędzie zauważa jakiś ślad tańca. „*Autobus. Radio. „Wake me up, before you go go” zespołu WHAM. Przecież to moja piosenka...*”.

A ona już nigdy nie zatańczy. Drzwi się zamknęły. Nuta za nutą przypominają pełne pasji ruchy. Łzy znowu cisną się do oczu.

Wakacje upływają na domowych ćwiczeniach przepełnionych bólem, żalem i tęsknotą. Nowa szkoła rozpoczyna nowy etap życia. Celina chce się oderwać od przeszłości, być normalną dziewczyną, zwykłą nastolatką jak wszystkie inne.

Pierwszy dzień. Trzeba podejść do wszystkich, poznać jak najwięcej ludzi, uśmiechać się szczerze i cieszyć każdą chwilą. Po kilku dniach okazuje się, że w gminie rusza zespół tańca współczesnego. Ach, współczesnego. To nie jest to samo. Ale zawsze taniec. Może warto spróbować.

Pierwsza próba. Fajni ludzie, ale styl nie ten. Jak ona się w tym odnajdzie? Życie znowu wiruje. Tyle nowości.

Mama w końcu zainteresowała się problemami córki i umawia ją na konsultacje z psychologiem. Wszystko zaczyna się układać. Hierarchia wartości układa się tak jak powinna. Zmiana nie jest łatwa. Czasem dawne myśli wracają. Dzieje się coś dziwnego. Tłum. Zaduch. Brak powietrza. Powietrza... Co się dzieje? Gdzie jest? Cemu leży? Zemdląca. Pierwszy raz w życiu. Cemu? A jeśli jest na coś chora? Negatywne myśli znowu wypełniają umysł.

Kolejne ataki duszności. Kolejne omdlenia. Znowu szpital. Nikt nic nie wie. Wysyłają ją z jednego na drugi oddział. Ktoś nawet podejrzewa, że jest wariatką i powinna przyjmować psychotropy.

„Co za szaleństwo! Dlaczego znowu nikt nie może mi pomóc? Dlaczego nie może być dobrze? Chcę tańczyć! Nie chcę tu być!”.

W szpitalu poznaje wiele osób, tak różnych i tak innych od siebie, które otwierają jej oczy na pewne sprawy. To jest dopiero kompletna zmiana otoczenia. Nie nowa szkoła. Szpital! Po wyjściu wszyscy zauważają dużą zmianę osobowościową. Większość osób ocenia ją pozytywnie.

„Osobowość kształtuje się nie przez piękne słowa, lecz pracą i własnym wysiłkiem” A. Einstein.

BIERZ ŻYĆE JAKIE JEST

Tymczasem w życiu Celiny pojawił się nowy styl tańca, który staje się odzwierciedleniem jej duszy – styl jazzowo-współczesny. Dzięki niemu już od kilku lat może w pełni oddawać swoje emocje na parkiecie.

„To pomaga mi zbudować pewność siebie i szacunek do własnej osoby”.

Od teraz dziewczyna stara się udowodnić sobie, że nie jest od nikogo gorsza w żadnej kwestii. Próbuje pokazać sobie, że wszystko jest dla ludzi, czy to zagadywanie nieznanym, czy wchodzenie do drogich sklepów, w których i tak nic się nie kupi.

Tak mija cały okres liceum. Obecnie, już jako studentka, korzysta z każdej możliwości rozwoju tanecznego. Bierze udział we wszelkiego rodzaju warsztatach, wydarzeniach tanecznych, tańczy w zespole i indywidualnie. Jest szczęśliwa.

„Taniec daje wolność, pozwala zapomnieć o wszystkich problemach. Kilka dni przerwy wywołuje napięcie, które schodzi przy kolejnym treningu. Ból związany z treningami jest bardzo przyjemny, bo jest to ból pasji. Zmarnowałam lata gimnazjalne. Moje motto życiowe brzmi: »Nie marnuj życia, korzystaj ze wszystkiego, co daje ci los. Nie czekaj na coś, co się wydarzy. Żyj pełnią życia, by móc umrzeć zadowolonym z każdej przeżytej chwili“.

SYLWIA CZEKAJ

Marzenia, praca, SM... i ja



Cieszę się z rzeczy, o których najprawdopodobniej nawet bym nie pomyślał, gdybym był zdrowy. Jestem świadomy przemijania, tego, co mam, jest to piękne przemijanie, bo dostrzegam wartość rzeczy na pozór błahych. I nie chcę być tu źle zrozumiany, nie cieszę się z tego, że jestem chory, ale z tego, co mam... Jeszcze mam...

STUDIO FOTOGRAFICZNO-FILMOWE

Mateusz od dziecka mieszka w Katowicach, ma 32 lata i jest chory na stwardnienie rozsiane od 6 lat. Gdy otwiera drzwi do swojego mieszkania, sprawia wrażenie zdrowego, młodego człowieka. Dopiero gdy idziemy do pokoju, można dostrzec, że porusza się przy pomocy laski, a jego ręce lekko drżą.

I już na początku zaskoczenie. Mateusz jest bardzo otwarty i ciągle uśmiechnięty. Kiedy chciałem zadać pierwsze pytania, o diagnozę, jak zareagował na chorobę, czy wiedział, co oznacza dla niego, że jest chory na SM..., nie dał skończyć. To on zaczął mi zadawać pytania...

– Ty godosz po śląsku?

– No nie, nie godom.

– A... to pytaj, jak czegoś nie zrozumiesz.

O początkach choroby opowiada z uśmiechem.

– Zaczęło się, gdy miałem 25 lat. Kończyłem wówczas studia z zarządzania i marketingu, spotykałem się z cudowną brunetką. Ona również studiowała zarządzanie, tylko że rok niżej. Byłem wtedy, jak to się mówi na filmach, przekonany, że zdobędę świat. A miałem na to wiele pomysłów. Przed studiami pracowałem w wielu miejscach: w restauracji, przy budowie, rozdawałem ulotki... Ale wciąż marzyłem o swojej firmie, chciałem mieć własne, profesjonalne studio fotograficzno-filmowe. Poza robieniem wszelakich zdjęć firma zajmowałaby się filmowaniem ślubów, komunii i innych uroczystości. A z czasem może by się udało nawiązać współpracę z lokalną telewizją. Chciałem też mieć mały domek na obrzeżach miasta, żonę, dwójkę dzieci i psa. Wiem, to strasznie banalne, ale tak właśnie wyobrażałem sobie przyszłość.

DIAGNOZA I DEPRESJA

– Ale wracając do sedna... Po wykładach prawie zawsze szedłem z dziewczyną na spacer albo do restauracji. Zdarzało się, że gdy wracałem do domu, miałem problem z lewą nogą. Była jakaś cięższa, jakby nie moja, a w nocy drętwiała mi ręka. Początkowo nic sobie z tego nie robiłem, ponieważ owa niedogodność ustępowała. Jednak mniej więcej po roku nasiliły się problemy z chodzeniem do tego stopnia, że trafiłem do szpitala. Lekarze nie wiedzieli, co jest przyczyną takiego stanu rzeczy. Zrobiono mi szereg badań, dostałem jakieś kroplówki oraz tabletki. I ponownie stanąłem na nogi. Gdy otrzymałem wynik rezonansu magnetycznego, lekarz bardzo poważnym tonem powiedział: „Przykro mi bardzo, ale jest pan chory na stwardnienie rozsiane”. I sobie poszedł.

– Pamiętam, że chyba najgorzej przyjęła tę wiadomość moja mama. Nie dawała mi poznać, że się martwi, ale widziałem jej czerwone od płaczu oczy.

Mnie trafiło nieco później. Najpierw odnalazłem w internecie stronę promującą kampanię uświadamiającą społeczeństwo, czym jest SM. Znalazłem tam wiele filmików i opisów ludzi, którzy walczą z chorobą. Ku mojemu pokrzepieniu każda z tych osób była zadowolona z życia, pełna energii, a nawet gdy poruszała się na wózku, to dawała świadectwo, że nie stanowiło dla niej to jakiegos wielkiego problemu.

Šok był dopiero wtedy, gdy kolejny raz zaniemogłem. Trafiłem wtedy na rehabilitację, poznałem wielu ludzi cierpiących na różne schorzenia, ale był tam jeden pan po czterdziestce, który chorował na stwardnienie. Większość czasu leżał, sanitariusze wyciągali go z łóżka tylko na zabiegi, samodzielnie nie dał rady nawet siedzieć, ciągle w pieluchach. Rzadko rozmawiał o chorobie, ale mówił, że z roku na rok było gorzej.

Okazało się, że rehabilitacja mi pomogła, ale do pełni sił już nie wróciłem, dopadła mnie depresja... Było naprawdę trudno, miewałem myśli samobójcze. Wiedziałem, że muszę coś ze sobą zrobić.

WYDOBYĆ POZYTYWNA ENERGIĘ

Mateusz, mówiąc o depresji i myślach samobójczych, nieco posmutniał. Naszą rozmowę przerywa gwizd czajnika.

– To co, napijemy się herbaty? – pyta, a na jego twarzy ponownie pojawia się uśmiech.

Kiedy słucham historii Mateusza, zastanawiam nad tym, skąd w tym chłopaku tyle spokoju i radości. Bez obiektywności więc pytam go o sposoby pokonywania depresji i odnajdywania pogody ducha w tak ciężkiej chorobie.

– Depresja nie trwała długo, w miarę szybko zebrałem się w sobie. Pomogli mi bliscy, rodzina, znajomi, przyjaciele. Teraz już wiem, że nigdy więcej nie będę się nad sobą zbyt użalał. A skąd brać energię? To bardzo proste, mogę teraz rozmawiać z tobą, pracować, w wolnej chwili oglądać głupie filmy na YouTube albo położyć się i płakać. Nie wiem, co ty byś wybrał, ale ja wolę coś robić, czymś się zająć.

Są różne postacie stwardnienia rozsianego: rzutowo-remisyjne, wtórnie postępujące, pierwotnie postępujące, różnią się tym, jak choroba się objawia, rzutami, czy postępuje. Mnie lekarz powiedział, że mam postać wtórnie postępującą. Oznacza to, że co jakiś czas pojawia się rzut choroby i zawsze coś po tym rzucie zostaje, np. drżenie ręki, powłóczenie nogą. Zrozumiałem, że muszę się cieszyć z rzeczy, o których najprawdopodobniej nawet bym nie pomyślał, gdybym był zdrowy. Jestem świadomy przemijania, tego, co mam. Jest to piękne przemijanie, bo dostrzegam wartość rzeczy na pozór błahych. I nie chcę być tu źle zrozumiany, nie cieszę się z tego, że jestem chory, ale z tego co mam... Jeszcze mam...

Obecnie nie ma żadnego lekarza ani leku, który by zwalczył tę chorobę, trzeba znaleźć w sobie wewnętrzną siłę, by codziennie walczyć. A nierzadko jest to walka bardzo uporczywa, niczym zmagania Don Kichota z wiatrakami. Tyle tylko, że nie jest to walka daremna. Zrozumiałem, że SM to nie wyrok, to walka z własnymi słabościami. Świadomość, że nie jest się osamotnionym w chorobie, to ogromna pomoc. A takich jak ja jest bardzo wielu. Ostatnio czytałem, że na stwardnienie rozsiane choruje syn Ozzy'ego Osbourne'a, lidera grupy Black Sabbath, którą uwielbiam. W ogóle w USA dużo się mówi o takich jak ja, wiele osób publicznie deklaruje: „Tak, jestem chory na stwardnienie rozsiane”. U nas powoli zmierza to w dobrą stronę, zaczynają się pojawiać podobne kampanie społeczne. Są one bardzo potrzebne chorym i ich rodzinom, by pomóc im wydobyć z siebie pozytywną energię.

W AGENCJI REKLAMOWEJ

Mateusz bierze do ręki szklankę z herbatą i podchodzi do okna.

– Zielona z malingą, moja ulubiona. Dostałem od brata. Smakuje ci?

Herbata była znakomita, bardzo mi smakowała, co wyraźnie ucieszyło gospodarza.

Kiedy się rozglądałem po mieszkaniu, zaciekało mnie biurko, na którym poza komputerem leżały różnego typu ulotki, reklamy, gazety.

– To z pracy, czasami zabieram część zadań do domu. Praca jest dla mnie bardzo ważna. Poczucie obowiązku zmusza do działania. Pracuję w małej agencji reklamowej. Do pracy mam pięć minut na piechotę, no dobra, ja idę pół godziny. Zajmujemy się produkcją reklam. Ja projektuję ulotki i reklamy do lokalnych gazet. Na szczęście nikt nie traktuje mnie tutaj ulgowo. Jak się nie wyrobię na czas z robotą, to dostaję ochrzan od szefa. I może nie zarabiam kokosów, ale zazwyczaj zapominam o postępującej chorobie. Zakładam słuchawki, włączam komputer i robię, co do mnie należy.

Ale gdybym się wyjątkowo źle czuł, zawsze mogę zadzwonić do firmy, zostać w domu i pracować zdalnie. Na razie skorzystałem z tego udogodnienia dwa razy. Z szefem dogaduję się dobrze, natomiast ze współpracownikami różnie bywa. Pracujemy w małym zespole, jest nas siedmioro, zdarza się niestety, że gdy robię sobie przerwę, żeby rozprostować kości albo gdy potrzebuję na coś nieco więcej czasu, odczuwam niezadowolenie ze strony niektórych z nich. Odnoszę wrażenie, że uważają, że coś symuluję, bo jestem leniwy. Nie zaprzęgam sobie jednak tym głowy, bo i po co?

Mateusz pokazuje różne katalogi, ulotki i wizytówki, które zaprojektował. Jest ich naprawdę sporo.

– O, nad tym właśnie skończyłem dzisiaj pracować – podaje mi wydruk ulotki miejscowej knajpy.

NIEDOSTĘPNE TERAPIE

– Pogodziłem się z tym, że niemal na pewno już nigdy nie będę zdrowy. Co prawda, niekiedy pojawiają się sensacyjne wiadomości o tym, że ktoś gdzieś wynalazł lekarstwo na SM i ludzie wstają z wózków. Ale później cisza... Doskonale zdaję sobie sprawę z tego, że medycyna idzie naprzód i może wiele zaoferować ludziom ciężko chorym. To jednak wymaga czasu. Żeby wprowadzić lek, potrzebne są badania jego skuteczności, trzeba sprawdzić, czy nie wywołuje on skutków ubocznych itd. Ale nawet gdyby taki cudowny lek pojawił się na rynku, to zapewne najwycyżnij w świecie nie byłoby mnie na niego stać...

Obecnie SM jest leczone na przykład interferonem, taka terapia zatrzymuje chorobę albo znacząco ją spowalnia. Niestety, Polska zajmuje przedostatnie miejsce w Europie, przed Białorusią, pod względem dostępności do tej terapii. Tylko ok. 5 procent chorych ma szansę, by skorzystać z leczenia refundowanego przez Narodowy Fundusz Zdrowia, podczas gdy w większości krajów Unii Europejskiej takie leczenie ma zapewnione ok. 30 m procent chorych, w USA około 45 procent. Dlatego nie robię sobie złudnych nadziei na wyzdrowienie.

Stwardnienie rozsiane (łac. *sclerosis multiplex*, SM) to przewlekła i postępująca choroba ośrodkowego układu nerwowego. Schorzenie najczęściej dotyka ludzi młodych, zazwyczaj jest diagnozowane między 20 a 40 rokiem życia. W Polsce ze zdiagnozowanym SM żyje ponad 50 tys. osób. W skali światowej szacuje się, że schorzenie dotyka blisko 2,5 mln chorych. To jedna z najczęstszych, przewlekłych i nieuleczalnych chorób neurologicznych. Choroba początkowo przejawia się w różny sposób. Najczęstsze objawy to zaburzenia wzroku, problemy z równowagą, nietrzymanie moczu, drętwienia dłoni, nóg. O zmaganiach z chorobą możemy przeczytać w książce Anny Bartuszek „BeStia ujarz Miona”. Są również filmy, takie jak „When I Walk” i „Kładko Family”.

nie. Przede wszystkim korzystam z wyjazdów rehabilitacyjnych, ostatnio byłem w Iwoniczu-Zdroju. Pozwalają mi one naładować akumulatory i zwiedzić nowe miejsca.

PRZED WSZYSTKIM CHCE MI SIĘ ŻYĆ

Mówiąc o wyjazdach, Mateusz wyraża nie się ożywia, wyciąga album ze zdjęciami z ostatniego wyjazdu.

– O, tutaj jest pijalnia wód mineralnych. Mają bardzo duży wybór różnego typu wód.

Potem nasza rozmowa skierowała się w stronę przyszłości.

– Tak na krótką metę to chciałbym w weekend iść do kina. A w dłuższej perspektywie pracować najdłużej, jak tylko będzie to możliwe. Na razie się to udaje, praca jakoś specjalnie mnie nie męczy, ale daję wiele radości. Z całą pewnością zrobię wszystko, by tylko każdego dnia mieć po co wychodzić z domu. Zamknięty w czterech ścianach, na pewno bym zwariował. Z dziewczyną, o której mówiłem, że spotykałem się na studiach, już się nie widuję. Rozstaliśmy się, gdy nie wiedziałem jeszcze, że jestem chory. Rodziny raczej nie planuję zakładać, domu z ogrodem i psem też raczej nie będę miał, ale niedawno kogoś poznałem, jest starsza ode mnie o dwa lata i też ma SM. Kto wie, może zaprzyjaźnimy się nieco bardziej...

Chciałby się wybrać nad morze, pospacerować po sopockim molu, znaleźć bursztyn na plaży. Ma również kilka książek, które czekają na przeczytanie, ale na razie brakuje mu na to czasu.

– Myślałem o prowadzeniu bloga, na którym mógłbym opisywać moje małe zwycięstwa i sukcesy, ale również porażki i smutki. Może kiedyś zdecyduję się na taki wirtualny pamiętnik. No i przede wszystkim chce mi się żyć! I będę się starał, by tego uczucia choroba nigdy mi nie odebrała...

STANISŁAW CYGAN



Znaleźć słoneczną stronę życia...

O tym, jak naprawdę umieć słuchać, kochać i pomagać, z **ANNA DYMNA**, aktorką teatralną i filmową, działaczką społeczną prezesem i założycielką Fundacji „Mimo Wszystko”, rozmawia Krzysztof Kawik



20

▪ Kiedy pierwszy raz spotkała się pani z ludźmi niepełnosprawnymi?

– W 1999 r. pojechałam do Radwanowic, tam też pierwszy raz w życiu zetknęłam się z ludźmi niepełnosprawnymi intelektualnie, podopiecznymi ks. Tadeusza Isakowicza-Zaleskiego. Nie znałam wcześniej takich ludzi, za mojej młodości nie miałam szansy ich spotkać. Nie uczestniczyli w naszym codziennym życiu, byli izolowani od społeczeństwa. Nie wiedziałam więc, czy będą umiała ich zrozumieć i czy oni rozumieją mnie. Doskonale pamiętam ten dzień, czułam, że znalazłam się na jakiejś innej planecie. Przez pierwszych pięć minut byłam w szoku, dlatego że otoczyła mnie grupa nieznanymi mi ludźmi. Rzucali się na mnie całowali, mówili „Mamo”, przytulali się, ktoś płakał, ktoś mówił jakiś wiersz, ktoś coś śpiewał. Jednak po kilku minutach poczułam, że jestem wśród ludzi, którzy mnie lubią, Igną do mnie, potrzebują mojej obecności i to nie dlatego, że jestem panią z ekranu. Większość w ogóle nie wiedziała, że jestem aktorką. Zaprzyjaźniłam się z nimi. Zaczęłam do nich przyjeżdżać. Pomagałam im robić przedstawienia. Poznałam ich potrzeby, uczucia, marzenia, lęki, cierpienia. I gdy po kolejnej nowelizacji ustawy o zatrudnieniu i rehabilitacji osób niepełnosprawnych trzydziestu podopiecznych Fundacji Brata Alberta straciło prawo do korzystania z warsztatów terapeutycznych, gdy groziło im wyrzucenie poza nawias życia, trzeba było ich ratować. Ksiądz Zaleski powiedział wtedy do mnie: „Niech pani coś zrobi”. Co miałam zrobić? Nie miałam czasu na długie myślenie...

▪ Wówczas narodziła się myśl o powołaniu do życia fundacji?

– Tak. Szybko mi ją zarejestrowano. Na początku byłam sama. Wiedziałam tyle, że muszę mieć fundację poza domem, że nie wolno tego łączyć z domem i z życiem prywatnym. Dobry człowiek dał mi mały pokój i pożyczył księgowego. Wiedziałam bowiem, że jak mi ktoś wpłaci złotówkę, muszę ją mieć zarejestrowaną, wiedzieć, na co ją wydaję. I tak powoli, powoli powstawała fundacja. Teraz mamy już ponad sześćdziesięciu pracowników, dwa ośrodki. To się po prostu tak pięknie, lawinowo rozwija...

▪ Co jest dla pani najtrudniejsze w działalności fundacji?

– Nie lubię mówić o tym, co najtrudniejsze. Pomaganie łatwe nie jest, ponieważ żyjemy w takim dziwnym społeczeństwie, że jeżeli pomagasz, to zaraz cię podejrzewają, że coś się za tym kryje. Ja jestem wolontariuszem fundacji, więc te pytania „uschły w ustach”. Jeżeli zaś chodzi o kłopoty techniczne, to są one ogromne. Kiedy zakładasz fundację, musisz dokładnie wiedzieć, po co ją zakładasz. Myśmy założyli fundację, by pomagać ludziom niepełnosprawnym intelektualnie. Dlaczego im? Bo ja się z nimi zaprzyjaźniłam. W prowadzeniu fundacji spotykam się z gąszczem przepisów, które są do interpretacji i ciągle się zmieniają, i to jest najgorsze. Nie zajmujemy się dziećmi chorymi na raka, które mogą wyzdrowieć, będą robić karierę, koń-

czyć studia, zakładać rodziny. My się zajmujemy ludźmi, którzy nigdy nie będą inni, będą zawsze tacy sami. Oni sobie sami w życiu nie poradzą, ale mogą być albo bardzo smutni i nieszczęśliwi, albo uśmiechnięci. I nasza fundacja robi wszystko, by tacy ludzie mogli się uśmiechać. I nam się to udaje. Wybudowaliśmy Dolinę Słońca, tutaj pod Krakowem, stworzyliśmy warsztaty terapeutyczne nad morzem, tam też będziemy budować ośrodek, jeżeli uzbieramy jeszcze tych kilkadziesiąt milionów...

▪ Czego można się czegoś nauczyć od osób niepełnosprawnych intelektualnie?

– To są ludzie prości, czyści jak łąka. Dla nich czarne jest czarne, białe jest białe. Mózgami nie umieją niczego skomplikować, zmanipulować, zabić, bo mają je niesprawne i po prostu nie potrafią. My mózgami często zabijamy wszystko. Kombinujemy, co nam się opłaca, co wypada, co nie wypada. Oni świat pojmują sercem, uczuciami. Choć często nie umieją się poprawnie zachowywać, nie wyczuwają chwili, ale wiedzą, co jest naprawdę człowiekowi potrzebne. My często się w tym gubimy, gonimy za pieniędzmi, depczemy uczucia, kombinujemy – nieraz przez to jesteśmy samotni i zapominamy o najważniejszym. Oni wiedzą, że najważniejsze jest to, by obok był ktoś, kto trzyma za rękę, z kim można popłakać, pośmiać się, kto przytuli w trudnej chwili. Mają niby takie pierwotne potrzeby, ale przebywając z nimi, uświadamiam sobie, że właśnie one są najważniejsze. Jeżdżąc do nich, uczę się tego od nowa. Kiedy mają obok człowieka, to potrafią się cieszyć jak nikt, być wdzięczni, zawsze mówią prawdę. Dla mnie są to najpiękniejsze istoty. My, niestety, oceniamy ludzi po wyglądzie, po tym, jaką karierę zrobili, dlatego tych odrzucamy, bo często są brzydki, nieforemni, dziwnie się zachowują, nie robią karier. Dlatego ludzie się często od nich odwracają, a ja muszę czasem odpowiadać na przerażające pytania; „Po co pani właściwie wydaje społeczne pieniądze na tych głupków?”. A my powinniśmy się do nich zbliżyć, wtedy świat byłby zdrowszy, piękniejszy...

▪ Czyli praca z osobami niepełnosprawnymi może nas uzdrowić...

– To są naprawdę piękne istoty, wrażliwe i dobre. Trudno o tym mówić, jak ktoś ich nie zna, dlatego chciałabym bardzo, żeby weszli w nasze życie, żebyśmy mogli się do nich zbliżyć, nie bać się ich, być z nimi. I byśmy zobaczyli, jak często głupio żyjemy, czego nie dostrzegamy i za jakimi złudnymi wartościami gonimy w życiu. Znam dziewczynę, która chciała popełnić samobójstwo, miała depresję. Odkąd zaczęła współpracować z osobami niepełnosprawnymi intelektualnie, napisała mi: „Ja muszę się teraz dobrze czuć, bo ja mam przecież moich podopiecznych, oni mnie lubią. Nie mogę mieć depresji”. Oni naprawdę mają coś takiego w sobie, są piękni, ale trudno o tym mówić, jak ktoś ich nie zna.

- **W programie „Spotkajmy się” spotyka się pani z ludźmi, których dotknęły najgorsze nieszczęścia. Czy wiara w Boga im pomaga?**

– Wiara jest bardzo ważna. Daje siły w najtrudniejszych momentach, nadaje sens wszystkiemu, nawet cierpieniu. Ci ludzie często odwracają się od Boga, tracą wiarę, buntują się, ale później jakoś odbijają się od tego cierpienia, odnajdują siły i sens w tym, co ich spotkało, i potrafią być szczęśliwi. Ważne, by nie byli sami. „Miłość jest wszystkim, co istnieje” – powiedziała poetka Emily Dickinson. Miłość to największa siła, która ratuje człowieka, uruchamia go. Ludzie, którzy wierzą w Boga, mają szczęście, ponieważ nigdy nie są sami i wiedzą, że wszystko, co się dzieje w ich życiu, ma jakiś sens.

- **Dla wielu ludzi pozostaje pani autorytetem. A kto kimś takim jest dla pani?**

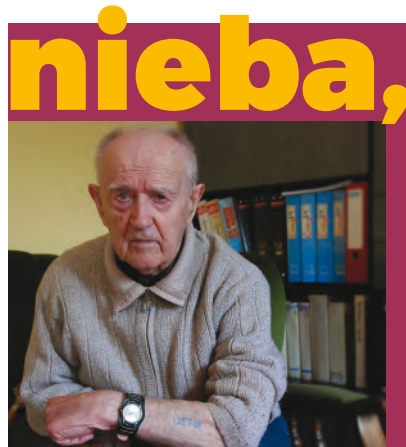
– Gdybym nie miała autorytetów, tobym w ogóle nie żyła. Najpierw mama i tata. Bliskie autorytety są najważniejsze. To, co się dzieje w dzieciństwie, rzutuje na całe życie. Potem miałam szczęście, bo spotykałam się z wybitnymi artystami, aktorami, poetami, reżyserami. Przyjaźniłam się zawsze ze starszymi ludźmi. Iluż błędów dzięki nim nie popełniłam w życiu. Trzeba by zrobić kampanię, żeby uświadomić wszystkim, jakim skarbem są starsi ludzie. U nas często jest tak, że jak człowiek staje się stary, to „na śmiet-

nik”, a w takich ludziach jest przecież mądrość doświadczenia! Teraz autorytetami dla mnie są moi podopieczni. Nie wiedzą o tym, bo nie rozumieją, co znaczy to słowo. Są nimi również rozmówcy z programu „Spotkajmy się”. Nie wspominam oczywiście o wielkich, wybitnych reżyserach i aktorach, o których bardzo trudno mówić. Jurek Trela, którego znam całe życie, czy Ania Polony. Nie wiem, jakimi słowami nazwać to, co nas łączy. To jest prawdziwa, czysta miłość. Nie wyobrażam sobie życia bez nich. Albo Jurek Hoffman, Kazio Kutz czy Janusz Majewski. To są ludzie, z którymi przecież nie spotykam się na co dzień, bo mamy swoje życia, ale wiem, że oni są, że gdzieś tam oddychają i czasem o mnie myślą. To daje mi siły. I gdyby nie oni, nie byłabym taka, jaka jestem. Jan Paweł II jest dla mnie wielkim autorytetem i to, co kiedyś mówił, pomaga mi w trudnych chwilach. Znalazłam niedawni takie jego zdanie: „Kimkolwiek jesteś, jesteś kochany i pamiętaj, że każde życie, nawet bezsensowne w oczach ludzi ma wieczną i nieskończoną wartość w oczach Boga”. Powtarzam sobie to zdanie, gdy walczę o moich niepełnosprawnych przyjaciół. Każdy człowiek jest godny miłości, bo jest człowiekiem, i w każdym jest dobro i iskra Boga. Nie można pogardzać drugim człowiekiem, gdyż w nim jest właśnie owa iskra...

Rozmawiał
KRZYSZTOF KAWIK

– Pójdę do nieba, bo w piekle już byłem...

O dobrych ludziach z Auschwitz,
o przebaczeniu, kanapkach, które
uratowały życie, i tęsknocie za
Polską Dominika Cicha rozmawia
z **MARIANEM WACHEM**



21

- **Jak to możliwe, że szesnastoletni chłopak, który nie należy do żadnej organizacji, zostaje nagle więźniem politycznym? Co się stało 28 maja 1943 r.?**

– Ośmiu gestapowców zapukało do drzwi i zapytało moją mamę: „Gdzie jest twój syn, ten niebezpieczny bandyta?”. Wymknąłem się z domu, bo przecież wiedziałem, że jak „bandyta”, to kulka w łeb i już po mnie. Zabrałem ze sobą motykę, żeby w razie czego powiedzieć, że idę obsypywać ziemniaki. Nie wiedziałem, że cała wieś jest obstawiona tak, że nawet mysz by się nie prześlizgnęła. Nagle kula przeleciała mi koło ucha i usłyszałem „Hande hoch!”. Myślałem, że ktoś sobie robi żarty. Jakubowski, polski granatowy policjant, pukał mnie kolbą w czoło i polała się krew. Do dziś mam wkleśłą czaszkę. Spytał: „Jak się nazywasz, czegoś się nie zatrzymał?”. Ponieważ słyszałem wcześniej, że jestem bandytą, zmieniłem swoje nazwisko. Podałem: Myszka.

- **Ze strachu zmienił pan nazwisko, a policjant potraktował je jako pseudonim...**

– Ja wtedy nie wiedziałem nawet, co to jest pseudonim. Skończyłem cztery klasy szkoły podstawowej, nie należałem do żadnej organizacji, nawet nie wiedziałem o jej istnieniu. Byłem Bogu ducha winien...

- **Dlaczego więc pana aresztowali?**

– Do dziś nie wiem, czym zawińłem... Była w naszej wsi pewna kobieta, Bronisława Starzec. Jej mąż podpisał Volkslistę, a ona podobno łajdaczyła się z Niemcami. Poszła na rękę władzy i oskarżyła mnie, mojego kolegę Mariana Bodka i czterech kolegów mojego ojca o ścięcie słupów telefonicznych, nielegalne posiadanie broni i przynależność do ruchu oporu. Ta kobieta groziła, że jeśli jej się coś stanie, cała wieś pójdzie z dymem. Nie podjęto decyzji o jej likwidacji, bo było zbyt duże ryzyko.

- **Co się stało z tą kobietą?**

– Dostała karę śmierci.

- **Gdyby nie ona, pewnie pana życie potoczyłoby się zupełnie inaczej. Wybaczył jej pan?**

– Nie. Jako katolik powinienem był, ale to za poważna sprawa. Jakby zrobiła to tylko mnie, to może bym wybaczył. Ale doniosła też na Bartosiewicza, niewinnego ojca samotnie wychowującego siedmioro dzieci. Jak miała sumienie?

■ **Tamtego dnia, gdy założyli panu kajdanki, pomyślał pan, że to już koniec?**

– Spojrzałem w niebo, bo wiedziałem, że idę na śmierć. Skuli mnie razem z Marianem Bodkiem i zaprowadzili do młyna. Stała tam nieużywana studnia, ogrodzona akacyjowymi kijami. Tak nas bili tymi kijami, że nie mogliśmy się utrzymać na nogach. Zatkukiliby nas żywcem, gdyby nie to, że nagle padł strzał. Okazało się, że strzelali do mojej siostry Janiny, która się temu wszystkiemu przyglądała z rowu. Nie wiem dlaczego, ale zaraz potem przestali nas bić. . .

■ **Nie spodziewał się pan, że to dopiero początek...**

– Byłem zalany krwią. Wszystko miałem spuchnięte: ręce, nogi. Zabrali mnie i Mariana do miejskiej łaźni. Tam nasi ojcowie przekupili żandarmerów i podali nam czystą odzież. Potem zaprowadzono nas do aresztu. Mnie zamknęli w celi nr 1 – celi śmierci. Beton i ciemno, taka nora. Nie wiedziałem, kiedy jest dzień, a kiedy noc. Na drugi czy trzeci dzień zabrali mnie do gestapo. Ustawili coś w rodzaju „kozła”, przywiązali mi ręce i nogi i zaczęło się przesłuchanie. Bili pejcami po całym ciele, ale nie będę o tym mówił. Okropność. Taką siłą miałem, że się z tego „kozła” wyrwałem. „Zabijcie!” – krzyknąłem i się sfajdałem z bólu. Przestali mnie bić, bo nie chcieli tego wachać. Założyli kajdanki i znów zaprowadzili mnie do piwnicy. Gdybym naprawdę czymś był, tobym się przyznał. Ale jak ja miałem być przestępcą?

■ **W czerwcu 1943 r. przewieziono pana na Pawiak.**

Jak wyglądało to więzienne życie?

– Zamknęli nas w celi nr 230. Leżały tam sienniki, niby ze słomy, ale była to prawie sieczka. Gnieździły się w nich tysiące pcheł. Atakowały ciało. Strząsaliśmy te sienniki nad miskami z wodą, żeby pchły łapać i likwidować. Pewnego dnia przewieziono nas do głównej siedziby gestapo na Szucha. Tam też rozpoczęło się kolejne przesłuchanie. Mówili, że jak się przyznam, to przestaną bić, ale ja przecież nie miałem się do czego przyznać! Znowu z bólu nabrudziłem. Kazali mi po sobie posprzątać. Po południu zamknęli mnie w celi śmierci nr 256. Tam się tylko modliłem. . .

■ **I czekał pan na śmierć?**

– Któregoś dnia wyprowadzili mnie z tej celi. Zmówiłem pociarek. A oni mnie znów na sukę i na Szucha. Tym razem najpierw zaprowadzili mnie do toalety, żeby nie powtórzyło się to, co ostatnio. Ale kiedy bili mnie bezlitośnie, znów nabrudziłem.

■ **I potem ponownie przewieźli pana na Pawiak?**

– Byliśmy świadkami, jak z cel wyprowadzali więźniów na rozstrzelanie, i baliśmy się, że nas spotka to samo. Ciała wywozili, krew zmywali i nie było śladu. Ale ja byłem najmłodszy, miałem wtedy 16 lat, więc mówili: „Jak cię tu przywieźli, to będziesz żył”.

■ **Kiedy trafił pan do Auschwitz?**

– 5 sierpnia 1943 r. zawieźli nas na stację Warszawa Główna i wepchnęli do wagonu. Wieźli mnie pociągami koło mojego domu. Myślałem o ucieczce – taka możliwość istniała. Ale zapowiedzieli, że za jakiegokolwiek wybryki zostanie rozstrzelana rodzina. Pomyślałem: „Jeśli zginę, to ja”. I zrezygnowałem z tej ucieczki. A znałem tam każdy krzak, każdą rzeczkę – nie byłoby problemu. . .

■ **Co pan zobaczył, gdy się pociąg zatrzymał?**

– Przywieźli nas, 78 więźniów, nad ranem. Psy, automaty, kopniaki. . . Biegliśmy truchcikiem. Otworzyła się brama. I co? Niemców nie ma, nikogo nie ma. Myślimy: „Co się stało?”. O piątej rano usłyszeliśmy gong. Wysypało się kilka tysięcy więźniów. Można było chodzić, rozmawiać, więc pojawiła się nadzieja życia. Usłyszałem: „Kto tu jest ze Skierniewic?”. To był Jurek Zieliński. Dostałem od niego dwa bochenki chleba i zupę, ale była taka, że pies by nie chciał jeść ani świnia. Od tej pory codziennie przynosił mi coś do jedzenia. Niestety, nasza przyjaźń trwała krótko.

■ **Jak zapamiętał pan przyjęcie do obozu?**

– Funkcyjni więźniowie każdemu wybijali na lewym przedramieniu numer obozowy. Ja otrzymałem znak 135701. Następnie każdego golono z wszystkich miejsc owłosienia. Sprawdzali, czy ktoś jest obrzezany, zaglądali do ust. Po oględzinach kazali nam się wszystkim umyć i wydali nam „pasiaki” – spodnie, koszulę, marynarkę, okragłą czapkę, kalesony i buty drewniaki.

■ **Jak wyglądał dzień w Auschwitz?**

– O piątej rano była pobudka i stanie łózek – musiały być równe jak pudełka od zapalek! Potem mycie i śniadanie, czyli 15 dekagramów chleba, czasem kostka margaryny i pół litra lury, niby-kawy. Wychodziliśmy przed blok i musieliśmy wykonywać różne ćwiczenia „Padnij – powstań”, „żabki”. Potem szliśmy do pracy. Mnie i kolegę Bodka przydzielili do Auschwitz III Buna-Werke. Ponieważ nie miałem żadnego zawodu, dostałem się do komanda murarskiego. Mój kapo Wili Besch powtarzał: „Marian, nie rób nic, ale pilnuj się, żeby tego nie widzieli SS-mani”.

■ **Z 375 dni spędzonych w obozie 205 spędził pan w szpitalu. Jak do tego doszło?**

– 12 grudnia 1943 r. dostałem 41 st. C gorączki i upadłem na Appelplatzu. Zanieśli mnie do obozowego szpitala, tzw. Krankenbau. Tam trafiłem na polskiego lekarza Antoniego Makowskiego. Powiedział od razu: „Mów mi Antek”! Miał trochę ponad trzydzieści lat. Ale przez gardło by mi nie przeszło, żeby powiedzieć lekarzowi po imieniu!

■ **Na co pan zachorował?**

– Miałem wodę w dwóch płucach. Doktor Makowski kombinował dla mnie zastrzyki, bo działał w obozie ruch oporu i zza drutów dostarczali nam leki. Lekarz zbierał mi tę wodę z płuc cztery razy, po czym zapowiedział operację na następny dzień. Miał mi włożyć do płuca gumową rurkę, żeby woda mogła wypływać na zewnątrz. A ja w nocy, z ogromnym wysiłkiem wykrztusiłem pełną miskę flegmy. Podejrzewam, że wrzód z ropą pękł. Lekarze nie chcieli wierzyć, że ta ropa dostała się do mojej rurki dychawicznej. Ale lekarz stwierdził, że operacja jest już niepotrzebna.

■ **W szpitalu odbywały się selekcje. Słabszych pacjentów wysyłano na śmierć. Jak one wyglądały i jakim sposobem udało się tego panu uniknąć?**

– Przyjeżdżał elegancko ubrany lekarz. Tych, co się nie nadawali albo za długo leżeli, pakowano do suki. Ja byłem tak słaby, że bym się nie podniósł, więc na pewno trafiłbym do krematorium w Brzezince. Ale dr Makowski przed selekcją zdążył mnie wsadzić do trupów.

■ **Co zrobił?!**

– Położył mnie w pomieszczeniu, w którym leżały ciała zmarłych pacjentów. „Nie żyjesz i koniec!” – powiedział. Leżało tam chyba sześć trupów. Jak już odjechali – a trwało to około godziny – sanitariusze przynieśli mnie z powrotem do łózka. Nie miałem pojęcia, co się stało. Dopiero po wojnie, jak odszukałem tego lekarza w Warszawie, to mi powiedział, jak było: „Ja ratowałem szczególnie młodych, dlatego i ciebie, Marianku, syneczku...”.

■ **Pewnie to wydarzenie przypominało się panu bez przerwy w snach...**

– Nie uwierz pani, jakie mam szkaradne sny. . . A owo leżenie na trupach tak bardzo utkwilo mi w głowie, że długo po wojnie bałem się człowieka zmarłego. Kiedy moja sąsiadka umarła na schodach, zamknąłem oczy i przeszedłem obok niej. Nie wiem dlaczego. Dopiero jak zmarł mój starszy brat, to go pożegnałem, i od tej pory się nie boję.

■ **Czy któreś z obozowych doświadczeń jeszcze tak silnie zapisało się w pańskiej pamięci?**

– W obozie codziennie wieszali, palili, unicestwiali. Ale dwa zdarzenia pamiętam szczególnie. Widziałem, jak przywieźli Polaka – podobno inżynier – który pół roku wcześniej uciekł z obozu. Złapali go w Krakowie. Myszka, czy Meszka – nie pamiętam. Zgolili mu głowę. Miał na sobie tarczę z napisem: „No cóż, koledzy, jutro będę powieszony”. Można było mu pomóc? A skąd! Prowadzali go po obozie, żeby wszyscy widzieli, jak kończy się uciezka, a potem powiesili. Byłem bardzo blisko szubienicy. Postawili go na stołku i zakneblowali usta, więc nie mógł nic wyraźnie powiedzieć. Ale ja słyszałem, jak wymamrotał „Pomścicie, bracia, faszyzm”. Dlaczego go pamiętam? Bardzo długo się szarpał. SS-man pociągnął go w końcu za nogi i skazaniec skończył życie.

▪ **A drugie wydarzenie?**

– Niemiecki kapo Wili Besch zebrał czterech czy pięciu mężczyzn koło mojego łóżka w namiocie. Po chwili skoczył jednemu Niemcowi nad kolanami, złapał go za ręce i nogi i trzymał, aż ten skonał. „Nikt nic nie widział” – krzyknął. Wzięli trupa na wózek, zawieźli do pieca i po krzyku.

▪ **Kim był ten człowiek?**

– Prowokatorem, donosicielem.

▪ **Widział pan ciała zamordowanych codziennie. Niektórzy rzucali się na druty. Przeszło panu kiedyś przez myśl, żeby zrobić to samo?**

– Przychodziły takie myśli, bo po co miałem się męczyć, skoro i tak byłem pewny, że nie przeżyję? Ale wiara katolicka zabraniała mi tego. Ja naprawdę bardzo chciałem żyć. . .

▪ **A co stało się z pana kolegą, Marianem Bodkiem?**

– Zdziśiatkowali go. Kiedy jeden więzień uciekł, dziesięciu szło za to na śmierć. Wracalem wtedy z pracy i tylko mu pomachałem ze łzami w oczach, ale już szubienicy nie widziałem. Kiedy wróciłem do domu, powiedziałem jego rodzicom, że został powieszony. Zamówili mszę za jego duszę. A on 16 lipca 1945 r. przychodzi do domu. Wyobraża to sobie pani? To znaczy, że ja kłamałem! Okazało się, że Marian uciekł i schował się do obozowej łaźni. Mogę się domyslać, że SS-man miał takiego syna, jak on. Może powiedział: „A, uciekłeś, to żyj. . .”.

▪ **Z Oświęcimia przewieziono pana do Buchenwaldu. Jak do tego doszło?**

– 15 sierpnia 1944 r., kiedy zbliżała się Armia Czerwona, wszystkich więźniów Polaków skierowano właśnie do Buchenwaldu. Dostałem tam numer 79444. Po dwóch dniach kilkuset z nas skierowano do „Dory” – obozu koncentracyjnego, który był filią Buchenwaldu. Tam produkowano rakiety V-1 i V-2. Pociąg przywoził części, a potem nocą wywoził gotowe rakiety. Zaglądałem do nich, widziałem, jak są urządzone.

▪ **Czy tam też udało się panu spotkać dobrych ludzi?**

– W tym obozie miałem naprawdę dużo szczęścia. Majster Jochan Kamman, który nas nadzorował, przynosił mi kanapki. Nie dawał mi ich do ręki, tylko chował w jakąś dziurę, a ja zjadałem je w ubikacji. Niech mi pani wierzy, że on tak się jakoś zaprzyjaźnił ze mną, bo jego syn też miał 17 lat. Powiedział mi kiedyś: „Hitler jest wielką świnią i największym bandytą na świecie. Tylko trzymaj pyski!”. Nikomu tego nie powtarzałem. Jego kanapki uratowały mi życie. Nogi bym mu ucałował. . .

▪ **Czy w „Dorze” masowe mordowanie więźniów też było na porządku?**

– W tym obozie tysiące więźniów umarły z głodu. Ale pewnego dnia zrodził się też bunt, za który wielu otrzymało karę śmierci. Pracowałem wtedy bardzo blisko szubienicy i widziałem, jak co godzina wieszali czterech więźniów. W sumie powiesili ich ok. 300. Trzeba się było schylać, żeby nie tracić głową wiszących trupów.

▪ **Czuł pan już wtedy zapach wolności?**

– Myślałem raczej: apokalipsa! Ale to jeszcze nie był koniec. 5 kwietnia 1945 r. wystali nas, 500 więźniów, do Ravensbrück. Po 10 dniach drogi piecho i pociągiem zostało nas już tylko 80. Jakim cudem ja przeżyłem? Byłem dobrze zbudowany. Mówili mi w domu: „Będziesz marynarzem”. Jak mama powtarzała: „Założ trzewiki, włóż kożuszek”, to ja mówiłem: „Po co? Koledzy by się śmiali!”. Żaden mróz, żaden deszcz był mi niestraszny. Tak jak mojemu ojcu, który przyszedł z Rosji na piechotę. A taki, co był wychowany w pieleszach, ile mógł wytrzymać? Jechaliśmy do tego Ravensbrück, pilnowało nas 44 SS-manów i dwa psy. Jeden mówił do mnie: „Młodzieńcze, oczyść misę”. Jego pies wszystkiego nie zjadł i ja to wrębałem. A to już było coś, bo przez 9 dni zjadłem tylko bochenek chleba, dwie marchwie i raz pozwolili mi się napić ze strumyka dostatecznie wody.

▪ **Co zobaczył pan po przyjeździe do Ravensbrück?**

– Wyszliśmy z wagonu, a tam same truposze. Pokazali nam, w którym kierunku iść, posłaliśmy. Było chyba ok. 2 km. Droga zajęła nam cztery godziny. Gdzie mieliśmy uciekać? Dostałem tu numer 14291. Jakims cudem dostarczono nam paczki z Czerwonego Krzyża. Ale ja wiedziałem, żeby się nie najadać. Dr Makowski powiedział mi: „Pamiętaj, syneczku, jeśli przeżyjesz, nie jedz wszystkiego naraz”. Jadłem więc po troszeczku tych sucharków, czekolady. Chętnie bym tę całą paczkę zjadł, ale wiedziałem, że nie, bo umrę. W tym obozie zrobili nam też kloakę – rów i dragi. Jak potrzebowałem się załatwić, to trzymał mnie kolega, żebym nie fiknął. A jak on chciał, to ja go trzymałem. Niech pani sobie wyobrazi – wolność w zasięgu ręki i niektórzy wpadali do kloaki i się topili. . .

▪ **30 kwietnia 1945 r. odzyskał pan wolność. Jak pan wspomina dzień powrotu do domu?**

– Wróciłem w stanie opłakanym. Wstąpiłem do cioci koło stacji kolejowej. Zaskorupiały, egzema, zarost, gruzlica, padaczka, ponad 40 kg mniej... Zobaczyłem moją siostrzenicę, Helę, studentkę. „Pochwalony!” – mówię, a ona: „Kto pan?”. Nie poznała mnie. Za chwilę ciocia otworzyła drzwi: „Marian, wróciłeś!”. Zaraz nazbierało się sąsiadów i zastanawiali się, co mi dać jeść. Dostałem pół jajka, herbatę, jakieś ciastko. Położyli mnie spać i spałem ponoć 10 godzin. Podobno miałem otwarte oczy i usta, a oddech konającego. Przywieźli księdza, ale o tym dowiedziałem się dopiero potem. Dali znać do rodziców, że jutro przyjadę.

▪ **Kto pana przywitał?**

– Wyszło pół wsi. Ze stacji do domu miałem ok. 2 km. Niedużo, ale co 50 m musiałem odpoczywać. Nikomu nie przyszło do głowy wziąć taczkę. Szedłem chyba z trzy godziny. Ludzie wyprzedzali mnie i zaglądali w twarz. W końcu wyszła mama z bratem Tadkiem.

▪ **Ważył pan wtedy 38 kilogramów. Ile czasu zajął panu powrót do zdrowia?**

– Zanim doszedłem do 80 kg, potrwało to osiem miesięcy. Padaczkę wyleczyłem, płuca wyleczyłem. Musiałem jeść jakieś zupki, kaszkę mannę, takie tam. . . Ojciec łąpał psy i robił z nich smalec, a mnie wmawiano, że to tran. Ktoś jeszcze podpowiedział, że trzeba jakieś szyszki jeść, czubki z młodej sosny. Mama to gotowała i dawała mi do picia na płuca.

▪ **?**

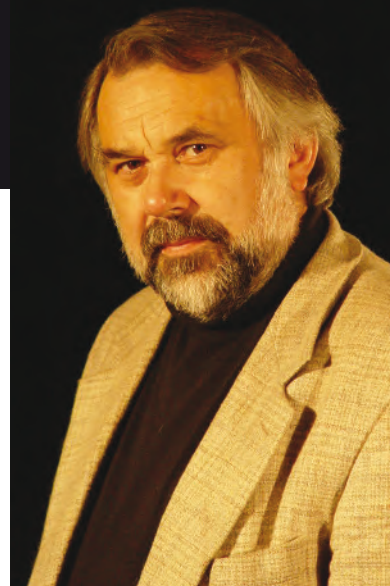
– Właściwie po latach wyleczyłem się streptomycyną, a nie szyszkami czy smalcem. Brat mojej żony był pilotem w Dywizjonie 303. Jego żona przysyłała mi te leki z Londynu.

▪ **Ale ta streptomycyna przysporzyła też panu kolejnych kłopotów...**

– Dostawałem ją w paczkach zagranicznych, więc zajęła się mną bezpieka. Zrobili mnie szpiegiem. To nieprawdopodobne, ale nie zmyślam.

- Gra w teatrze lalek to jak gra na pianinie...

Rozmowa z **EUGENIUSZEM JACHYMEM**, wieloletnim aktorem Teatru „Banialuka” im. Jerzego Zitzmana w Bielsku-Białej



24

- **Rozpoczął pan pracę w teatrze w wieku 19 lat, zaraz po ukończeniu technikum. Skąd się wzięło owo zainteresowanie aktorstwem?**

– Tak, wszystko zaczęło się po maturze, a cztery lata później zdałem egzaminy przed Komisją Ministerstwa Kultury i Sztuki i uzyskałem uprawnienia aktorskie. W technikum ekonomicznym należałem do zespołu teatralnego, uczestniczyłem w licznych konkursach recytatorskich, bawiłem się też w kabaret i spędzałem czas w bielskim domu kultury, tzw. Kubiszówce. Po maturze zdawałem do krakowskiej szkoły teatralnej, nie udało mi się jednak do niej dostać. Pożegnałem się zatem z zawodem aktora i zdecydowałem się na pracę w biurze. Po niedługim czasie ktoś ze znajomych powiedział mi, że w Teatrze „Banialuka” szukają adeptów aktorstwa. Odbylem więc rozmowę z dyrektorem i przedstawicielami zespołu teatralnego „Banialuki”, po czym powiadomiono mnie, że zostałem przyjęty. Miałem przecież rozpocząć zaoczne studia prawa administracyjnego i zająć się karierą urzędniczą...

- **Co pozostaje dla pana najbardziej cenne w zawodzie aktora?**

– Prawdziwość, sceniczne bycie sobą. Trzeba mieć w sobie prawdę. Można przecież doskonalić warsztat aktorski, nauczyć się poprawnie mówić, pracować nad dykcją i emisją głosu. Trudno jest się jednak nauczyć autentyczności. Uważam, że na scenie najważniejsze są emocje, otwartość. Trzeba się nauczyć słuchać drugiego człowieka. Wydaje się to szczególnie stresujące podczas prób teatralnych, kiedy należy nie tylko podołać oczekiwaniom reżysera, co wymaga zresztą ogromnej determinacji, ale także współpracować z kolegami, być elastycznym. Jest to najbardziej intensywny, twórczy,

poszukiwawczy czas. Pierwsze spektakle są zawsze dopracowywaniem, szlifowaniem... Jednak nawet granej kilkanaście razy roli nie można nazwać wyuczoną. Tym się właśnie różni teatr od dzieła filmowego, że bywa zawsze żywy, otwarty.

- **Z jednej strony słyszy się, że aktorstwo to ekshibicjonizm, a z drugiej – wręcz przeciwnie – że kreacja. Jaka jest pana prywatna definicja „aktorstwa”?**

– Nigdy nie próbowałem definiować „aktorstwa”. Myślę, że najbardziej bliska jest mi gra emocjonalna, przyjmowanie kolejnych masek, wczuwanie się w role i – przede wszystkim – unikanie dystansu. Czynili tak Janusz Gajos i Tadeusz Łomnicki. Ten ostatni lubił na przykład charakterystycę, która pomagała mu się stać daną postacią. Innym typem aktorskim byli Andrzej Łapicki lub Gustaw Holoubek, którego bardzo zresztą cenię. Oni tworzyli z kolei dystans, nie obnażali się, grali w sposób bardziej zachowawczy.

- **Na czym polega specyfika zawodu aktora lalkarza? Czy oprócz umiejętności aktorskich wymaga jeszcze czegoś?**

– W latach powojennych powstawały przy towarzystwach robotniczych kukielkowe, lalkowe teatry dla dzieci. Aktor pokazywał się wtedy na żywym planie wyłącznie wtedy, gdy było to konieczne. Gra aktorska wymagała oczywiście pewnych predyspozycji: czasem trzeba było odgrywać kilka ról naraz albo występować w nietypowych miejscach – za stołem czy tapczanem. Była to niekiedy bardzo uciążliwa praca. Jerzy Zitzman...

- ▶ ▪ **I znów trafił pan do więzienia za nie?**

– To był rok 1950. Dostałem wezwanie do bezpieki. Taki gówniarz, młodszy ode mnie, krzyczy: „Siadajcie! Przyznajecie się do związku mającego na celu zbrodnię przeciwko państwu ludowemu?”. Ja myślałem, że z tego stołka spadnę. Dostałem jakiegoś szału. To ja tęskniłem za ojczyzną, byłem bity, katowany i w mojej ojczyźnie jestem bandytą!? „Jak macie rozstrzelać, to rozstrzelajcie teraz!” – zawołałem. Jakoś mnie stamtąd wypuścili, ale nie dali mi pracy.

- **Czy po tym wszystkim udało się panu znaleźć miejsce na ziemi?**

– Ożeniłem się, pojechałem na Kujawy i tam zrobiłem się dopiero pewny życia. Nauczyłem się prowadzić gospodarstwo, które przepisałem potem synowi. Córkę wykształciłem.

- **I teraz, gdy ma pan prawie 90 lat, wciąż odwiedza pan te miejsca największego cierpienia z czasów II wojny światowej. Skąd czerpie pan do tego siły?**

– Słyszałem te wszystkie jęki, wąchałem dym i spaliny z człowieka, wiedziałem, jak unicestwiali ludzi. To było piekło na ziemi. Wie pani, ja i tak

pójdę do nieba, bo w piekle już byłem... Teraz mam szczególny obowiązek o tym mówić. Jestem żywą historią. Dlatego opowiadam o tym wszystkim młodzieży niemieckiej.

- **A polskiej nie?**

– Jeździłem na zaproszenia łódzkich szkół, ale młodzież mówiła: „Co ten dziadek opowiada?”. Nie chcieli wierzyć, więc w końcu przestałem do nich jeździć. W Niemczech to co innego. Jak mówię, to muchę można usłyszeć. Pytają: „Dlaczego rodzice mi o tym nie powiedzieli?”. Do Niemiec jeżdżę co roku. I będę jeździł, dopóki będę mógł...

- **Boi się pan śmierci?**

– Nie boję się, gdyż ja już dawno powinienem być w grobie...

Rozmawiała
DOMINIKA CICHA

▪ **... jeden z założycieli i pierwszy dyrektor Teatru Baniałuka...**

— ... mówił, że gra w teatrze lalek to jak gra na pianinie. Istotnie, aktorzy lalkarze muszą mieć bardzo silne i sprawne ręce, należy je ćwiczyć, zwłaszcza do posługiwania się pacynką. Pamiętam na przykład spektakl – monodram z początków mojej drogi artystycznej, kiedy przez godzinę byłem niemal sam na scenie. Bywały też przedstawienia, w których przez pół godziny należało trzymać kukiełkę w podniesionej ręce. Warto zwrócić uwagę na to, że różne są rodzaje lalek: jedne cięższe, drugie lżejsze... W przedstawieniu pod tytułem „Piękna Maria” grałem niegdyś trzygłowego smoka, lalka ważyła kilkanaście kilogramów. Aktorzy byli też niejednokrotnie zmuszeni do modulowania, zmieniania głosu. Zanim zaczęto używać mikrofonów, należało się ustawiać odpowiednio na scenie, wydawać dźwięki we właściwym kierunku, tak aby w drodze do publiczności były one w stanie pokonywać zarówno naturalne, jak i sztuczne przeszkody, np. parawan. W związku z takimi warunkami pracy aktorzy bardzo często narażeni są na problemy z kręgosłupem lub nadwężeniem gardła.

▪ **Czy uważa pan, że teatr lalek dla dzieci ma przyszłość?**

Czy nie zostanie wyparty przez telewizję, internet i kolorowe bajki?

— Oczywiście, że ma przyszłość! Obcujać z teatrem, dziecko obcuje z innymi dziedzinami sztuki. Przede wszystkim uczy się wrażliwości, doznaje pierwszego kontaktu ze sztukami plastycznymi, z formą, kolorem, muzyką... Do doznań estetycznych dochodzi słowo i ruch. W takim sensie teatr pełni ogromną rolę i wydaje mi się, że nic go nie zastąpi – ani komputer, ani telewizja.

▪ **Od wielu lat jest pan związany z „Baniałuką”...**

Myślał pan kiedyś o grze w innym teatrze?

— Teraz nie ma to znaczenia. W „Baniałuce” grałem już wszystko. Oczywiście, gdy rozpoczynałem współpracę z teatrem, skupiano się wyłącznie na grze za parawanem. Potem nastąpiło to, co zapoczątkował w Będzinie Jan Dorman: aktorzy zaczęli wychodzić na żywy plan, zmieniały się koncepcje – parawan zanikał, a choć lalka nadal funkcjonowała, to jednak w innych już ustawieniach. Teatr lalkowy stawał się teatrem formy. Ewolucja rozpoczęła w latach 70. i 80. i trwająca do dziś, sprawiła, że teatr lalkowy jest teraz na całym świecie teatrem żywym.

▪ **Woli pan występować w spektaklach dla dorosłych czy dla dzieci?**

— W „Baniałuce” oczywiście wystawiane są spektakle dla ludzi w każdym wieku: dzieci, młodzieży gimnazjalnej (specjalnie dla niej przedstawiamy m.in. „Sen nocy letniej”, „Balladynę”, „Tristana i Izoldę”, „Dekameron” czy „Kolonję Karną” wg Kafki) oraz dorosłych. Choć oczywiście są role, które darzę sympatią większą niż inne, najważniejsze pozostaje dla mnie to, co dane przedstawienie przekazuje... Muszę jednak przyznać, że większa trema towarzyszy mi podczas spektakli dla dorosłych, które gram na żywym planie. Bardzo dobrze się czuję wtedy, gdy mogę włożyć maskę, która, oczywiście, również staje się formą wypowiedzi w teatrze. Z drugiej strony, ktoś kiedyś powiedział, że dla dzieci trzeba grać tak jak dla dorosłych, tylko że jeszcze lepiej. Wynika to z faktu, że dziecko, w przeciwieństwie do zubożonego już dojrzałego widza, reaguje natychmiast, gdy coś mu się nie podoba lub gdy czegoś w sztuce nie rozumie. Rezygnuje wtedy ze śledzenia akcji, na widowni tworzy się szum... Trudno jest dzieci okłamać czy zmanipulować.

▪ **Oprócz grania w spektaklach był pan kilkakrotnie ich reżyserem.**

Które z tych zajęć stanowi dla pana większe wyzwanie?

— Pierwszą wyreżyserowaną przeze mnie sztuką okazały się „Pastorałki” według Tytusa Czyżewskiego. Stałem przed trudnym wyzwaniem, ponie-

waż musiałem już nie tylko jako reżyser, ale również adaptator z kolęd, pastorałek i kantyczek Czyżewskiego stworzyć pewną całość. Zdecydowałem się wtedy na użycie w przedstawieniu marionetek, zastosowałem też żywy plan. Prapremiera odbyła się w dniu ogłoszenia stanu wojennego. Ponieważ w Polsce panował niepokój, obawiano się o przyszłe losy, szczególnie aktualnie brzmiały słowa sztuki: „Boże, niech będzie miłość nad nami i spokój ludziom na ziemi”. Wydawały się one autentyczne i przejmujące, wyglądały niejako jako apel. W związku ze stanem wojennym pojawiła się właściwie tylko jedna obszerna recenzja tego przedstawienia, wydrukowana w czasopiśmie „Podbeskidzie”. Pamiętam, że pełen ironii dyrektor nakazał mi ją wtedy wyciąć, oprawić i powiesić nad łóżkiem.

▪ **Zajmował się pan także reżyserią filmową...**

— Od lat młodości chciałem mieć kamerę. Moje marzenia spełniły się w 1968 roku, gdy zaraz po zdaniu matury otrzymałem od mamy pierwszy sprzęt do filmowania. Nowszą wersję kamery kupiłem sobie już sam, pod koniec lat 80. Zająłem się wtedy, ze względu na modę, jaką panowała, nagrywaniem wesel. Po pewnym czasie przeczekałem jednak w „Gościu Niedzielnym” o Festiwalu Filmów Katolickich w Niepokalanowie i zdecydowałem się stanąć do konkursu w kategorii amatorskiej. Stworzyłem film „Nasz czas”, który był refleksją poetycką o sytuacji człowieka i chrześcijanina we współczesnym świecie. Wielką radością i motywacją do kolejnych działań była dla mnie wiadomość o otrzymaniu za to dzieło nagrody specjalnej. Tematem mojej kolejnej realizacji stała się historia niepełnosprawnego chłopaka z Łodygowic oraz jego rodziców, szczególnie matki. W 1994 roku udało mi się zdobyć za ten film pierwszą nagrodę w Niepokalanowie. Wiem, że brano go pod uwagę także jako kandydata do Grand Prix. Nakręciłem następnie tryptyk filmowy pod tytułem „Chrystus z Oświęcimia”, historię obrazu namalowanego przez więźnia w obozie koncentracyjnym.

▪ **Zajmował się pan wieloma dziedzinami sztuki i odniósł wiele sukcesów. Co uważa pan za swoje największe osiągnięcie?**

— Najistotniejsze jest to, że mam żonę, dzieci, wnuki... Kiedy wkraczałem na drogę aktorstwa, wyobrażałem sobie teatr jako inny świat, aktorów traktowałem jako wybrańców mających do spełnienia misję... Uczono nas wtedy, abyśmy przekraczając próg teatru, zostawiali za sobą dom, rodzinę. Mówiono, że scena jest najważniejsza, że nie istnieje nic poza nią. Z perspektywy niemal 50 lat przepracowanych w zawodzie aktora muszę powiedzieć, że to nie jest poprawne myślenie.

▪ **No właśnie, pracował pan wielokrotnie z młodzieżą, prowadził warsztaty teatralne, współpracował z amatorskim teatrem „Bez Paniki”...**

— Bardzo się cieszę, że młodzi ludzie są otwarci na teatr. Wspaniale, że interesuje ich sztuka, spotkanie z poezją, ze słowem, z muzyką. Jestem także pod wrażeniem ich wrażliwości, dociekliwości i inteligencji. Zgodziłem się pomóc teatrowi „Bez Paniki”. Dzięki zamieszczonym ogłoszeniom o rozpoczęciu działalności grupy teatralnej zgłosili się do nas zainteresowani we wszystkich kategoriach wiekowych. Wcześniej z grupą dorosłych w Łodygowicach organizowaliśmy przedstawienia pasyjne, teraz inscenizujemy drogi krzyżowe. Chcemy się jednak oderwać od działalności ściśle religijnej, powrócić do spektakli grywanych już przecież w Łodygowicach, takich jak „Świętoszek” czy „Mały Książę”. Marzy mi się też realizacja wspólnie z „Magurzanami”, folklorystycznym zespołem muzycznym z Łodygowic, „Wesela”...

Rozmawiała
MONIKA SZYMANEK

- Nasze wyobrażenie o wikingach

opiera się na hipotezach i domysłach...

Epoka dzielnych wojów przeminęła, ale czy na pewno bezpowrotnie? O odtwórstwie historycznym i jego związkach z fantastyką mówi **MACIEJ PODKÓWKA**, rekonstruktor, historyk, miłośnik fantasy, science fiction i gier fabularnych

26

▪ **Skąd się wzięło twoje zainteresowanie akurat odtwórstwem historycznym?**

– W Przemyślu, gdzie studiowałem, poznałem grupę pasjonatów historii, zwłaszcza okresu wczesnego średniowiecza. Po latach zetknąłem się z rekonstrukcją, gdy odbywałem praktyki studenckie w rodzinnym mieście. Tak się złożyło, że osoba, u której miałem zajęcia, zaprosiła nas na rekonstrukcję. Po pokazie nawiązałem z tymi ludźmi kontakt i... stare wspomnienia wróciły. Zacząłem na nowo zabawę z odtwórstwem, tym razem bardziej poważnie

▪ **Czy studia historyczne ci w tym pomogły?**

– Myślę, że były raczej przedłużeniem moich wcześniejszych zainteresowań. Pewnie w końcu zająłbym się odtwórstwem, nawet gdybym studiował coś innego, ale niewykluczone, że wybrałbym inny okres historyczny, np. późne średniowiecze. Wcześniej czy później na pewno bym jednak wylądował w jakiejś grupie rekonstrukcyjnej, bo bardzo lubię tę formę spędzania czasu.

▪ **W końcu zainteresował cię okres wczesnego średniowiecza...**

– Po prostu lubię ten okres, choć wydaje się on dosyć tajemniczy, gdyż nie ma zbyt wielu źródeł z VIII/IX w., czyli czasu wikingów czy Słowian. Nasze wyobrażenie tamtych czasów opiera się w dużej mierze na hipotezach i domysłach. Niekiedy pojawiają się nowe znaleziska, które odwracają całą tę wizję do góry nogami. Z drugiej strony istnieją ugruntowane dowody na to, jak wyglądały ubiór czy zbrojenie. Jeżeli chodzi o walkę, tzn. dziedzinę, którą się zajmuję, to nie jest ona aż tak udokumentowana jak np. późnośredniowieczne traktaty szermiercze. Zachowało się wyłącznie kilka kamieni runicznych i płaskorzeźb, wikingowie dosyć skąpo opisywali swoje czasy, poza sagami, które są legendarne. Jednak to tylko opowieści i mogą być naciągane czy zmyślane. Słowianie z kolei w ogóle nie zapisywali swoich dziejów. Przekazywali podania i legendy z ust do ust, a wszelkie formy sztuki, takie jak rzeźby, płaskorzeźby czy ryciny, nie przetrwały do naszych czasów. Na podstawie dostępnych źródeł można częściowo odwzorować czasy wczesnego średniowiecza, ale sporo pozostaje nadal w sferze wyobraźni i domysłów.

▪ **Jak wygląda dołączanie do grupy, kompletowanie stroju?**

– Przy przyjmowaniu członków większość drużyn ma swoje rytuały. Trzeba spędzić z ich przedstawicielami trochę czasu, poznać ich sposób spędzania czasu. Zaczyna się od tak podstawowych spraw, jak ubranie: buty, spodnie, jakaś tunika lub koszula. Jeżeli ktoś chce, to może po prostu chodzić w koszuli i zajmować się np. rzeźbieniem w drewnie. Nikt nie będzie na niego naciskał, by robił coś innego czy ubierał się inaczej. Rekonstrukcja polega właśnie na tym, by każdy wykonywał to, co mu w danym okresie odpowiada. To, czy ktoś się zajmuje łucznictwem, rzemieślnictwem, czy tak jak ja walką i szkoleniem ludzi do walki, zależy wyłącznie od niego.

▪ **Wielu rekonstruktorów przykładą dużą wagę do detali historycznych, zwłaszcza jeśli chodzi o wytwarzanie stroju czy broni. Czy dla ciebie są one również istotne?**

– Przyznam szczerze, że miło patrzeć, jak rozwija się dziedzina rekonstrukcji historycznej. Od momentu gdy zająłem się odtwórstwem, nasza wiedza o wczesnym średniowieczu znacznie się poszerzyła. Pojawiły się kolejne odkrycia, znaleziska, ponadto coraz więcej ludzi interesuje się historią. Ja akurat pasjonuję się głównie walką, są jednak osoby, które wolą wytwarzać przedmioty od podstaw. Pewna koleżanka zajmuje się wykonywaniem płócien. Zaczyna od ręcznego gręplowania wełny metodami ówczynie stosowanymi, samodzielnie przędzie nici, farbuję je naturalnymi odczynnikami roślinnymi, tka z nich materiał, a następnie ręcznie szyje ubrania. Nie jest to jednak rzecz tania, dlatego niektórym trudno sobie na taką zabawę pozwolić. Bez wątpienia noszenie ubrań wytworzonych sposobami praktykowanymi we wczesnym średniowieczu bardziej zbliża nas do tamtych czasów. Podczas rekonstrukcji staram się, by mój ubiór jak najpełniej odzwierciedlał realia historyczne dawnej epoki, choć nie wytwarzam go samodzielnie.

▪ **Jesteś wolnym najemnikiem. Na czym polega twoja rola społeczna?**

– W obu drużynach, w których byłem, służyłem jako najemnik gwardzista. Moja rola honorowa tzw. gwardzisty wareskiego polegała na ochronianiu głowy rodu albo przywódcy danej grupy. Gwardia Wareska przez kilkanaście lat służyła jako piechota doborowa, a potem straż przyboczna cesarzy bizantyjskich. Wbrew obiegowej opinii wikingowie byli przede wszystkim podróżnikami i handlarzami, a wypływanie na wiking stanowiło dla nich wyłącznie formę zarobkową. Pragnęli oni zdobyć sławę i łupy, które dałyby im możliwość rozpoczęcia dostatniego życia. Mówię tutaj o rolnikach i wolnych posiadaczach ziemskich z własnym gospodarstwem. Zatrudniali się za pieniądze bądź za udział w łupach jako najemnicy do drużyny jakiegoś jarla albo konunga. Tak właśnie było w przypadku gwardzistów waleskich służących u cesarza bizantyjskiego. Legenda głosi, że w momencie kiedy umierał cesarz albo gdy gwardzista kończył służbę, mógł wejść do bizantyjskiego skarbcza i wynieść tyle złota, ile był w stanie unieść w rękach. Świadczy to o statusie i renomie tych ludzi. No i właśnie tym się zajmuję w drużynach. Pełnię prestiżową rolę osoby mającej baczenie na jarla, stojącej po prawicy u jego boku i pilnującej go. Szkolę również młodych ludzi do walki. Chcę przekazać doświadczenie nowym pokoleniom ludzi interesujących się rekonstrukcją.

▪ **Bierzesz udział w różnych pokazach walki. Jak ludzie reagują na takie widowisko?**

– Z dużym zainteresowaniem. Dzieci są zachwycone, muszą wszystkiego dotknąć, coś przymierzyć, na coś popatrzeć i obowiązkowo zrobić sobie zdjęcie z wojownikiem. Odbywamy regularnie treningi w parku Krakowskim i budzimy zaciekawienie spacerowiczów. Niedawno pewien chłopak z ASP zapy-



nie epok, gdy ktoś powie: „O, rycerz!”, „O, pan rycerz!”. Tymczasem rycerstwo wykształciło się kilkaset lat po nas, wraz z całym kultem rycerza, a my określamy się mianem wojowników, wojów.

▪ **Podczas rekonstrukcji historycznej jesteś sobą, Maćkiem Podkówką, czy też odgrywasz jakąś postać?**

– Noszę wtedy imię Borys, ale moje całe personalia to Olaf Grandensen, w luźnym tłumaczeniu „wnuk Olafa”. Przyjąłem to wikińskie nazwisko na cześć mojego prawdziwego dziadka, który miał na imię Olaf, również będące wikińskim, skandynawskim.

▪ **Na jakiej zasadzie wybiera się w bractwie imię?**

– Studiuję się sagi, a imię musi mieć pokrycie w imionach używanych w epoce. Jeżeli chodzi o Skandynawię, to będąc Bjorn, czyli „Niedźwiedź”, Ulf, czyli „Wilk”, albo Sven czy Floki. Są to imiona wymieniane w sagach bądź w skąpych zapiskach, które Skandynawowie pozostawili po sobie. Imiona mogą się również pojawiać na kamieniach runicznych upamiętniających jakieś wydarzenie albo jakąś osobę, która wstąpiła się wielkim czynem. Ktoś taki musiał jednak mieć bogatych krewnych, ponieważ wynajęcie człowieka ryjącego runy nie należało wówczas do tanich, nie była to w Skandynawii umiejętność pospolita.

▪ **Czy wiesz, kim był Borys, czym się zajmował i w jaki sposób stał się członkiem drużyny?**

– Moja postać jest wzorowana na Gwardii Waleskiej. Straciłem ojca, dlatego musiałem przyjąć nazwisko po dziadku. To on dał mi podstawowe wychowanie, a potem udałem się na wiking, czyli wyprawę grabieżczą w poszukiwaniu przygód. Zawędrowałem aż do Bizancjum, gdzie wstąpiłem do służby u cesarza bizantyjskiego. Potem, jako doświadczony i bogaty wojownik, powróciłem na rodzinne ziemie, gdzie korzystając z prestiżu i sławy, za niemałą opłatę służę lokalnym władcom.

▪ **Podczas rekonstrukcji zdarzają się nieprzyjemne sytuacje, jakieś urazy?**

– Rzemieślnik nie jest raczej narażony na kontuzje, jednak w przypadku walki urazy są częste i mogą być bardzo poważne. Bycie wojownikiem wymaga pewnego poziomu sprawności fizycznej, dlatego tak ważne pozostają regularne treningi. Staramy się ćwiczyć również poza sezonem. Broń, którą walczymy, jest tępa, często sprawdza się też, czy nie ma zadziurów bądź czy ktoś nie zaniedbał swojego oręża. Walki najczęściej są spontaniczne, a nie reżyserowane czy ustawiane. Bazują na umiejętnościach poszczególnych ludzi.

▪ **Gdzie można cię zobaczyć w akcji?**

– Jeśli chodzi o wydarzenia lokalne, to na pewno warto zobaczyć Święto Rękawki odbywające się tuż po świętach wielkanocnych na kopcu Kraków, gdyż otwiera ono cały sezon rekonstrukcyjny w Polsce. Najbardziej jednak znana impreza rekonstrukcyjna, na której łatwo mnie spotkać, organizowana bywa na wyspie Wolin. To bardzo ciekawe miejsce, ze skansenem, gdzie można zobaczyć dawne chaty czy też fragmenty umocnień, np. fragment palisady z bramą. Jest to odwzorowanie Jomsborga, czyli dawnej placówki handlowej czy też bulwaru, który istniał na jednej z wysp u ujścia Odry.

▪ **Czy żeby być rekonstruktorem, trzeba mieć jakieś szczególne predyspozycje osobowościowe bądź fizyczne?**

– Należy się interesować historią, i to wszystko. Warto po prostu przyjść i zobaczyć to z bliska, na żywo. Żadne artykuły czy fotografie nie są w stanie oddać w pełni atmosfery, jaka panuje podczas tych imprez. Jesteśmy otwarci na rozmowę i chętnie udzielamy odpowiedzi na pytania dotyczące tego, czym się zajmujemy.

▪ **Z tego, co wiem, oprócz odtwarzania historii jesteś miłośnikiem fantasy...**

– Interesuję się fantasyką oraz science fiction, fascynuje mnie każdy fikcyjny, ciekawie wykreowany świat, niezależnie od tego, czy jest to książka, gra, czy system RPG. To pewna odskocznia od codzienności...

▪ **Interesujesz się również grami RPG...**

– Lubię światy futurystyczne, choć paradoksalnie przedstawiana tam wizja bywa coraz bardziej doganiana przez teraźniejszość. Właśnie takim futurystycznym systemem jest Cyberpunk. To mroczna wizja przyszłości, gdzie rządzą wielkie korporacje, rządy są skorumpowane, a wszystko ma swoją cenę. Liczy się wyłącznie pozycja społeczna i renoma, a uczucia i sumienie schodzą na plan drugi, choć dużo zależy też od samego gracza i tego, jak prowadzi swoją postać. Innym, ciekawym systemem pozostaje Warhammer, pierwsza i druga edycja. Świat tam przedstawiony to typowe fantasy, zbliżone nieco do twórczości Tolkiena. Mamy elfy, krasnoludy, ludzi, jednak w przeciwieństwie do np. D&D nie jest aż tak baśniowy. To tzw. dark fantasy, postacie są bardziej ludzkie, śmiertelne, a bohater człowiekiem ze swoimi słabościami, który może zginąć, gdy nie będzie się pilnował.

▪ **Bierzesz często udział w larpach, czyli wydarzeniach społecznych, w których uczestnicy wcielają się w swe fikcyjne role. Czy wtedy też stajesz się Borysem, czy może odgrywasz jakąś inną postać?**

– Imię Borys jest raczej zarezerwowane dla rekonstrukcji historycznej. Często bywa tak, że dla każdego larpa tworzy się całkiem nową postać. Wyjątek stanowi konwent postapokaliptyczny na Ziemiach Jałowych, gdzie moja postać również nazywa się Borys, ale Borys Bobrov. Mamy z przybranym bratem spod Wrocławia dwie postacie, które fabularnie odtwarzają prawdziwych braci. Jest Borys Bobrov i Wasilij Bobrov, to takie szemrane typy spod ciemnej gwiazdy, którzy lubią zamotać w tamtejszym małym świecie. W larpach fajne jest to, że można sobie wykreować nową postać, ubrać się inaczej i stworzyć zupełnie coś innego. W ruchu rekonstrukcyjnym znają mnie jako wojownika, jednak w larpie mogę się wcielić w rolę zupełnie nieszkodliwego kupca, który handluje futrami i brzydzi się przemocą, za to ma słabość np. do mocnych trunków. Jest się, kim się chce, i myślę, że to właśnie należy uznać za najbardziej fascynujące zarówno w RPG, jak i w larpach.

▪ **Którego autora fantasy cenisz najbardziej?**

– Trudno by było kogoś wytypować... Interesuję się literaturą od 12. roku życia, lubię zarówno science fiction, jak i fantasy. Chętnie czytuję Tolkiena, Lema czy Sapkowskiego, bardzo pociągają mnie światy wykreowane przez Dukaję np. w książce „Inne pieśni”. To fascynujące, jak niektórzy twórcy potrafią stworzyć świat od podstaw... Ciekawym przykładem są zwierzęta. Paradoksalnie – w większości filmów fantasy mamy elfy, krasnoludy, ale są też koniki, kury, krowy. Mało kto chce wykroczyć poza krąg znanych ras.

▪ **Co stawiasz na pierwszym miejscu: fantasy czy science fiction?**

– To zależy od nastroju. Mam taki zwyczaj, że na przemian czytam jedną książkę science fiction i jedną fantasy. Ale teraz pochłania mnie akurat książka o zupełnie innej tematyce, opowiadająca o losach chłopaka z Warszawy z okresu międzywojennego.

Rozmawiała
ANNA DAWIDOWSKA

„Fight for your Dreams”,

czyli o drodze po sukces

Rozmowa
z **SZYMONEM BORĄ**,
młodym wibrafonistą

28

▪ **W jaki sposób się motywujesz do pracy, gry?**

– Planuję to, co mam robić. Jak to powiedział Lincoln, „Gdybym miał osiem godzin na ścięcie drzewa, spędziłbym sześć na ostrzeniu siekiery”. Jak już wiem, co jest do zrobienia, to to robię. Na przykład odpowiem na kolejne pytania. Jestem gotowy na wszystko! (śmiech)

▪ **Czy masz swój własny rytuał, który towarzyszy ci przy występach?**

– Tak. Jest on generalnie oparty na technikach Anthony’ego Robinsa... To moja mała tajemnica, więc zastanawiam się, w jaki sposób mogę ci o tym powiedzieć. W tym wszystkim chodzi o to, by się nakręcić. Ci, z którymi gram, opisaliby najlepiej moje manewry na backstage’u.

▪ **Co to znaczy? W jaki sposób się „nakręcasz”?**

– Polega to na zaangażowaniu fizycznym ciała i przyspieszeniu oddechu. Umysł napędzam afirmacjami – sprawdziłem to wiele razy i u mnie działa. Wszystkiego dowiedziałem się od Anthony’ego Robinsa i jego *The way Ahead* i odtąd to stosuję.

▪ **U mnie działa to tak, że stoję przed lustrem i mówię „Jestem super”...**

– Bo jesteś super! Dobre słowo skierowane do siebie – widać – też jest skuteczne. Ja potrzebuję jednak zaangażowania całości Szymona.

▪ **Skąd miłość do wibrafonu?**

– To był długi proces, choć trwał moment. W szkole muzycznej w 2011 roku mój nauczyciel Marek Burda powiedział, że w Jasle odbywa się w ramach wiosennej trasy zespołu koncert Maseli On The Road, czyli jubileuszowej formacji Bernarda Maselego, i że powinienem pójść i to zobaczyć. Kupiłem bilet i po dwóch godzinach wszystko wywróciło się do góry nogami. Gdyby nie te dwie godziny wtedy, nie byłoby mnie tu, gdzie dzisiaj jestem.

▪ **Na YouTube można usłyszeć twoje wykonania jednego z utworów Maselego. Dla mnie brzmiś nawet lepiej niż „oryginał”.**

(śmiech) – No coś ty. To komplement, więc dziękuję. Ja brzmię tylko bardzo inaczej, czytaj: gorzej, to wynika z charakteru i tego, że nie gram na takich elektronicznych cymbałkach, z którymi prof. Maseli jest głównie kojarzony już od lat.

▪ **Wcale nie gorzej. Jak długo już grasz?**

– Na wibrafonie? Od 14 kwietnia 2011 r. Oczywiście, ten instrument znałem już wcześniej, bo takowy występował w klasie perkusji, w której się uczyłem, ale formalnie liczę od daty koncertu Maselego.

▪ **Sam tworzysz. Jak wygląda twoja praca?**

– To zależy od materiału, jaki będzie grany. Teraz na przykład za parę dni gram koncert totalnie jazzowy na wibrafonie, więc do niego się teraz przygotowuję. Ćwiczę tylko i wyłącznie nowe utwory. A jak przygotowuję się do duetu z Anią Sarną, bardzo utalentowaną marimbistką i perkusistką, to wtedy repertuar jest bardziej klasyczny, nie ma tylu improwizacji, nie ma przestrze-

ni do wymyślania dźwięków na bieżąco w trakcie koncertu. Mamy po prostu nuty, które muszę przećwiczyć, i często uczę się ich na pamięć. To zupełnie inny rodzaj pracy niż z Bartkiem Tyburowskim, pianistą, z którym tworzę duet Tyburowski & Bora Duo. Obydwaj gramy przede wszystkim swoją muzykę opartą w dużym stopniu na improwizacji.

▪ **Całkowitej?**

– Częściowej. To nie jest tak, że nie kontrolujemy swoich utworów. Gramy, opierając się na konkretnych harmoniach, jest to więc improwizacja do pewnego stopnia. Trzeba wiedzieć, jakie rzeczy po czym występują w muzyce. Sam cały czas się uczę, by wiedzieć coraz więcej, bo to ma bezpośrednie przełożenie na jakość koncertów.

▪ **Czy silnie odczuwasz stres, czy też towarzyszy ci podniecenie związane z projektami?**

– Stres, nieraz ogromny. Za kilka dni gram pierwszy koncert z zupełnie nowym zespołem, nowi ludzie, nowa muzyka i nowe miejsce. Coś się wydarzy i to jest okropnie ciekawe. Ale od tego są próby, żeby rozwiązywać te niewiadome, na szczęście! Ale stresu przed wyjściem do ludzi – już prawie nie. Jestem tak samo ludzki jak osoby, które przychodzą na koncert, liczę więc, że nawet jakieś brzydkie dźwięki będą mi wybaczone, nikt nie jest idealny. Kucharz też nieraz coś spieprzy i to doślawnie. Muzyk tak samo.

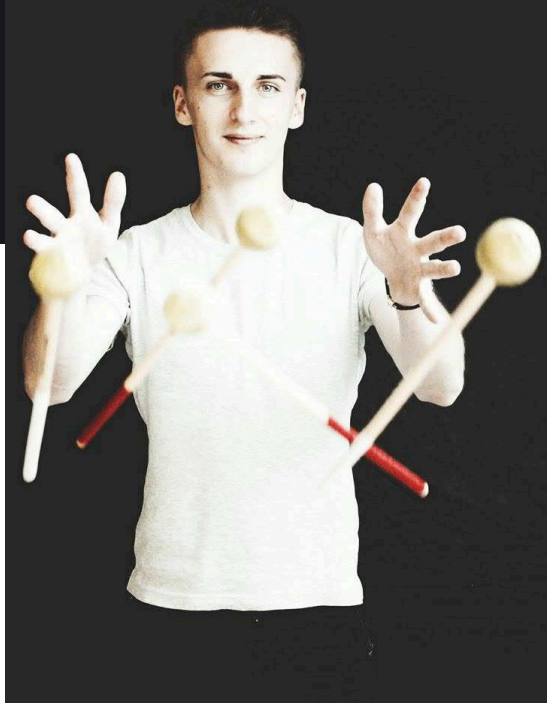
▪ **Masz misję szerzenia wiedzy na temat wibrafonu. Czujesz, że ją spełniasz?**

– To nie chodzi tylko o wibrafon, to jest dużo szersza sprawa szerzenia dobrej muzyki. Nie rozumiem, jak to możliwe, że dzisiaj osoba, która słucha radia i ogląda telewizję, wie, czym jest „Ona tańczy dla mnie”, kim są zespoły typu Boys, a nie wie, kto to jest Maurice Ravel czy Michał Urbaniak. Po drugiej stronie tego wszystkiego stoją ludzie, tacy jak my, którzy wiedzą, kto to jest Robert Glasper czy klasycy muzyki: Mozart, Bach, a jednocześnie i do nas przenika tandeta i kicz. Trzeba zrobić tak, aby to działało w obydwie strony, żeby oni poznali też naszą muzykę.

▪ **I jaki masz plan, by to zmienić?**

– Dać ludziom wybór. Dzięki moim kilku koncertom dotarłem do dziesiątków osób, które nie znają muzyki wibrafonowej. I po występie mówią: „Wow! Jakie to jest superfajne”. Dałem im wybór, poznali, co to jest, spodobało im się to. Gdybym takich koncertów mógł grać więcej, toby ta muzyka docierała jeszcze bardziej. Ale dzisiaj z nauką muzyki jest jak z uczeniem religii w szkołach – niemal każdy traktuje to jako lekcję objawiania się, a później większość wybiera to, co obecnie promuje YouTube, a zatem na koncerty jazzowe przychodzi 50-100 osób – w przypadku artysty nieznanego, na znanego zaś przyjdzie o jedno zero więcej. Natomiast na byle disco polo pójdą setki nawet w najgorszą śnieżycę.

▪ **Na początku wspomniałeś, że motywacja rodzi się z twojej pasji. Czy czujesz satysfakcję i spełnienie w tym, co robisz?**



– Jak najbardziej. Ale, jak to mówią, apetyt rośnie w miarę jedzenia. I teraz, dostając angaż na koncerty z orkiestrami, nie mam szoku, że jak to: ja, bez ukończonej szkoły muzycznej, bo naukę przerwałem, w filharmonii z doświadczonymi muzykami? Teraz uczę się, jak osiągnąć kolejny etap, czyli grać koncerty, w których to ja, Szymon Bora, będę tak ważny, jak dyrygent na koncercie filharmoników.

▪ **Czy jest ktoś, kto cię inspirował?**

– Nie licząc wszystkich wielkich jazzowych gwiazd, to Michał Wierba, znany pianista i aranżer. Jak dla mnie, jest najlepszy, a od wielu miesięcy nie opuściłem w Krakowie żadnego jego koncertu. Marzę o tym, by z nim grać – bo wystarczy popatrzeć na tytuły jego kompozycji i ich posłuchać, żeby się zorientować, jak szeroką ma wyobraźnię i jak ciekawie postrzega muzykę.

▪ **Jak funkcjonujesz w otoczeniu? Jak cię widzą znajomi?**

– Robię selekcję. Jest zbyt dużo kapitalnych osób na świecie, które chcą poznać, a zatem nie marnuję czasu na „stę kaczy”. Brzmi to jak gwiazdorzenie, ale dzięki temu jestem zdrowszy psychicznie. Postrzegany jestem jako pomocna gaduła. Gram bardzo często dobrego psychologa. Ale każdy jest do czegoś potrzebny, ja chyba gram rolę dla znajomych właśnie kogoś takiego, komu można się wygadać, a nieraz nawet da poradę bez zbędnego pier...

▪ **Czy muzyk uczy się całe życie, czy do pewnego momentu?**

– Jeśli wierzyć statystycznemu muzykowi po pięćdziesiątce, to całe życie i dzień w dzień. Ale kim ja jestem, żeby mówić o takich rzeczach, jak sam jeszcze naprawdę niewiele wiem? Jak przeżyję z 40 lat, to wtedy odpowiem na to pytanie (*śmiech*).

▪ **Jak widzisz swoją przyszłość?**

– Marzeniem są studia w Finlandii oraz opanowanie do perfekcji języka fińskiego – to jest do zrobienia w ciągu najbliższych pięciu lat. Myślę, że jeżeli to osiągnę, to i dotarcie na sceny Europy będzie wykonalne. Szczytem jest wyjazd do Nowego Jorku i zagranie w Village Vanguard. To sobie „wkręcam” już od paru lat, nawet w domu cały czas na ścianie mam plakat sceny w tym klubie. A na Facebooku hasło, które przypomina mi ten mój cel nadrzędny – ów Vanguard. Ale nie próbujcie zgadywać – to dobrze zakodowany szyfr (*śmiech*)!

▪ **Dlaczego właśnie Finlandia?**

– Pomysł narodził się zaraz po koncercie Panu Savolainena, na którym byłem kiedyś w Krakowie, jednego z najlepszych wiolonczelistów w Finlandii i również w Europie. Rok temu napisałem do niego, pytając o naukę i studia w tym kraju. Opowiedział mi o tym. Wtedy pojawiła się chęć nauki języka fińskiego. Znalazłem kilku znajomych z Finlandii, z którymi mam kontakt do dziś i dzięki którym uczę się fińskiego. Rozmawiamy przez Skype’a bądź Facebooka w języku angielskim i fińskim.

▪ **Jak byś innych zmotywował do spełniania marzeń?**

– Jeśli ktoś nie znajdzie tego, co sprawia mu frajdę, to nie będzie miał motywacji. Jak masz wiarę i pasję, to masz i motywację, by to robić i spełniać marzenia! Mam nadzieję, że kręci cię robienie wywiadów, bo bardzo przyjemnie się rozmawiało, więc może czas zrobić, na wzór YouTube’owego talk-show „20 m³” prowadzonego przez Łukasza Jakóbiaka, krakowską wersję...

Rozmawiała
ANITA WOŁOS

Dla wielu ludzi pielęgniarstwo jest nic nieznaczącą osobą u boku lekarza. Ja uważam inaczej, może dlatego, że mama wykonuje ten zawód, i wiem, ile wysiłku i empatii wkłada codziennie w pracę...

– Przez lata z pielęgniarek zrobiło się służące...

Rozmowa z moją mamą, **ZOFIĄ SUDOŁ**,
pielęgniarką z 30-letnim stażem

▪ **Patrząc na ciebie, na to, ile wiesz i umiesz, wykonując pracę pielęgniarki, odnoszę wrażenie, że twoja wiedza, mamo, jest bliska temu, czego uczą na medycynie...**

– Nie do końca... Powiem raczej, że wiedza medyków i nasza uzupełnia się. Rzeczywiście, sporo wiemy, umiemy rozpoznać objawy choroby czy zastosować leczenie, jednak lekarze są wyspecjalizowani w innych rzeczach niż my. Może to zabrzmieć śmiesznie, ale niekiedy się zdarza, że lekarz ma problem z założeniem wenflonu, ale nie dlatego, że tego nie potrafi, tylko że uważa, iż jest stworzony do wyższych celów.

▪ **A czy pielęgniarki pracują ciężiej niż lekarze?**

– Jeżeli chodzi o kontakt z pacjentem, to na pewno tak. Podczas obchodów lekarzy to my informujemy ich o stanie pacjenta, o objawach, o których nie wiedzą, gdyż nie ma ich przy łóżkach chorych. My też podajemy leki, a to wielka odpowiedzialność...

▪ **Tymczasem wynagrodzenia za pracę tak bardzo się różnią...**

– Pewnie, że pieniądze są ważne i czasem nie rozumiem, dlaczego rezydenci, którzy przychodzą na staż, nie mając jeszcze żadnego doświadczenia, ►

zarabiają tyle, co ja po trzydziestu latach pracy. Ważniejszy jest jednak szacunek, którego nie okazują nam ani rodziny pacjentów, ani lekarze, zwłaszcza ci młodzi, którzy myślą, że jak włożą na siebie biały kitel i umocują wokół szyi stetoskop, to od razu stają się lepsi od innych.

▪ **To czemu nie poszłaś na medycynę? Przecież to prestiż, a po latach spore pieniądze...**

– Kasiu, po prostu nie było mnie na studia stać...

▪ **Nie istniały stypendia?**

– Istniały, ale dla państwa byłam za bogata, gdyż ojciec dostawał rentę, a mama dorabiała chałupnictwem. Tymczasem niekiedy na pomoc materialną mogli liczyć ci, których rodzice przebywali za granicą. Ich zarobki trudno było przecież udokumentować, więc na papierze tacy osobnicy zaliczali się do ludzi biednych, choć prawda miała się zupełnie inaczej.

▪ **Żałujesz, że nie jesteś lekarzem?**

– Czasami myślę sobie, że z moją intuicją mogłabym osiągnąć znacznie więcej. Niekiedy widzę u pacjenta jakieś objawy i łączę je z konkretną chorobą. Ale to pewnie jednak efekt wiedzy przyswajanej przez lata, a także doświadczenia.

▪ **Ile lat trwała nauka w zawodowej szkole pielęgniarstwa, którą ukończyłaś?**

– Pięć. W moich czasach było więcej zajęć praktycznych, nacisk kładziono przede wszystkim na kontakt z pacjentem. Dziś do pracy przychodzą młode dziewczyny wyposażone w teorię, a to jest zawód opierający się głównie na doświadczeniu. Z książki nie nauczysz się tego, jak wbić igłę w żyłę, choć są pewnie podręczniki opisujące ową technikę. Dopóki jednak tego nie zrobisz sama i nie będziesz regularnie tego powtarzać, dopóty się w tym działaniu nie wyszkolisz.

▪ **Chcesz powiedzieć, że należy się obawiać młodych pielęgniarów bez doświadczenia czuwających nad łóżkiem chorego...**

– Bez przesady... młode dziewczęta uczą się od starszych. Bardziej natomiast boję się tego, że niebawem zabraknie rąk do pracy w szpitalach. Dzisiaj średnia wieku w tym zawodzie wynosi 40 lat i ciągle wzrasta. Młode pielęgniarki wyjeżdżają z Polski, gdyż za granicą istnieją lepsze realia pracy – i nie chodzi tylko o zarobki, ale także o to, że tam w przeliczeniu na tysiąc mieszkańców na jedną pielęgniarkę przypada 62 osoby, w Polsce zaś – 200!

▪ **I stąd u nas te strajki?**

– Chodzi przede wszystkim o zmianę warunków pracy, by było lepiej nie tylko nam, ale także w przyszłości tym, którzy myślą o wykonywaniu tego zawodu. Dziś nie jest on po prostu dla młodych opłacalny. W polskich realiach to dużo obowiązków, ogromna odpowiedzialność, a zarobki właściwie żadne...

▪ **A czy to nie lekarze w jakiejś mierze powinni sprawować kontrolę również nad waszą pracą?**

– Nie. My same jesteśmy odpowiedzialne za to, co robimy. W sytuacjach, w których dopatruje się przewinień ze strony szpitala, konsekwencje ponoszą i podlegają pod wymiar sprawiedliwości zarówno lekarze, jak i pielęgniarki.

▪ **Czy możecie niekiedy zaprotestować przeciwko decyzjom lekarza?**

– Tak, jasne. Możemy się nie zgodzić z lekarzem i wtedy odmówić wykonania jakiegoś zlecenia, jeżeli uznamy je za niebezpieczne.

▪ **Skorzystałaś kiedyś z takiej możliwości?**

– Zdarzyło mi się to chyba tylko raz. Pani doktor, z którą wówczas się nie zgodziłam i która w końcu przyznała mi rację, do dzisiaj krzywo na mnie patrzy...

▪ **Przy podejmowaniu trudnych decyzji ważne są aspekty moralne...**

– Przede wszystkim bardzo ważna pozostaje empatia, modne ostatnimi czasy słowo. Moje normy etyczne nie pozwalają mi na przykład strajkować i odejść od łóżka pacjenta. Przecież nie zostawię na pastwę losu chorych, którzy niczym nie zawinili, bo denerwują mnie decyzje zarządu szpitala. Trzeba mieć jakieś uczucia, wyznawać wartości, umieć się otworzyć na innych. Jeżeli tego nie potrafisz, jeśli ci nie zależy, to działasz jak automat. Może łatwiej jest nie mieć żadnych uczuć, bo wtedy się nie angażujesz, nie masz dylematów. Ale czy lepiej?

▪ **Zastanawia mnie, czy emocje z pracy przenoszą się do życia codziennego...**

– Niestety tak. Jesteśmy przecież tylko ludźmi. Są sytuacje, które bardzo mocno na nas wpływają, np. ostatnio śmierć dziewczynki, którą można było uratować, gdyby postawiono wcześniej diagnozę. Odejścia są najgorsze... Nie można się do tego przyzwyczaić. Niekiedy przez lata pamięta się imiona, nazwiska, wygląd osób już nieżyjących...

▪ **Jednym słowem – pielęgniarka musi mieć mocną psychikę!**

– Odporność psychiczna stanowi podstawę naszego funkcjonowania. Nawet sprawność fizyczna nie jest aż tak ważna, bo zawsze można kogoś poprosić o pomoc przy przenoszeniu pacjentów, a z cierpieniem, ze śmiercią, z którą spotykamy się na co dzień, musimy sobie poradzić same, bo to wszystko rozgrywa się w naszych głowach.

▪ **Co powinno charakteryzować dobrą pielęgniarkę?**

– Myślę, że bez empatii, umiejętności dobrego zorganizowania się, skrupulatności oraz profesjonalizmu daleko się w tym zawodzie nie zajdzie.

▪ **A powołanie?**

– Chyba jak w każdej profesji. Po prostu trzeba się urodzić z darem, który sprawia, że robisz coś dobrze i nie chodzisz do pracy wyłącznie z poczucia obowiązku.

▪ **Czy są jakieś pozytywne strony bycia pielęgniarką?**

– Tak, np. setki teoretycznie beznadziejnych przypadków, które kończą się szczęśliwie. Raz na oddziale leżało dziecko, któremu nie dawano żadnych szans na przeżycie, a kilka tygodni później... wyszło ze szpitala na własnych nogach. Sam uśmiech dziecka sprawia, że czuje się, iż to, co robimy, ma sens. Ja naprawdę lubię to, co robię, ale chciałabym, żeby i inni zaczęli to doceniać...

▪ **A co z rodzinami chorych? Jak się zachowują wobec pielęgniarek?**

– Ludzie stali się bardzo roszczeniowi, oczywiście nie wszyscy. Jednak coraz częściej nie współpracują z nami, ale wręcz przeszkadzają nam, uważają, że wiedzą lepiej. Nie wiem, czy wynika to z braku zaufania do służby zdrowia, czy po prostu z dzisiejszych czasów, w których każdy zna się na wszystkim, a w przypadku niewiedzy pyta o radę wszechwiedzącego doktora Google'a. Internet cieszy się większym poważaniem niż nasze kompetencje. A nam wystarczyłoby wykazanie jakiegokolwiek zainteresowania tym, o czym mówimy, rozmawiając z rodziną chorego.

▪ **Niby tak niewiele, a jednak tak dużo...**

– Gdyby można było zmienić postrzeganie tego zawodu przez innych, to byłby to wielki sukces. Przez lata z pielęgniarek zrobiło się służące, które mają przynieść, podać, pozamiatać. Od zawsze jesteśmy kojarzone z słuženiem innym, w końcu to od siostry miłosierdzia wzięło się powiedzenie „Siostro!”.

Rozmawiała
KATARZYNA SUDOŁ

- Teraz moje życie stało się nieco spokojniejsze...

Rozmowa z **TOMASZEM CZOPIKIEM**, czterokrotnym mistrzem Polski w zawodach rajdowych, prywatnym przedsiębiorcą, prezesem Ośrodka Doskonalenia Techniki Jazdy „Sobiesław Zasada Centrum” oraz promotorem bezpieczeństwa w ruchu drogowym



▪ **Który rajd sprawił, że poczuł się pan spełniony jako sportowiec?**

– Był to rajd w zachodniej części Belgii, w miejscowości Ieper, zresztą okrytej niesławą, tam bowiem użyto pierwszy raz gazu bojowego podczas I wojny światowej. Jednak miasteczko jest niesamowicie malownicze. Sam rajd układał się bardzo dobrze, tylko na ostatnim odcinku wpadłem do rowu i dość długo zajęło mi wydostanie się z niego, przez co spadłem w rankingu o trzy pozycje. Mimo to były to chyba najlepsze zawody w mojej karierze, niesamowite trzy dni potężnej, satysfakcjonującej walki!

▪ **Co sprawiło, że w pana życiu pojawiły się rajdy?**

– Stało się to chyba za sprawą nieżyjącego już Mariana Bublewicza, znanego polskiego kierowcy rajdowego. Kiedyś pojechałem na Rajd Krakowski i zobaczyłem go w polonezie, było to tak niesamowite, że po prostu zakochałem się w tym sporcie. Wtedy postanowiłem, że zacząć szukać możliwości jeżdżenia. Jednak musiało minąć sporo czasu, zanim po raz pierwszy wystartowałem.

▪ **Pamięta pan swój „pierwszy raz”?**

– Tak, pojechałem z kolegą „maluchem” na Paszów Rally jako pilot. Potem w latach 80. jeździliśmy z moim przyjacielem Bartkiem Baniowskim dużym fiatem w mistrzostwach Polski. I tak to się zaczęło...

▪ **Podobno zbierając punkty do licencji rajdowej, jeździł pan z żoną jako pilotem?**

– W tamtych czasach licencje zdobywało się na tzw. KJS-ach, czyli konkursowych jeżdżach samochodowych. I faktycznie z moją żoną, wtedy jeszcze dziewczyną, pojechalśmy trzykrotnie i bardzo dobrze nam poszło. Dwa razy nawet wygraliśmy. Gosia była moim pierwszym pilotem.

▪ **Wszyscy w rajdach zwracają przeważnie uwagę na pracę kierowcy, a mało kto docenia pilotów. Jaka jest ich rola i wkład w sportowy sukces?**

– Rajdy są sportem zespołowym: musi być i kierowca, i pilot, inaczej się nie da. W naszym sloganie pilota nazywamy *umysłowym*, a kierowcę *fizycznym*. Ten pierwszy zajmuje się logistyką całego rajdu, regulami, musi doskonale znać trasę, co jest najważniejszą częścią jego pracy.

Przed rajdem właściwym team złożony z kierowcy i pilota zapoznaje się z trasą. Kierowca jadąc powoli, dyktuje pilotowi, co chce usłyszeć w czasie rajdu: czy zakręty, proste, charakterystyczne punkty. W niektórych krajach są dwa przejazdy zapoznawcze, a niekiedy trzy. Tak powstają notatki rajdowe. Są konieczne z tego względu, że czasem trasa liczy nawet piętnaście tysięcy zakrętów.

▪ **Istnieje przepis na idealny zespół kierowca – pilot?**

– Ten sport jest przede wszystkim ciekawy dlatego, że o rezultacie decyduje bardzo wiele zmiennych. Najważniejszą kwestią pozostaje więc to, by pilot i kierowca doskonale się rozumieli. Żeby tak się stało, pilot musi dostosować tempo przekazywania informacji do potrzeb kierowcy. Dobrze jest także, by obydwie osoby darzyły się sympatią, ponieważ rajd, łącznie z zapoznaniami i badaniami technicznymi, trwa od trzech dni do nawet tygodnia, a w roku może być ich kilkanaście. A zatem przebywa się ze sobą niemal cały czas.

▪ **A jak opanować tak potężny stres i emocje, aby jednocześnie na szosie dać z siebie wszystko i słuchać wskazówek pilota? Jak pan sobie z tym radzi?**

– Nie zdawałem sobie sprawy z ogromu stresu do momentu zmierzenia zawodnikom ciśnienia przed startem. Przed odcinkiem specjalnym, kiedy jedzie się na 100 procent, ciśnienie okazało się bardzo wysokie, a tętno podskoczyło do dwustu. Dlatego trzeba być zdrowym i dbać o kondycję. Oczywiście, przed zawodami starałem się stres opanowywać, choć mimo to, w momencie zapinania pasów i nakładania kasku, serce bije jak szalone!

▪ **Świat motoryzacji jest raczej środowiskiem hermetycznym i elitarnym. Czy widzi pan już może swojego przyszłego następcę?**

– Trudno wyróżnić konkretną osobę, bo zawsze znajdzie się kilku dobrych kierowców. Ja w tej chwili pomagam Colinowi Brzezińskiemu, młodemu polskiemu zawodnikowi okrzykniętemu wielkim talentem. Teraz nawet jedziemy do Portugalii na rajdowe mistrzostwa świata. Mogę chyba powiedzieć, że jest najlepszym rajdowcem młodego pokolenia w Polsce. Mamy oczywiście jeszcze świetnego Kajetana Kajetanowicza, mistrza Europy, który najprawdopodobniej zostanie nim po raz drugi.

■ **A Mateusz Lisowski?**

– O tak..., Mateusz to świetny kierowca, zresztą pracujemy razem. Jest kierowcą wyścigowym, bardzo szybkim, ale dopiero wchodzi do świata rajdów. To dwa zupełnie inne sporty. Dlatego długa droga przed nim, aby stał się profesjonalistą. On jeszcze nie przejechał prawdziwego rajdu. Jeśli pomoże mu mój były pilot i bardzo dobry kolega Darek Burkat, to myślę, że Mateusz stanie się następnym młodym, świetnym kierowcą rajdowym.

■ **Trzy lata ścigał się pan na imprezach międzynarodowych.**

Czy dostrzega pan różnice w organizacji rajdów w Polsce i za granicą?

– Diametralnie. Miałem okazję jeździć w jednych z lepszych rajdów w Europie, a więc we Włoszech, w Chorwacji, Bułgarii, Belgii... Są to rajdy na pewno bardziej rozbudowane niż polskie, mają także dłuższe tradycje, a to, co niewątpliwie odróżnia je od zawodów na naszym podwórku, to podejście do zawodnika. U nas jest raczej „po wojskowemu” i często dochodzi do spięć pomiędzy uczestnikami a organizatorami. Co więcej, w Polsce nie promuje się tego sportu. Jeszcze w latach moich największych sukcesów, czyli około roku 2007, frekwencja kibiców na zawodach była znacznie większa. Także w mediach więcej mówiło się o rajdach.

■ **Rajdy uzależniają, podnoszą adrenalinę, są niemal jak narkotyki. Pan jednak odszedł na emeryturę...**

– Cóż, minęło mi 25 lat w rajdówce. A to również nieustanna walka o duże pieniądze. W pewnym momencie gonienie za sponsorami staje się męczące. Drugim powodem jest, jak to się mówi, PESEL. Nie zawsze już miałem tę prawą nogę wyprostowaną tak, jak powinna być, z wiekiem zmienia się także percepcja. Stąd emerytura rajdowców, którzy przerzucają się na off-roady czy rajdy Dakar, gdzie liczy się dokładność, którą można wypracować jedynie poprzez doświadczenie.

■ **Co skłoniła pana po zakończeniu kariery rajdowej do założenia Szkoły Doskonalenia Nauki Jazdy w Bednarach?**

– To zupełny przypadek. W 2003 roku zgłosiła się do mnie i do bardzo znanego kierowcy Leszka Kuzaja firma farmaceutyczna. Zaproponowała nam organizację serii szkoleń samochodowych. Okazało się to dla mnie na tyle interesującym i ciekawym doświadczeniem, że postanowiłem rozwinąć firmę doskonalenia nauki jazdy.

■ **I co może pan powiedzieć o polskich kierowcach? Zmieniło się coś w sposobie naszej jazdy?**

– Myślę, że zrobiliśmy duży krok naprzód. Kiedy zaczynaliśmy prowadzić szkołę jazdy, było naprawdę źle. To jest w jakiś sposób uwarunkowane historycznie, ponieważ przyszedł taki moment, kiedy polskie społeczeństwo zaczęło się bogacić i kupować coraz szybsze samochody. Pojawiło się też zjawisko organizowania nielegalnych rajdów. Mieliśmy jedne z najgorszych statystyk wypadków w Europie. Teraz jest już znacznie lepiej. Wiele czynników się na tołożyło: wyższe mandaty, fotoradary, wzrost świadomości społecznej, kampanie reklamowe. Teraz widzę w swoich grupach szkoleniowych, że są to ludzie, którzy przyjeżdżają do nas, bo faktycznie chcą się czegoś nauczyć i lepiej jeździć.

■ **Powinniśmy w Polsce tworzyć więcej takich ośrodków jak pański?**

– Już jest ich coraz więcej, a wkrótce dojdziemy do sytuacji takiej, jak na Zachodzie, gdzie niedługo wprowadzona zostanie ustawa określająca liczbę szkoleń dla każdego kierowcy. A konsekwencją tego będzie konieczność tworzenia nowych ośrodków Doskonalenia Techniki Jazdy.

■ **Porozmawiajmy teraz o środowisku motoryzacyjnym. Jak wygląda zawieranie przyjaźni między zawodnikami?**

– Kierowcy sportowi zawsze w pewien sposób trzymają się razem, chociaż, jak w każdym sporcie, czasem i tutaj dochodzi do spięć. Jest to głównie związane z konkurencją w poszukiwaniu sponsorów, a nie samym sportem. Chociaż zawsze unikałem konfliktów i zdarzały się one rzadko, to jednak przy stu pięćdziesięciu przejechanych rajdach jakieś nieporozumienia musiały się zdarzyć...

■ **Czy uważa pan, że sukces w sporcie rajdowym jest wypadkową dwóch sił, a mianowicie własnego zaangażowania i ciężkiej pracy, a z drugiej strony poznania odpowiednich osób, które skierują naszą karierę na odpowiednie tory?**

– Sport rajdowy jest na tyle specyficzny i elitarny, że, mówiąc kolokwialnie, trzeba mieć hopla na tym punkcie. Spróbowałem go raz, nie da się bez niego żyć. Ale oczywiście poznanie odpowiednich ludzi pozwala na ukierunkowanie całej kariery. Colin Brzeziński pozyskał sponsora, który go niesamowicie wspiera...

■ **Czy młody, utalentowany człowiek, ale nieposiadający odpowiednich funduszy może liczyć na wsparcie finansujące jego rozwój?**

– Ludzie niezwiązani ze światem rajdowym często twierdzą, że skoro ktoś jest dobry, to mu się należy. Niestety, w tym sporcie taka filozofia nie funkcjonuje. Polski Związek Motoryzacyjny, automobilkлубы czy jakkolwiek inna komórka nie wspierają finansowo młodych talentów z prostego powodu: ten sport jest za drogi... Nie jest to lekkoatletyka czy łyżwiarstwo, gdzie można wydać 100 tys. zł, żeby sprawdzić kilkunastu zawodników. Zawodnik musi sam zadbać o finansowanie i włożyć niesamowity wysiłek w znalezienie mecenasa, który będzie go sponsorował.

■ **Z zawodu jest pan inżynierem mechanikiem. Czy wiedza zdobyta na studiach pomogła panu w karierze?**

– Na początku studia techniczne pomogły mi generalnie w znajomości samochodu. Jednak teraz postęp jest tak szybki, i to jak chodzi o zwyczajne samochody, a co dopiero sportowe, że nie wiem, co się dokładnie dzieje pod maską. Od tego jest inżynier, który podcina laptopa i sprawdza samochód od strony technicznej.

■ **Syn nie poszedł w pana ślady i się nie ściga?**

– Znalazł sobie inną pasję – rowery. Ja się z tego cieszę, bo rajdy wiążą się z masą wyrzeczeń. Już jako dziecko zaangażował się w jazdy downhillowe, a teraz bierze udział w zawodach enduro.

■ **Brakuje panu rajdów?**

– Nie, moje życie stało się nieco spokojniejsze, mam też więcej czasu na inne, ciekawe aktywności, jak choćby latanie samolotem. Wszystko stało się odpowiednim dopełnieniem. Wcześniej były lata, że jeździłem po dwadzieścia rajdów, a w takiej katorżniczej pracy może się zgubić przyjemność z jej wykonywania. Poza tym brakowało mi w domu, przez co rodzina w pewien sposób ucierpiała. Z jednej strony wiem, że życie rajdowca jest pasjonujące i pełne wyzwań, jednak z perspektywy czasu widzę, jak wiele rzeczy mi umknęło. Teraz, kiedy zwolniłem, mogę się skupić na tym, co jest w życiu najważniejsze, czyli na rodzinie. Jednocześnie nie zrezygnowałem ze sportu całkowicie, bo szkolenia i prowadzenie ośrodka „Sobiesław Zasada Centrum” jest właściwie swego rodzaju kontynuacją rajdów.

Rozmawiała
ADRIANNA SZUSTAK



Czterech młodych, zdolnych mężczyzn, którzy tworzą rockową kapelę „Ostatni w raju”, czyli Piotr Piekiełko, Łukasz Malinowski, Piotr Malinowski i Mateusz Zakrzewski. Dzielili już scenę z takimi gwiazdami, jak „Dżem”, Pectus”, „Afromental”, „Big Cyc” i inni. Pragną pokoju na świecie i marzą o zagranii na Wembley

- Chcemy rządzić światem

Rozmowa z członkami zespołu
„OSTATNI W RAJU”

33

▪ **Kto był jego inicjatorem powstania grupy?**

Łukasz: – Kapela powstała ze zgłoszcy dwóch innych w wakacje 2013 roku. Po prostu spotkały się cztery osoby w jednym miejscu, zagraliśmy razem i od razu wiedzieliśmy, że to jest to!

▪ **Od początku powstania zespołu dwa razy zmienił się jego skład.**

Co było tego przyczyną?

Łukasz: – Zespół wymaga ogromnego zaangażowania czasowego oraz poświęcenia wielu innych spraw. I na pewnym etapie niektóre osoby nie były w stanie aż tak się zaangażować, choćby ze względu na swoje prywatne życie.

▪ **Skąd wziął się pomysł na nazwę zespołu i co ona oznacza?**

Łukasz: – Nazwę wymyślił nasz pierwszy wokalista, a pierwotnie miała ona oznaczać to, że jako muzycy zostawiamy w utworach część siebie, przez co nie umrzemy do końca, dlatego będziemy „ostatni w raju”.

Piotr: – Pozwalamy jednak słuchaczom interpretować to inaczej, ja na przykład tłumaczę to też w ten sposób, że nieważne kiedy, ważne – że będziemy w raju i osiągniemy sukces.

▪ **Kto pisze teksty i skąd czerpicie inspirację do ich pisania?**

Piotr: – Przeważnie jest to wielka burza mózgów. Ktoś przychodzi z załącznikiem tekstu i wszyscy razem go modyfikujemy oraz dopracowujemy.

Łukasz: – Zależy nam na tym, by każdy z członków zespołu czuł, że gra „swoją” muzykę. Każdy dorzuca swoją „cegiełkę” w procesie tworzenia tekstów i muzyki.

▪ **Czy wzorujecie się na kimś?**

Piotr: – Każdy z nas ma swoje własne inspiracje i wzory. Słuchamy bardzo różnych gatunków muzycznych: od metalu po jazz.

Łukasz: – Podchodząc do muzyki, nie myślimy „zrobmy to tak, jak oni”. Muzykę tworzymy tak, jak w danym momencie mamy na to ochotę. Gdy powstają nowe kawałki, staramy się nie słuchać dużo muzyki z zewnątrz.

▪ **Który koncert wspominać najlepiej i dlaczego?**

Łukasz: – Do każdego koncertu podchodzimy indywidualnie, tak jakby miał to być nasz ostatni i najlepszy występ. Najlepszy jednak, moim zdaniem, był ten na Hoop Likes Festival w Gdańsku. Tego dnia, mimo że nie byliśmy „Gwiazdą wieczoru”, zrobiliśmy na tej ogromnej scenie świetną robotę! Publiczność też była wspaniała.

▪ **Dzieliliście scenę z takimi zespołami, jak „Dżem”, „Afromental”, „Łzy”, „Pectus”, „Kult”, „Big Cyc”. Jakie to było doświadczenie? Myślicie, że kiedyś to inne zespoły będą supportować was?**

Piotr: (śmiech) – Już niektóre nas supportują, grają przed nami i nawet się o to biją.

► **Łukasz:** – Na początku, gdy mieliśmy okazję występować przed naszymi idolami, to byliśmy pod ogromnym wrażeniem. Wielkim przeżyciem było dla nas zagranie przed „Dżemem”, bo to m.in. ich słuchaliśmy wcześniej. Ale do wszystkiego można się przyzwyczaić. Teraz po prostu wychodzimy i robimy swoje.

▪ **Który kawałek jest najbliższy waszemu sercu?**

Łukasz: – Każdy nowy... przez dwa tygodnie. (śmiej)

▪ **Nie ukrywam, że wasz nowy singiel „Idę dalej” trafił w mój gust muzyczny i też, sądząc po ogromnej liczbie wyświetleń na YouTube, bardzo podoba się słuchaczom...**

Piotr: – To jeden z pierwszych utworów, które w obecnym składzie stworzyliśmy razem. Pomysł pojawił się na którejś z pierwszych prób. Jest on o tym, że to, co było piękne, czasem się kończy, i trzeba wtedy iść dalej, żyć tym, co jest teraz i co będzie za chwilę, a nie tylko wspomnieniami.

Łukasz: – Ten singiel opowiada o tym, że wspomnienia są świetne,

Piotr: – Lubimy tworzyć takie happening, jest potem co wspominać.

▪ **Zajmujecie się na co dzień czymś poza grą w zespole?**

Łukasz: – Robiąc wiele rzeczy naraz, podobno nie można być we wszystkim najlepszym. A my chcemy być najlepsi w tym, co robimy. W pełni poświęcamy się muzyce. Wszystkie inne zajęcia (praca, hobby) schodzą na plan dalszy.

▪ **Czyli jest to już wasz sposób na życie?**

Łukasz: – Tak. Żyjemy z tego i żyjemy z tym.

▪ **Piotr Piekiełko brał udział w niedawnej edycji popularnego „Must be the music”. Co cię skłoniło do udziału w tym programie?**

Piotr Piekiełko: – Chciałem być sławny... (śmiej) A mówiąc poważnie, chciałem pokazać się szerszemu gronu publiczności, a oprócz tego zobaczyć, jak działa takie przedsięwzięcie od środka. Chcielibyśmy w następnej edycji wygrać wraz z całym zespołem, ponieważ gdy zgłaszałem się jako uczestnik, nie grałem jeszcze z chłopakami z zespołu „Ostatni w raju”.



ale jeśli będziemy ciągle siedzieć i wspominać byłe rzeczy, to terazniejszość może ci przemknąć koło nosa, a życie jest na to za krótkie. Warto zachowywać wspomnienia, ale najważniejsze jest tu i teraz oraz to, co przed nami. Singiel miał w jakimś stopniu opowiadać historię naszego zespołu i to, co się w nim dzieje.

Piotr: – Bardzo ważne w tym utworze są słowa „za często skreślamy dzień przed wschodem słońca”...

Łukasz: – ...a przecież każdy dzień jest błogosławieństwem!

▪ **Pięknie powiedziane! Piszecie, że wasze zainteresowania to samochody, motocykle i kobiety. Możecie coś więcej o tym powiedzieć? Jak to jest z tymi kobietami? Czy macie tłumy fanek?**

Piotr: – Bardzo lubimy dziewczyny. (śmiej)

Łukasz: – Mamy sporą liczbę fanów w całej Polsce. Z fankami wiąże się różne ciekawe historie, a niektóre dziewczęta przyjeżdżają na nasze koncerty z daleko położonych miast. Jednak do *groupies* Beatlesów nam jeszcze daleko...

▪ **Czy macie jakieś śmieszne, ciekawe historie pochodzące z trasy koncertowej?**

Łukasz: – Na przykład w czasie zimy po koncercie w Bytomiu postanowiliśmy w formie rozrywki ubrać się w same ręczniki, pójść na stację kolejową i pytać ludzi, gdzie jest molo. (śmiej)

▪ **Jakie macie plany na przyszłość, tę bliską i tę bardziej odległą?**

Łukasz: – Chcemy rządzić światem, zjeść kiełbaskę „Pod Halą” na Grzegórkach w Krakowie i zagrać koncert na Wembley!

Piotr: – Zdobyć platynową płytę. Chciałbym też pokoju na świecie. (śmiej)

Łukasz: – A co do bliższej przyszłości, to przed wakacjami zamierzamy wydać kolejne single. Bardzo dużo i intensywnie teraz koncertujemy, promując nasze najnowsze utwory.

▪ **Możecie się pochwalić jakimiś osiągnięciami?**

Łukasz: – Zdobyliśmy I miejsca lub byliśmy finalistami na takich imprezach i festiwalach, jak RockFest w Łodzi, CKart w Gdowie, Polikultura w Krakowie, „Trzymaj się zdrów” w Tuchowie oraz na Orawskim Festiwalu Artystycznym, a także na krakowskich czyżnialich i Seven Festival.

▪ **Jakie słowa na koniec skierowałibyście do swoich fanów?**

Łukasz: – Chciałbym powiedzieć, że bardzo ich kochamy, i wielkie dzięki, że ciągle są z nami.

Piotr: – Że są wspaniali i że tę muzykę robimy przede wszystkich dla nich.

Rozmawiała
GABRIELA MOSKAŁA



- Zawsze ciągnęło mnie gdzieś w świat...

O tym, jak dobrze przeżyć studia w Rzeszowie, o podróżach w cztery strony świata i przyszłości polskich prawników z **MARKIEM PODRAZĄ**, najpopularniejszym studentem Podkarpacia, rozmawia Ewa Majewska

- **Podobało ci się na Krecie, skąd niedawno wróciłeś?**
 - Bardzo! Byliśmy tam dziewięć dni w II połowie kwietnia. Wszystko zorganizowaliśmy sami: i bilety samolotowe, i samochód, i hotel, i cały program wyjazdu.
- **My, czyli kto?**
 - Była nas czwórka. Ja odpowiadałem za sprawy organizacyjne, chłopaki dbali o wyżywienie. Tak sobie radziliśmy. Za bilet z Katowic na Kretę zapłacił 99 zł, a za powrotny 140 zł. Na miejscu wynajęliśmy samochód, pierwszy raz w małej, prywatnej firmie rodzinnej. Za auto na dziewięć dni wyszło nam 550 zł, to naprawdę niski koszt. Nocleg udało mi się znaleźć dzięki stronie booking.com i za dziewięć nocy każdy zapłacił po 135 zł.
- **Na Facebooku podałeś informację, że koszt wyjazdu jednej osoby to 770 zł, nie wliczając kosztów wyżywienia...**
 - Zakupy żywieniowe robiliśmy w „Lidlu”. Jest dużo taniej niż w lokalnych sklepikach. 770 zł nie zawiera też kwoty, jaką przeznaczaliśmy na pamiątki.
- **Wszyscy jesteście studentami?**
 - Tak, to takie studenckie wypadki. Jedynie wyjazd na Malediwy był bardziej rodzinny. Cała reszta to studenckie wypadki „po kosztach”...
- **Jak ci się udaje połączyć zamiłowania do podróży ze obowiązkami studenckimi?**
 - Z tym nie ma większego problemu. Szczególnie na czwartym roku, bo jest o wiele mniej zajęć. W każdym roku akademickim starałem się wyjechać minimum dwa razy. Zazwyczaj w październiku, a potem w kwietniu, gdyż sezon turystyczny dopiero się zaczyna i nie jest za drogo. Wiosną zeszłego roku pierwszy raz pojechałem sam na Maltę.
- **Prowadzisz bloga „W cztery strony świata” i facebookowy profil o tej samej nazwie, który polubiło ponad 5 tys. osób. Od czego zaczęła się twoja pasja?**
 - Mnie zawsze ciągnęło gdzieś w świat. Jako dziecko marzyłem o podróży samolotem. Chciałem zobaczyć, jak to jest. Pierwszy raz udało mi się w gimnazjum. Im częściej podróżowałem, tym bardziej mnie to wciągało. Zaczęło się od zorganizowanych wycieczek w Europie. Dwa lata temu odważyłem się zrobić coś na własną rękę, i była to Madera. Spróbowałem więc coraz dalej i dalej...
- **Podobno powiedziałeś kiedyś, że twoim celem jest zwiedzenie wszystkich państw na świecie i pokazanie, że podróżowanie nie musi być drogie.**
 - Chciałbym, mam taki plan. Myślę o 36 krajach, więc jeszcze mam trochę przed sobą.
- **W jakim czasie chcesz je wszystkie zobaczyć?**
 - Niektóre kraje są na razie niedostępne. Do Syrii najlepiej się teraz nie wybierać, chociaż w Damaszkach podobno życie toczy się w miarę normalnie. Przede mną jeszcze, mam taką nadzieję, trochę lat życia.
- **Całe życie chcesz poświęcić podróżom?**
 - To jest na razie sfera marzeń. Może kiedyś da się z tego żyć: zarabiać na podróżowaniu, łączyć przyjemne z pożytecznym.
- **À propos kwestii finansowych: dostajesz stypendium za ponadprzeciętne wyniki naukowe; pomagają ci zapewne też rodzice?**
 - Co roku staram się wyjeżdżać na wakacje do Anglii, by tam pracować. Część z tego, co zarobię, przeznaczam na wycieczki. Pierwszym źródłem finansowania wszystkich podróży jest właśnie wakacyjna praca za granicą. Dużym wsparciem pozostaje dla mnie stypendium, 800 zł miesięcznie. Rodziców o pomoc proszę rzadko.
- **Twoje wyjazdy – Malta, Dubaj, Malediwy, Kreta – wspierają dodatkowo sponsorzy...**
 - Sponsorzy pojawili się nie tak dawno. Biuro podróży „Why Not Travel” inwestuje w nas najwięcej. Poza tym od „Lux Express” dostajemy darmowe bilety.
- **Ile, w stosunku do tego, co otrzymujesz od sponsorów, musisz sam posiadać?**
 - 10, może 20 procent. Nie jest źle jak na początek. Moja siła przebicia zależy od liczby obserwujących fanpage.
- **Czyli fanpage promuje twoją aktywność, a partnerzy sami się zgłaszają?**
 - Bywa, że proszę o objęcie patronatem. Od niedawna myślę o zgłoszeniu projektu na stronie internetowej polakpotrafi.pl.

- **Oprócz internetowej aktywności o charakterze podróżniczym prowadzisz działalność związaną z programem twojego autorstwa, czyli „Studencki Rzeszów”.**
 - „Studencki Rzeszów” wykorzystuję najintensywniej raz w roku, podczas Świąt Transplantacji. Dużo się wtedy dzieje, aby zainteresować tym ludzi. W tamtym roku biliśmy rekord największego flash moba. W tym będziemy organizować bitwę na balony.
- **Zastanawiam się, skąd się wziął pomysł flash moba i czy łatwo było uzyskać pozwolenie na zrobienie czegoś takiego...**
 - Zaczęło się od pomocy w organizacji tego dnia. Drugim razem pomyślałem, że warto się postarać o większą promocję, chodzi przecież o honorową akcję. Z kwestiami organizacyjnymi nie ma problemu. Wynajmem płyty rynku zajmują się organizatorzy święta.
- **Czyli współpracujesz też z innymi organizatorami?**
 - Profesor Dynia zaproponowała nam pomoc w organizacji Świąt Transplantacji. Studenci zawsze byli w to zaangażowani. Pomysł rozprzestrzeniłem dzięki Facebookowi, bo ma niesamowitą siłę przebicia. Udział w wydarzeniu zapowiedziało prawie 3 tys. osób. Bałem się, co może z tego wyniknąć. Na szczęście aż tyle osób nie przyszło.
- **To ile było?**
 - Około 600.
- **I też będzie bicie jakiegoś rekordu?**
 - Na największą liczbę osób, która w jednym miejscu pompuje balony.
- **W ramach „Studenckiego Rzeszowa” przeprowadziłeś wywiad z Januszem Korwin-Mikkem.**
 - To było na początku studiów. Już na pierwszym roku ruszyliśmy ze „Studenckim Rzeszowem”. Próbowaliśmy różnych rzeczy, nie wiedząc, jaką formę to przyjmie. Zawsze chciałem studiować dziennikarstwo, ale myśląc o rynku pracy, wybrałem prawo.
- **Jesteś zadowolony z rozmowy z tym politykiem?**
 - Na 50 procent. Jak na pierwszy raz z taką osobą – nie było najlepiej, ale też nie najgorzej. Powiem szczerze: nie mamy żadnego przygotowania, nie jesteśmy po żadnych kursach. Myślę, że mogliśmy to lepiej zorganizować, zrobić to bardziej profesjonalnie. Według mnie, jak na pierwszy raz, było OK. Na pewno bardzo fajnie się z nim rozmawiało.
- **Janusz Korwin-Mikke powiedział wtedy, że żaden kierunek humanistyczny nie jest obecnie wart studiowania.**
 - Tak właśnie powiedział. Pewnie chcesz wiedzieć, czy się z tym zgadzam. Powiem ci tak: teraz po większości kierunków jest coraz trudniej znaleźć pracę. Ale z kierunków humanistycznych prawo uważam za najbardziej przyszłościowe. Nawet jeśli nie zrobisz aplikacji, to możliwości jest bardzo dużo.
- **Janusz Korwin-Mikke odniósł się też do prawa w waszej rozmowie. Skrytykował poziom nauczania polskich uczelni oraz poziom kompetencji i umiejętności prawników w Polsce...**
 - Poziom z roku na rok rzeczywiście spada. Widać to nie tylko u nas, na Uniwersytecie Rzeszowskim, ale też na innych uczelniach. Z powodu niżu demograficznego można dużo łatwiej dostać się na studia. Nie tylko u nas, w innych miastach również. Uczelnie chcą coraz większej liczby studentów. U nas przyjmuje się teraz 300 osób. Dochodzi do sytuacji, że nie trzeba na maturze zdawać historii czy WOS-u, wystarczy sam polski.



- **Żeby dostać się na prawo? Mówisz serio? By dziennie studiować prawo w Polsce, nie trzeba zdawać historii ani WOS-u?**
 - Tak.
- **Niedawno w „Newsweeku” pojawił się artykuł o innej organizacji, do której należysz. Anna Sobolewska napisała, że „Młodzi dla Polski» to „kuźnia kadr dla PiS-u”. Czytałeś ten artykuł?**
 - Tak, czytałem. Wysłała nawet zapytanie na nasz uniwersytet odnośnie do naszej działalności. Chciała sprawdzić, czy działamy zgodnie z prawem, czy jesteśmy zarejestrowani.
- **A jesteście?**
 - Tak, działamy jako organizacja studencka. A co do kar, to powiem ci tak: znam kilka osób, które teraz pracują w ministerstwach. Są to osoby, które bardzo dużo działały na studiach, nie tylko w tym stowarzyszeniu, także w innych. Nie są one ludźmi przypadkowymi. Piotr Müller, który był jednym ze współzałożycieli „Młodych dla Polski”, a także przewodniczącym Parlamentu Studentów RP, ma ogromną wiedzę na temat szkolnictwa wyższego. To m.in. dzięki niemu Trybunał Konstytucyjny orzekł, że drugi kierunek studiów powinien być bezpłatny, i dzisiaj taki jest. Powtarzam: nie są to osoby przypadkowe. A czy to kuźnia kadr? To poszczególne przypadki...
- **Jesteś niezwykle ambitny i zaangażowany w studenckie życie Rzeszowa. Działasz jako podróżnik, dziennikarz, organizator imprez w największych rzeszowskich klubach, a także filmowiec. Moim ulubionym filmem, który zrobiłeś we współpracy z Jankiem Trybusem za kamerą, jest „Świąteczny Królik”. Czy miałeś wcześniej jakieś doświadczenia z tego typu produkcjami?**
 - „Świąteczny Królik” ma być dla nas pamiątką, filmem, który obejrzymy za kilkanaście lat i przypomnimy sobie o studenckich czasach. Jasiak studiował grafikę, więc inwestował w sprzęt. Ja cały czas uczę się montować. Chciałbym się nauczyć kręcić vlogi podróżnicze. Oglądam filmiki na YouTube, ale na żaden kurs na razie się nie wybrałem.
- **Poznał cię już świat studencki w Rzeszowie oraz świat polityki. Dzięki pobiciu rekordu na największy flash mob usłyszała o tobie cała Polska. Pozazdrościć...**
 - To za dużo powiedziane (śmiech). Faktycznie TVN24 zrobił o nas krótki materiał, w tym roku może też będzie, ale że poznała nas cała Polska, to za dużo powiedziane. Czasami trudno mi wszystko pogodzić. Nie chcę rezygnować z żadnego aspektu życia studenckiego. Może to wygląda trochę chaotycznie chwytnie się w życiu tylu rzeczy naraz, ale nie wiadomo, co się kiedyś przyda. Obrabiałem kilka dróg, którymi w jakimś stopniu podążam, ale którą wybiorę jako ostateczną, to się jeszcze okaże.

Rozmawiała
EWA MAJEWSKA

- Jeśli chodzi o powołanie, to nie ma jednej drogi, ale co najmniej dwie:

kapłaństwo lub małżeństwo

Wikariusz **TOMASZ PLEWA** z parafii pod wezwaniem św. Stanisława Biskupa i Męczennika w Szarowie mówi o sobie, że jest zwykłym księdzem, który lubi uprawiać sport. Na co dzień bywa uśmiechnięty i każdą wolną chwilę przeznaczą na modlitwę.



- **Gdzie się ksiądz urodził i gdzie spędził dzieciństwo?**
– W Nowym Targu, tam dorastałem, spędziłem dzieciństwo i pierwsze lata młodości. To moje miasto i mój dom.
- **Czyli góral z krwi i kości?**
(śmiej) – Tak, z całą pewnością. Tańczę przy góralskiej muzyce i śpiewam po góralsku.
- **A księdza zainteresowania?**
– Mam wiele zainteresowań, nie lubię marnować czasu. Wolę go jakoś aktywnie spędzić, na przykład na uprawianie sportu...
- **Jakiego rodzaju?**
– Piłka nożna, hokej to moje ulubione sporty, ale jest też jazda na rowerze, która daje mi wiele radości. Jeśli akurat tego nie robię, a mam trochę wolnego czasu, to słucham muzyki.
- **Jakiej?**
– A takiej, która wpadnie w ucho, ale często kawałków religijnych.
- **Czym jest dla księdza powołanie?**
– Jedną z dróg życia, gdyż jeśli chodzi o powołanie, to nie ma jednej drogi, ale co najmniej dwie: kapłaństwo lub małżeństwo. Człowiek ma wolność i kiedyś musi jedną z tych ścieżek wybrać.
- **Jak ksiądz rozpoznał owo powołanie?**
– Z Bożą pomocą. Trzeba się wsłuchać w głos Pana Boga, który jest w sercu człowieka, a czasem spotykając innych ludzi, którzy pomogą nam się zdecydować, co jest dla nas najlepsze.
- **Zapytam o wiarę. To dla księdza na pewno coś w życiu wyjątkowego...**
– Zdecydowanie wiara pozostaje dla mnie czymś najcenniejszym, co mam w życiu. Oczywiście, jak się jest małym dzieckiem, to się człowiekowi wydaje, że istnieją różne rzeczy ważniejsze i fajniejsze. Mnie wiarę przekazali rodzice i uważam to za najcenniejszą rzecz, jaką od nich otrzymałem.
- **Czy uważa ksiądz, że odkrycie, czym jest wiara, przychodzi z wiekiem?**
– Można tak powiedzieć, chociaż nie każdy, niestety, chce to w sobie odkryć...
- **Kiedy ksiądz zrozumiał, że kapłaństwo, czyli powołanie, jest dla księdza?**
– Decyzję podjąłem dopiero po maturze. Tak postanowiłem: zdam maturę i wówczas zadecyduję, co chcę robić w przyszłości. Ale oczywiście wcześniej myśl o seminarium gdzieś mi po głowie krążyła...
- **A jak zareagowała rodzina? Czy najbliżsi nie próbowali księdza nakłonić do zmiany decyzji?**
– Nie, wręcz przeciwnie. Ucieszyli się, że ich syn wybrał taką drogę życia. Moja rodzina jest bardzo mocno wierząca, myślę więc, że to też pomogło im zrozumieć wybór mojej drogi życiowej.
- **Jakie emocje towarzyszyły księdzu podczas święceń kapłańskich? Nie pojawiła się myśl, że można się jeszcze wycofać?**
– Trudno to opisać słowami, po prostu trzeba to przeżyć. Seminarium trwało sześć lat i to Pan Bóg mi pomógł podjąć ową decyzję. Dzięki temu nie miałem wątpliwości, że to droga dla mnie właściwa.
- **Bycie księdzem to także wybór pewnej drogi życia w samotności, rezygnacja z założenia rodziny, z dzieci. Co otrzymuje się w zamian?**
– Brewiarz (śmiej), on zastępuje księdzu żonę. Tak naprawdę otrzymuje się jednak służbę Panu Bogu, ale też dzięki kapłaństwu można poznać wielu wspaniałych ludzi, którzy mogą człowieka ubogacić.
- **Wiem, że służy ksiądz w pogotowiu duchowym. Na czym owa służba polega?**
– Jest to dyżur 24-godzinny raz w tygodniu. Radzimy ludziom, jak wyjść z problemów. Kiedyś miałem taką sytuację, że dziewczyna chciała się zabić. Wysłała mi wiadomość na telefon komórkowy. Początkowo myślałem, że to głupi żart, ale postanowiłem odmówić jedną dziesiątkę różańca, by Maryja pomogła mi podjąć dobrą decyzję. I dziewczynę udało się uratować! ▶



wał. W szpitalu zrobiono jej płukanie żołądka, ale, niestety, uszkodziła sobie w pewnym stopniu serce. Lekarz, który zajął się dziewczyną, wyjawiał mi potem, że została przywieziona do szpitala w ostatniej chwili...

▪ **Z tego, co wiem, udziela się ksiądz dość mocno na portalach społecznościowych. Czy korzystając z internetu, można się zbliżyć do Boga?**
– Można, jak najbardziej. Jeśli będziemy dobrze szukać, to na pewno poznamy kogoś, kto pomoże nam się nawrócić czy umocnić wiarę.

▪ **Od dłuższego czasu mówi się wiele złego na temat księży. Jak ksiądz myśli, dlaczego tak bardzo społeczeństwo straciło zaufanie do tych, którzy uczą ich słowa Bożego? Bardzo często słyszymy, że część księży postąpiła źle. Czy dlatego, że w każdej rodzinie muszą być czarne owce?**

– Nie w każdej „rodzinie” muszą być czarne owce, natomiast w dużych wspólnotach, takich jak Kościół, zawsze ktoś zły się znajdzie. Jeden z księży wyliczył, że nawet jeden z dwunastu apostołów był tym, który zdradził. To jakichś około osiem procent. A zatem w Kościele jest prawie tyle procent Judaszów, którzy zdradzają... Nie możemy się jednak tym gorszyć, bo Pan Jezus też to wziął pod uwagę, a mimo to dopuścił tego złego ucznia do swego grona

▪ **Jaka jest główna przyczyna popełniania złych uczynków przez niektórych księży?**

– Szatan! Ten temat się zwykle pomija, ale teraz toczy się walka dobra ze złem. Diabeł cały czas walczy i tam, gdzie w sercu wygrywa właśnie on, to dzieje się zło, a tam gdzie Pan Bóg – dzieje się dobro. Granica dobra i zła przechodzi przez nasze serce. Jeśli szatan uwikła w grzech osobę, która ma prowadzić innych do Pana Boga, to on wie, że dzięki temu również inne osoby mogą popaść w zło i grzech.

▪ **W dobie dzisiejszej Europy, kiedy kalifat puka do drzwi, jak ksiądz myśli, czy możemy przegrać z islamem? A może już przegraliśmy?**

– Z islamem nie przegramy, bo Pan Jezus powiedział, że zakłada Kościół i bramy piekielne go nie przemogą. Ale jak to zwycięstwo ma wyglądać, pokaże czas. Niestety, te środowiska, które służą szatanowi, dążą do tego, by rozpętała się wojna religijna.

▪ **Co my, chrześcijanie, możemy w takiej sytuacji zrobić?**

– Modlić się! Żyć z Panem Jezusem w sercu. O co prosiła Matka Boża w Fatimie? O modlitwę właśnie... Modlitwą możemy dokonać rzeczy niemożliwych. To najważniejsza sprawa w życiu każdego chrześcijanina, a współcześnie jest, niestety, tak bardzo lekceważona.

▪ **Od dłuższego czasu w mediach przewija się temat aborcji. Jedni mówią, że powinna być legalna, drudzy – że to karygodne zachowanie, kiedy ktoś zabija dziecko. Co ksiądz o tym sądzi?**

– W ogóle nie powinno być dyskusji na ten temat... Nie ma znaczenia, czy ktoś uważa się za wierzącego, czy nie. Kiedy dziecko jest bezbronne i niewinne, to na jakiej podstawie można je zabić? Jeśli matka czy ktoś inny zabija swoje dziecko, to co powstrzyma nas od tego, byśmy się nawzajem pozabijali? Dla mnie jest to skandal. W XXI wieku dyskutujemy o tym, czy można zabić dziecko. W czym owo nienarodzone stworzenie pozostaje gorsze od kogoś, kto żyje? Co decyduje o tym, że można zabić dziecko, gdy jest w łonie matki, czy kiedy się urodzi i się je zabije? To tak samo morderstwo...

▪ **Wielu ludzi uważa, że w początkowych fazach ciąży można ją usunąć, bo to nie jest dziecko, lecz zwykły płód. Jaka jest opinia księdza w tej kwestii?**

– Czy z tego czegoś, co jest w łonie kobiety, wyrośnie słoń? A może foka? Nie! To będzie człowiek, więc jeśli ktoś nam wmawia, że nie wie, co to jest, to pozostaje zwykłym kłamcą i ignorantem. Życie zaczyna się od momentu poczęcia i nikt ani nic tego nie zmieni...

Rozmawiał
MATEUSZ PROCHWICZ



– Nie pieczemy ciast i nie szydełkujemy...

Rozmowa z „**BABKAMI Z NOWEJ HUTY**”, czyli Olą i Karolą

Wszystko zaczęło się od założenia fanpage’a na Facebooku. Miał być miejscem, w którym nowohucianki będą mogły wymieniać opinie na różne tematy.

Same mówią, że to miejsce, gdzie można się „podzielić tym, co boli, poszukać pocieszenia, porady, wyjść na plotki z kimś, kto teraz ma czas i chce, podpytać, gdzie dobry fryzjer lub kosmetyczka, gdzie wyjść na randkę, do jakiego sklepu udać się po ciuszki, torebki”.

Pomysł wyszedł jednak poza internet. Jesienią i zimą „Babki z Nowej Huty” spotykają się na spektaklach w Teatrze Ludowym, seansach filmowych, które nazywają „Kinem na obcasach”, lub na fitnessie. Odbywają również treningi personalne pn. „Lubię o sobie myśleć dobrze. Kocham swoje życie takie, jakie jest...”

Wiosna to dla „Babek z Nowej Huty” czas aktywności fizycznej i zrzucania zbędnych kilogramów. By do nich dołączyć, wystarczy odwiedzić stronę *babki-znowejhuty.pl*, wybrać interesujące zajęcia i wysłać zgłoszenie. „Babki z Nowej Huty” zapraszają wszystkie kobiety i kobiety bez względu na wiek...

▪ **Czy na tych zajęciach pieczenie ciasta, czy może raczej szydełkowanie?**

Ola: – Ciasta pieczemy, owszem, ale w domu, tak samo w zaciszu domowym szydełkujemy. Ale na wspólnych zajęciach nie pieczemy ciast i nie szydełkujemy. Byłoby to stratą czasu... Jesteśmy kobietami aktywnymi, które chcą się ruszać, uprawiać rozmaite sporty, spotykać ze sobą, śmiać się i dobrze bawić.

Karola: – Lepimy też w wolnym czasie pierogi... Na pewno jesteśmy najaktywniejsze w Nowej Hucie.

Ola: – Najaktywniejszymi babkami chyba w ogóle. Nie słyszałam o podobnej inicjatywie. Być może kiedyś powstaną.

▪ **Od kiedy działacie jako „Babki z Nowej Huty”?**

(zastanawiają się głośno) **Ola:** – Od marca, tak intensywnie.

Karola: – Zaczęło się od Oli.

Ola: – Zaczęło się od pomysłu w głowie stworzenia „Babek”, potem...

Karola: – ...ja zapaliłam się do tego pomysłu. Napiisałam do Oli e-maila, w którym zapytałam, czy mogę jej pomóc i że bardzo podoba mi się ten pomysł, że chcę z nią działać i coś razem robić.

Ola: – Od spotkania z Karoliną zaczęło się coś dziać. Najpierw pojawiły się konkursy, potem były pierwsze spotkania. No i miesiąc aktywności...

▪ **Miesiąc maj miesiącem aktywności?**

Karola: – Tak (śmiech). Pierwsze nasze spotkanie w klubie „Kombinator”, u Jacka, i specjalny drink dla „Babek z Nowej Huty”.

▪ **Czyli jacyś mężczyźni jednak są... A już myślałam, że spełnia się wizja z „Seksmissji” Juliusza Machulskiego.**

Ola: (śmiech) – Są panowie, pomagają nam, prowadzą zajęcia. Maciek z Tomkiem z capoeiry, a zajęcia z biegania prowadzi Bartek.

▪ **Nawet kiedy aura nie sprzyja...**

Karola: – Nie ma żadnych przeciwności.

Ola: – Dziewczyny biegają w deszczu, jak jest zimno, i w ogóle im to nie przeszkadza. Deszcz nie jest przeszkodą, by wyjść z domu. Sama na ostat-

nie zajęcia z capoeiry przyjechałam na rowerze, a lało jak z cebra. Ale co tam. Dla mnie frajdą było wyjść z domu, przejechać się, poćwiczyć z dziewczynami. To było fantastyczne.

Karola: – Jest jeszcze tenis, który też prowadzi mężczyzna, Hubert. Podbudowuje nas to, że mężczyźni chcą z nami współpracować. Nie jest tak, że nikomu się nie chce. Trzeba im pokazać, że coś się dzieje.

Ola: – I sami się angażują...

Karola: – ...i pomagają.

▪ **Czy większość „Babkowych” zajęć jest za darmo?**

Ola: – Tak, tylko jedno zajęcia są płatne, bo trzeba opłacić boisko.

Karola: – Właśnie. Warto podkreślić, że i za to nie trzeba by płacić, gdyby nie wynajem. Hubert Paszkowski prowadzi te zajęcia za darmo...

▪ **Nie lepiej by było posiedzieć sobie przed telewizorem, w ciepłym i poczytać gazetę lub pooglądać seriale?**

Karola: – Chodzi właśnie o to, by wyjść z domu, nawiązać nowe przyjaźnie. To zawsze jest czymś fajnym, jakąś aktywnością. Siedzenie przed telewizorem do niczego dobrego nie prowadzi.

Ola: – Chcemy zmotywować te kobiety, które spędzają czas przed telewizorem i wcinają popcorn. I taki mają sposób na wieczór czy cały dzień. Pokazać im, że istnieje też inna, ciekawsza forma aktywności.

▪ **Jakie są wasze plany na przyszłość?**

Karola: – Skupimy się na sobie, na naszym wnętrzu, pragnieniach, pasjach, marzeniach. Będziemy się nimi dzielić...

▪ **A konkretniej?**

Karola: – Jeszcze nie możemy nic zdradzić. Nasze dziewczyny wiedzą, że na naszym fanpage’u są wszystkie aktualności, będzie plakat. Wszystkiego się dowiedzą.

Ola: – Na przyszłość mamy dużo planów. Każda z nas otrzymuje znaczek, czyli nasze charakterystyczne logo, „Babka w maseczce z ręcznikiem na głowie”. Chcemy, by w przyszłości stał się przepustką do otrzymywania różnego rodzaju zniżek. Będziemy się też starać o to, by podczas zajęć „Babek” ktoś mógł się zająć dziećmi. By kobiety nie miały wymówki, że nie mogą wyjść z domu, bo nie mają z kim zostawić dzieci. Próbowaliśmy już kogoś znaleźć, ale na razie się nie udało...

▪ **Czyżby był pilnie poszukiwany pan niania?**

(śmiech) **Karola:** – Pan niania, pani niania, wszystko jedno kto...

Ola: – Byłoby fantastycznie, gdyby ktoś taki się zgłosił.

Karola: – Ale nie wszystko naraz. Emocje trzeba dawkować.

▪ **A może by tak utworzyć grupę „Chłopaki z Nowej Huty”?**

Ola: – Czemu nie. „Babki” i „Chłopaki z Nowej Huty” robią coś wspólnie. Bardzo chętnie...

Rozmawiał

ARIEL ZDŻYŁOWSKI

„Pod Mocnym Aniołem” JERZEGO PILCHA to powieść ponadczasowa, z lekkością traktująca o sprawach trudnych. Przedstawiony świat jest jednak chyba mało realny...

MISTRZ pierwszego akapitu

Wyróżniona literacką nagrodą Nike książka „Pod Mocnym Aniołem” Jerzego Pilcha to powieść o alkoholiku, który od dziesięciu lat nie miał w ręce kieliszka, a wcześniej pił wódkę szklankami albo bezpośrednio z butelki.

„Pod Mocnym Aniołem” jest opisem prób wyjścia z nałogu, ale bezskutecznymi.

„Nie można pijać, żyć długo i szczęśliwie. Ale jak można żyć długo i szczęśliwie bez picia?” – pyta Pilch.

Powieść próbuje odpowiedzieć na pytanie: dlaczego pijemy?

Juruś pije, bo lubi. Wszyscy piją, takim jesteśmy narodem. W objęcia alkoholu bohatera nie pchnęły bynajmniej życiowe niepowodzenia czy bieda. Jego permanentne picie ma służyć jedynie poprawianiu humoru.

Bohater zawieszony jest pomiędzy dwoma światami: sklepem monopolowym i swoim mieszkaniem a oddziałem deliryków. Szpital stanowi dla niego miejsce pełne spokoju i harmonii, a świat zewnętrzny pozostaje chaosem, w którym sen miesza się z jawą, czas nie ma żadnej wartości, a powiernicy tajemnic są literackimi widmami.

Jerzy Pilch uczynił z powieści swoistą autoterapię. Wspomina własną, sinusoidalną ścieżkę upojenia, którą kroczył wiele lat.

Główny bohater to literat z pogardą obserwujący kompleksy towarzyszy niedoli. Tworzy ich historie na papierze, a także we własnej głowie. Nadaje im imiona i rozróżnia ich na podstawie alkoholowych ekscesów. Królowa Kentu, Kolumb Odkrywca, Don Juan Ziobro to osoby mało realne, bardziej odpowiadające urojeniom pisarza pijaka.

Równie nieprawdziwa wydaje się ukochana Jurusia Ala, choć trudno wierzyć w jej prawdziwą obecność u boku alkoholika. Kobieta anioł ma być jedyną bronią w walce z wódką szatanem. Wewnętrzna przemiana mężczyzny zależy ponoć wyłącznie od ostatniej miłości jego życia Ali...

Dla wielbiela kobiecego piękna partnerki zdają się być „prywatnymi izbami wytrzeźwień”, korzysta z udzielanej przez nie pomocy, nie dając w zamian nic. Każdej obiecuje wspólne życie i zerwanie z nałogiem. Nie wierzymy jednak w te słowa pijanego bełkotu, alkoholizm jest „chorobą uczuć” (chorzy nie umieją definiować swoich emocji ani nimi sterować).

„Byłem we władaniu języka, byłem we władaniu kobiet, byłem we władaniu alkoholem” – pisze dalej Pilch.

Podróż po kolejnych kręgach pijackiego piekła opisana została językiem pełnym ozdobników, wyszukanych metafor i cynicznego humoru. Autor pięknie ubiera w słowa to, co najohydniejsze: upadek człowieka w sensie duchowym i biologicznym.

Poziom narcyzmu bohatera nie pozwala mu spojrzeć na świat z perspektywy otaczających go osób darzących go niechęcią. Podkreśla, jak bardzo różni się od innych alkoholików, chociaż podobnie ulega wszelkim możliwym słabościom. Zalewa się potokiem pięknych słów jak litrami taniej wódki...

Jerzy Pilch mistrzowsko zawiązuje akcję, by od połowy 200-stronnicowego monologu niczym już nie zaskoczyć. Czytelnika spotyka rozczarowanie zgubienia gdzieś po drodze związku przyczynowo-skutkowego. Do końca chce mieć nadzieję na przeżywanie tych samych emocji, które towarzyszyły mu przy pierwszych rozdziałach, jednak autor okazuje się wyłącznie „mistrzem pierwszego akapitu”, jak często mówi się o Pilchu.

Czytając książkę „Pod Mocnym Aniołem”, najpierw przeżyjemy przyjemny stan uniesienia, by później doznać stopniowego rozczarowania.

EWA MAJEWSKA

Jerzy Pilch, *Pod Mocnym Aniołem*
Wydawnictwo Literackie, Kraków 2003

Film „Chemia” BARTOSZA PROKOPOWICZA opowiada prawdziwą historię żony reżysera, która zmarła na nowotwór piersi



UWOLNIENIE, a potem terapia

„Chemia” to kolejny na polskim rynku film – obok takich jak „Życie nie umiera” czy „Nad życie” – poruszający temat nierównych zmagania chorego oraz jego bliskich z rakiem. Choroba ta z każdym rokiem zbiera coraz większe żniwo nie tylko wśród osób starszych, ale i coraz młodszych, a nawet dzieci, prognozy zaś na kolejne lata nie są najlepsze.

Krajowy Rejestr Nowotworów w 2010 roku zanotował ok. 52 tys. zgonów wśród mężczyzn i wśród ok. 41 tys. kobiet (na każde 100 tys. polskiej populacji przypadały 132 zgony z tego powodu). Nic więc dziwnego, że historie walki z ową podstępą chorobą stają się kanwą scenariuszu filmu czy sztuki teatralnej lub tematem książki. Jego twórcy, tak jak reżyser „Chemii”, pragną autorskim okiem spojrzeć na ludzki dramat.

Reżyser Bartosz Prokopowicz był wcześniej operatorem filmowym i autorem zdjęć do takich filmów, jak „Kochaj i tańcz”, „Komornik” czy „Przedwiośnie”. Fabuła oparta została na życiu jego żony Magdaleny, założycielki fundacji „Rak’n’roll. Wygraj życie”.

Kobiecie przyszło się zmierzyć z rakiem piersi w wieku 27 lat. Była to walka wyjątkowo trudna, o czym sama chora wielokrotnie opowiadała (m.in. w filmie dokumentalnym „Magda, miłość i rak”). Walczyła dla syna Leona, którego urodziła pomimo zagrożenia, jakie dla jej zdrowia i życia niosły ze sobą chemioterapia i ciąża.

Zmarła po ośmiu latach od rozpoczęcia leczenia, ale pozostawiła po sobie ślad w postaci wspomnianej wyżej fundacji (powstałej w 2009 roku z jej inicjatywy). Jej celem do dziś – jak podkreślają członkowie – jest tworzenie nowej jakości w sposobie mówienia o raku w przestrzeni publicznej, przełamywanie tabu związanego z podejściem do tej choroby w Polsce i zarażanie ludzi pozytywną energią.

I właśnie o zawiętości w walce z rakiem, radości macierzyństwa, ale przede wszystkim o ogromnej miłości opowiada film „Chemia”.

Odtwórcy głównych ról Agnieszka Żulewska i Tomasz Schuchardt to aktorzy młodego pokolenia. Wcielając się w rolę cierpiącej na raka piersi Leny Żulewską znamy z takich produkcji, jak „Hardkor Disco” czy „Demon”, a jej filmowy partner grający Benka to por. Franciszek „Kobra” z „Miasta 44” oraz Eugeniusz Bodo z nowego serialu TVP1 „Bodo”.

Bohaterów poznajemy w momencie, gdy rezygnują z pracy (Lena z zatrudnienia w dużej korporacji, Benek porzuca fotografię). Spotykają się przypadkiem i od tego momentu w ich życiu zaczyna się nowy rozdział, pełen namiętnych uniesień i szaleństw.

Zachwycenie się życiem sprowadza ich w pewnym momencie na ziemię – Lena wyznaje partnerowi, że ma raka obu piersi i nie zamierza się leczyć. Jej decyzja zmienia się, gdy na teście ciążowym pojawiają się dwie kreski. Od tego momentu nic w życiu bohaterów nie będzie takie samo...

Czy mogą liczyć na cud? Nie w tym wypadku... Magdalena Prokopowicz po długiej walce z chorobą umiera, ale warto zobaczyć jakby przez uchylone drzwi, jak wyglądała jej walka o życie, by uzmysłowić sobie, że dzięki miłości można zdziałać wiele.

Reżyser włączył do „Chemii” fragmenty scen dokumentalnych, których zadaniem było w sposób obrazowy pokazać rozwój nowotworu w ciele Leny – początkowo w obu piersiach, a potem także wtedy, gdy nie ma już nadziei, w innych częściach jej ciała. W ten sam sposób przedstawiony został zabieg mastektomii (podobny wykorzystano już wcześniej w „Sali samobójców” Jana Komasy, chodziło jednak o coś innego...).

Film dotyczy jeszcze innej kwestii: Jak czuć się kobietą i podobać mężczyznom bez piersi?

Lena początkowo nie chce się poddać zabiegowi mastektomii, gdyż boi się, że mąż przestanie ją kochać i pożądać i stanie się dla niego nic niewartym człowiekiem. Benek uświadamia jej jednak, że brak piersi nie sprawi, iż przestanie ją kochać i być dla niego atrakcyjną kobietą. To świetny przykład pokazania kobietom, że o ich wartości nie decydują duży biust czy zgrabne pośladki...

Szkoda, że Bartosz Prokopowicz skupiając się w „Chemii” przede wszystkim na ukazaniu choroby, nieco po macoszemu pokazał pierwszy rozdział z życia bohaterów – rodzenie się między nimi uczucia.

Lena i Benek są ekscentryczni, wybuchowi, mają specyficzne poczucie humoru, co może widza irytować, gdyż trudno się utożsamić z kimś, kto tańczy na wieczorze dla emerytów w różowej spódniczce primabaleriny jak lalka robot. Są jednak i dobre strony takiego przedstawienia bohaterów. Ich pełne szaleństwa posunięcia zaprowadzają ich na Hel, dzięki czemu możemy podziwiać wspaniałe morskie krajobrazy.



Film „Zjawa” ALEJANDRA GONZÁLEZA IÑÁRRITU
ukazuje uczucia, które drzemią głęboko w każdym
z nas. Strzeżcie się tego ukrytego demona, którego
nic nie jest w stanie zatrzymać.
On musi wypełnić swoje zadanie...

ŻYCIE PEŁNE ŚMIERCI, zemsta przepiętna miłością

Dwanaście nominacji do Oscara, wspaniała obsada aktorska, doskonała produkcja i reżyseria. Ogólnokrajowa premiera filmu „Zjawa” („The Revenant”) w reżyserii Alejandra Gonzáleza Iñárritu odbyła się w USA i w Kanadzie 8 stycznia 2016 roku, a w Polsce 29 stycznia. Prapremiery miały miejsce już w grudniu 2015 roku.

Film został oparty na powieści Michaela Punkego pod tym samym tytułem, opisującej rzeczywiste wydarzenia, historię trapera, który na przełomie XVIII i XIX w. przemierzał dzisiejsze tereny Dakoty Południowej. Muzyka autorstwa Ryuichiego Sakamoto, japońskiego klasyka elektroniki, doskonale oddaje fabułę filmu, a zdjęcia Emmanuela Lubezkiego, wykonane w mistrzowski sposób, pokazują ogrom pracy i poświęcenia aktorów, oddają piękno krajobrazów, dzikiej puszczy, niebezpiecznych wodospadów.

Głównym bohaterem historii jest Hugh Glass (w tej roli znakomity Leonardo DiCaprio), który pracuje z traperami i myśliwymi polującymi na zwierzęta w celu zdobycia cennych skór oraz futer (jest rok 1823). Glass ma syna „o czerwonej twarzy”, Indianina, którym sam się zajmuje, ponieważ jego matka zmarła.

Ów fakt nie podoba się kilku towarzyszom wyprawy, ze względu na to, że na terenach polowania władzę mają Indianie Arikarowie.

Pewnego dnia „Czerwonoskóry” atakują myśliwych, wielu zostaje rannych i zabitych, reszta ucieka, spływając łodzią w górę rzeki. Od tego momentu rozpoczyna się prawdziwa walka o życie. Wszyscy uczestnicy wyprawy przemierzają las z wielką uwagą, zmysły są wyostrzone do granic możliwości. Muszą się poruszać inną, bardziej niebezpieczną drogą.

Przełomowym wydarzeniem, które zdominowało dalszą fabułę i zmieniło losy bohaterów, jest walka Glassa z niedźwiedziem grizzly. Od tej chwili Hugh staje się ciężarem dla kompani, a nienawidzący go za przywiązanie do Indian John Fitzgerald (doskonała kreacja Toma Hardy’ego) wykorzystuje sytuację, aby zabić jego syna, a samego Glassa, świadomego, u kresu sił, przysypuje ziemią, informując kompanów, że dostał należyty pochówek i mogą się udać w dalszą drogę.

Hugh postanawia pomścić syna, rozpoczyna zemstę, walkę z własnymi słabościami, z trudnymi warunkami panującymi w lesie pełnym zasp śniegu. Droga wiodąca przez mroźną krainę staje się dla niego drogą po zadośćuczynienie.

Nie ukrywam, że oglądając film, czekałam właśnie na scenę walki z niedźwiedziem. W dzisiejszej dobie komputerowego kina niewiele może zaskoczyć odbiorców, a jednak... udało się! Nie jestem w stanie opisać tego fragmentu, trzeba to po prostu zobaczyć.

To samo mogę powiedzieć o konnej ucieczce głównego bohatera przed Indianami i skoku w przepaść. Widać tu kawał dobrej roboty, widzowie z pewnością zadają sobie pytanie: „Jak to jest możliwe?!“ (autentyczne, dopracowane ruchy, ogrom wysiłku i pracy..., chylę czoła przed całą produkcją).

► Czy warto zobaczyć film „Chemia”? Warto. Często nie zdajemy sobie sprawy z tego, że nie jesteśmy nieśmiertelni, zapominamy o sobie, ale też o naszych bliskich, koncentrując się na rzeczach przyziemnych, pozbawionych wartości.

Ów film przewartościuje nasze życie na nowo, a po zakończeniu seansu inaczej spojrzymy na siedzącego obok męża, którego nie doceniamy za codzienny trud czy opiekę nad dziećmi.

– Nie wiemy, co nas może spotkać. Chcesz rozśmieszyć Pana Boga, to powiedz mu o swych planach. Oczywiście, plany i marzenia należy mieć, ale życie i tak ułoży się po swojemu. Ale trzeba oczekiwać dobrego, bo jeśli oczekujesz złego, to zło przyjdzie. Ciesz się na to, co ma być (z wywiadu Bartosza Prokopowicza udzielonego Agnieszce Swobodzie dla portalu gazeta.pl).

Jeśli chodzi o obsadę aktorską, to poza głównymi bohaterami warto zwrócić uwagę na Eryka Lubosa wcielającego się w księdza, przyjaciela Benka, u którego często znajduje on dobrą radę i słowa pocieszenia (szerszej publiczności Lubos znany jest z roli „Pluskwy”

„Zjawa” jest swego rodzaju arcydziełem pod względem technicznym, dopracowania szczegółów w każdej scenie. Na pewno ogromną rolę odegrali znakomici aktorzy wcielający się w bohaterów filmowych. Sam Leonardo DiCaprio, który zasłużenie otrzymał za postać Hugh Glassa Oscara w kategorii: najlepszy aktor, przyznał, iż owa rola była dla niego zupełnie nowym wyzwaniem:

– Film porusza dwa ważne dla mnie wątki: wolę przetrwania i kontakt człowieka z naturą. Zazwyczaj wcielam się w elokwentnych bohaterów, którzy mają dużo do powiedzenia. Tym razem mogłem zagrać kogoś, kto używa niewielu słów, za to wyraża siebie w inny sposób. Polegałem na intuicji i reagowałem na to, co dawała otaczająca mnie przyroda. Chodziło o zajrzenie w głąb siebie i wydobywanie pierwotnych emocji oraz rozbudzenie instynktu przetrwania.

Warto zaznaczyć, że film przedstawia człowieka od innej strony niż podobne dzieła z tego gatunku, choćby Quentina Tarantino. Nie zobaczymy bezzasadnej przemocy i brutalnych scen. „Zjawa” przemawia do widza poprzez obraz trapera, który pogłębia swoją więź z naturą, staje się jej elementem, próbuje przetrwać wśród dzikich zwierząt i tak jak one walczyć o pożywienie.

Film skłania do refleksji nad życiem ludzkim, nad uczuciami, które przyćmiewają wszystko inne. Miłość i zemsta okazały się silniejsze od Glassa, chociaż zachował zdrowy rozsądek, bo za wszelką cenę pragnął pomścić ukochanego syna, odszukać Fitzgeralda i wypełnić swoje zadanie.

W zjednoczeniu z bohaterem, w odczuwaniu jego emocji bez wątpienia pomaga sposób nagrywania całego filmu (zbliżenia na twarz, patrzenie okiem kamery, okiem bohatera). To wszystko wywołuje wzruszenie nad losem Hugh, zastanowienie, jak my byśmy się odnaleźli w podobnej sytuacji, czy wykrzesalibyśmy tyle siły, bylibyśmy aż tak zdeterminowani.

Należy jeszcze wspomnieć o odbiorze filmu w wielu krajach, o pozytywnych recenzjach, pochwałach zarówno dla aktorów, jak i reżysera i scenarzystów. Film zdobył trzy Złote Globy, pięć nagród BAFTA, a podczas 88. ceremonii wręczenia Oscarów Iñárritu, DiCaprio i Lubezki otrzymali statuetki odpowiednio za najlepszą reżyserię, najlepszą grę aktorską i najlepsze zdjęcia. DiCaprio zdobył także Złoty Glob dla najlepszego aktora, nagrodę Gildii Aktorów Filmowych za wybitną rolę męską, nagrodę Critics’ Choice oraz nagrodę BAFTA dla najlepszego aktora pierwszoplanowego.

Po obejrzeniu kinowej wersji przeczytałam książkę i to w bardzo krótkim czasie. Fabuła nie różni się w znaczący sposób od tej przedstawionej na ekranie (opisy autentyczne). To poruszający dramat pełen heroicznej walki i chęci wymierzenia kary. Podobna mi się również układ powieści; poszczególne rozdziały poprzedzone zostały dokładną datą dzienną, dzięki temu czytelnik może przeżywać wydarzenia wraz z bohaterem.

„Zjawa” to porywająca opowieść, którą każdy może interpretować na swój sposób. Ale jedno jest pewne: nikogo nie pozostawi obojętnym. Warto przeczytać książkę i wybrać się do kina, gdyż duży ekran dostarcza dodatkowych emocji.

JOANNA RAKOCZY

„Zjawa” („The Revenant”)

Produkcja: USA 2015

Gatunek: dramat, przygodowy, western

Reżyseria: Alejandro González Iñárritu. Scenariusz: Alejandro González Iñárritu i Mark L. Smith. Muzyka: Ryuichi Sakamoto

Występują: Leonardo DiCaprio (jako Hugh Glass), Tom Hardy (jako John Fitzgerald), Domhnall Gleeson (jako Andrew Henry), Will Poulter (jako Jim Bridger), Duane Howard (jako Rik Dog, wódz Arikarów), Forrest Goodluck (jako Hawk, syn Glassa), Paul Anderson (jako Anderson), Arthur Redcloud (jako Hikuc), Grace Dove (jako Zona Hugh Glassa), Brendan Pletcher (jako Fryman), Kristoffer Joner (jako Murphy) i inni.

Czas trwania filmu: 2 godziny 36 minut

w serialu „Ojciec Mateusz”). Bardzo dobrze wypadła też Danuta Stenka jako Doktor Sowa, jedyna lekarka, która daje Lenie nadzieję na donoszenie ciąży przy chemioterapii.

Niezwykle istotną rolę odgrywa w „Chemii” muzyka (umieszczone w odpowiednich momentach filmu utwory wzruszają, spełniając nadrzędną rolę przypisaną im przez wykonawców). W filmie usłyszymy największy przebój irlandzkiego piosenkarza Hoziera *Take Me to Church*, piosenką *Differences* polskiej grupy „Afromental” oraz utwór *Bezwładnie* formacji „Mikromusic feat. Skubas”.

IZABELA RZEPECKA

„Chemia”, dramat obyczajowy prod. polskiej (premiera polska i światowa 2015 r.)

Reżyseria: Bartosz Prokopowicz. Scenariusz: Katarzyna Sarnowska

Wystąpili: Agnieszka Żulewska (Lena), Tomasz Schuchardt (Benek), Eryk Lubos (ksiądz Panda), Danuta Stenka (Doktor Sowa), Anita Jancja (Grażniew), Robert Wabich (Doktor X)

Czas trwania: 105 minut

Czy naród polski pragnie cierpień i umartwień, a czeski humor jest w stanie zastąpić wolność wyznania? Czy umiemy spojrzeć na polsko-czeskie relacje oraz różnice między naszymi krajami, unikając stereotypów?

PRAWDY I MITY o czeskim raju

MARIUSZ SZCZYGIEL zaistniał w powszechnej świadomości Polaków w momencie pojawienia się – w charakterze kolejnego prowadzącego – w jednym z pierwszych emitowanych przez naszą telewizję programów typu talk-show („Na każdy temat”). Program budził wtedy w polskich widzach mieszane uczucia. Doczekał się nawet komentarza muzycznego – Andrzej Sikorowski napisał o nim piosenkę, której fragment brzmi:

[...] a w telewizji jakiś młodziak /nie wiedzą diabli, skąd się wziął,
w zasadzie nic mu nie wychodzi, /za to co chwilę krzyczy: wow!

[...] /wow! talk show, /ktoś przed kamerą spodnie zdjął, /nie wstydy żadnej się
rozmowy /i jest niezwykle kontaktowy, /wow! talk show.

Stosunkowo niewiele osób wiedziało wtedy, że ów „młodziak” z piosenki ma już na koncie reportaże poruszające, omijają wcześniej w polskiej prasie, tematykę seksu, lesbijek oraz gejów („Na Przelaj”, „Gazeta Wyborcza”), a krytykujący jego program telewizyjnie zapewne nawet się nie domyślali, że za kilka lat Mariusz Szczygiał zostanie jednym z najpopularniejszych polskich dziennikarzy prasowych i uznanym autorem książek o Czechach.

Tymczasem po ogromnym międzynarodowym sukcesie wydanej w 2006 roku książki pt. *Gottland* (nagradzanej i tłumaczonej na kilkanaście języków) autor postanowił poświęcić swoim czeskim fascynacjom dwie kolejne pozycje: *Zrób sobie raj* (2010) i *Láska nebeská* (2012).

Zachęcona *Gottlandem*, kupiłam następną książkę z czeskiej serii, kiedy tylko pojawiła się na półkach mojej ulubionej księgarni. Niewątpliwą jej zaletą jest język autora: piękna, jak zwykle, poprawna polszczyzna, podana w lekkiej formie, przystępnej dla każdego czytelnika bez względu na wiek i wykształcenie.

Mariusz Szczygiał nie boi się użycia w swoich tekstach kolokwializmów, nie „uszywnia” niepotrzebnie wypowiedzi swoich rozmówców. W jego książkach nie ma nawet śladu nieznośnej manieri spotykanej często u młodych, niedoświadczonych literatów, którzy wierzą, że im bardziej zagmatwane każde zdanie, im bardziej „naukowo” brzmiące słowami będą się posługiwać, tym bardziej wydadzą się czytelnikowi inteligentni.

Przeciwnie – Szczygiał posługuje się językiem zrozumiałym dla przeciętnego Polaka, prostym językiem tworzącym iluzję bliskości między autorem a czytelnikiem i sprawiającym, że zapisane na kartach książki opowieści kojarzą się z historyjkami opowiadanymi sobie przy kawie czy piwie w gronie dobrych znajomych.

„*Zrób sobie raj*” warto jednak przeczytać nie tylko ze względu na walory językowe. W tej książce każdy z czytelników na pewno znajdzie coś, co go zainteresuje: bardzo młodzi ludzie poznają historię „polskiej okupacji” w Czechach widzianą oczami naszych południowych sąsiadów (i być może choć w pewnej mierze rozumieją motywy trwającej przez wiele lat wzajemnej niechęci obu narodów), polscy katolicy dowiedzą się, co łączy dwóch znanych pisarzy z praskim Jezulátkiem (Jezuskiem), poznają też m.in. historię ukrywającego się i prześladowanego czeskiego Kościoła, przyczyny wrogości Czechów wobec wyznawców katolicyzmu, a także realia życia „bez Boga”. Ateiści otrzymają zestaw przytaczanych w sondażu argumentów potwierdzających wyższość „czeskiej” niewiary nad „polską” wiarą. Wielbicieli kultury zapoznają się z sylwetkami znanych pisarzy, poetów i artystów czeskich. Miłośnicy zwierząt znajdą anegdotkę o kocie geju. Itd.

Autorowi należy też przyznać, że – mimo zamieszczonej we wstępie zapowiedzi, iż książka za założenia jest subiektywna – stara się prezentować różne, czasem skrajne, poglądy Czechów na omawiane tematy i choć czasami naród czeski idealizuje, próbuje też pokazać nam minusy jego tradycji czy kultury.

Niestety, wieloletnie doświadczenie dziennikarskie nie uchroniło Mariusza Szczygła przed powielaniem w swojej książce narodowych stereotypów. Gorzej – ta książka opiera się na stereotypach. Ciekawostką jest natomiast fakt, że propaguje te spośród nich, które są korzystne dla sąsiadów i niekorzystne dla rodaków autora. Przeciwnie stawia więc na przykład czeski humor polskiemu męczennictwu, wyzwolony czeski ateizm zacofanemu polskiemu katolicyzmowi, a nowoczesne podejście Czechów do własnej ojczyzny niemodnemu polskiemu patriotyzmowi. Argumentacja mająca przekonać czytelników o wyższości postaw typowo czeskich nad typowo polskimi pozostawia jednak wiele do życzenia.

W książce znajdują się np. zwierzenia „wyzwolonych” Czechów, którzy panicznie boją się przyznać, że są osobami wierzącymi – ukrywają to nawet przed współpracownikami, przyjaciółmi, partnerami życiowymi oraz... rodzicami. Czy na tle tych wyznań

Mariusz Szczygiał *Zrób sobie raj*
Kategoria: literatura faktu
Wydawca: Wydawnictwo Czarne
Data wydania: 20 października 2010 r.
ISBN: 978-83-7536-223-7
Liczba stron: 292



Mariusz Szczygiał
Zrób sobie raj

„zacofana, katolicka” Polska, w której ludzie otwarcie przyznają się, nawet całkiem obcym osobom, do swojego chrześcijaństwa, ateizmu, buddyzmu itd., nie wypada jednak – wbrew wyraźnym intencjom autora – korzystniej?

Tendencyjny wydaje się również dobór prezentowanych przykładów, mających ilustrować zdrowy czeski stosunek do religii – również w Polsce spotykamy przecież autorów i artystów, którzy starają się zaistnieć w mediach dzięki skandalom i wszelkiego typu „obrazoburczym” poglądom lub działaniom, zwłaszcza w dziedzinie religii i seksu, ponieważ nadal są to te obszary ludzkiego życia, gdzie istnieją jeszcze rozmaite formy „tabu” i „sacrum”. Nie zyskują oni jednak, przynajmniej na razie, absolutnego poparcia i ogólnonarodowej aprobaty.

Niekoniecznie dlatego że, zgodnie z rozpowszechnionym w Czechach, a mam chwilami wrażenie, iż podzielanym również przez Mariusza Szczygła, stereotypem jesteśmy narodem tępych, zapyziałych katolików, ale również – a może przede wszystkim – dlatego, że polscy intelektualści (naukowcy, literaci, dziennikarze, elity artystyczne) tak często i konsekwentnie podkreślali rolę współistnienia kultur w naszej tradycji, poszanowania cudzej odrębności oraz swoją dumę z polskiej tolerancji, że ukształtowała się u nas pewna społecznie akceptowana norma, w której co prawda z powodzeniem mieszczą się np. pikantne żarty o księżach, mużulmanach czy Żydach, ale drwiny z przedmiotu kultu któregośkolwiek z wyznań lub symboliki religijnej już nie.

Dyskusyjna wydaje się też stawiana przez Mariusza Szczygła teza, że Czesi podchodzą do życia i historii z dystansem i humorem, podczas gdy Polacy ponad wszystko uwielbiają się umartwiać. Taki obraz rodaków sam zresztą chętnie upowszechnia w Europie, opowiadając tam: *nasz naród do życia nie potrzebuje na przykład autostrad i dlatego prawie ich nie mamy. Nasz naród do życia potrzebuje nieszczęścia. Dopiero kiedy pojawia się nieszczęście [...] – jesteśmy kimś. Krzywda nas wywyższa ponad inne narody. Polska kultura jest kulturą nekrofilską. [...] A ponieważ wiemy, że świat nie docenia naszego cierpienia, pokażemy: w celebrowaniu śmierci i tragedii jesteśmy mistrzami świata! [...] Aż świat wreszcie przyzna: oni cierpieli najbardziej. Bardziej niż Żydzi. Już zresztą się słyszy: „Nikt tak nie umie cierpieć, jak my”.*

Przyznam, że dziwnie się poczułam po wrzuceniu mnie, samodzielnie myślącej – jak mi się dotąd zdawało – jednostki do ogólnonarodowego martyrologiczno-nekrofilskiego worka przez polskiego dziennikarza.

Najbardziej zdumiewające jest jednak to, że czytając *Zrób sobie raj*, można odnieść wrażenie, iż zdaniem autora naród polski nie dorasta do poziomu czeskiego humoru. Może nie dziwiłoby mnie to tak bardzo, gdyby nie zaprezentowane przez autora przykłady tej, jakże przez niego cenionej, czeskiej *połody*, bo po pierwsze z podobnym rodzajem humoru możemy się spotkać i u nas, np. przeglądając facebookowe memy, a po drugie nie uważam, że o polskim narodzie źle świadczy akurat to, iż nie bawi go np. komiks, na kartach którego *Karel Gott spółkuje z Pszczółką Mają* lub że nie docenia należyście subtelności i „antyradzieckiej” wymowy „fekalistycznych” dzieł Zbyńka Fišera, a rzeźba przedstawiająca półnagie ciało Husajna ze skrępowanymi na plecach rękoma zanurzone w akwariu (a więc związane i utopione!) budzi w nim raczej niesmak niż wesołość.

Podobnie przedstawia się kwestia patriotyzmu, który zdaniem autora wychodzi już z mody. Polskim „grobow” (czyli np. zbiorowej pamięci o powstaniu warszawskim) autor przeciwstawia radosne czeskie rzeźby: fontannę ze zbiornikiem w kształcie Republiki Czeskiej, do której sikają dwie nagie męskie postacie (i która powstała na cześć wejścia kraju do UE), a także dwie półnagie postaci umieszczone wysoko na fasadzie budynku i przedstawiające *olbrzymie nogi i wypięty tyłek [...] Obie rzeźby są po to, żeby zająrzeć im w otwory odbytowe. A dokładniej – włożyć tam głowę* (w celu obejrzenia filmu wyśmiewającego ówczesnego prezydenta kraju).

Na szczęście Mariusz Szczygiał, choć sam deklaruje, że *patriotyzmy są skazane na zanik i że już rozpoczyna się proces korzystania z państw jak z towarów*, a także że [...] *chciałby wybrać Czechy*, tym razem nie podejmuje za nas decyzji i pozostawia nam prawo do własnych wyborów.

Książka *Zrób sobie raj* prezentuje też polskiemu czytelnikowi opowieści o legendach czeskiej bohemy artystycznej – możemy się z niej dowiedzieć m.in., z kim sypiał Egon Bondy, a z kim jego partnerka, kto zajmował się poszukiwaniem prostytutek dla Jana Saudka, co czescy czytelnicy wiedzą o inicjacji seksualnej Haliny Pawłowskiej i jaki jest pogląd Davida Černego na sikanie...

Wszystko to opisane jest w sposób barwny, zajmujący (lekkości pióra naprawdę można Mariuszowi Szczygłowi pozazdrościć!) i w *pohodzie* (czyli według czeskich standardów: pogodnie, optymistycznie).

A jednak podczas czytania uparcie powracała do mnie, dawno już zapomniana, piosenka Grupy Pod Budą. Na pytanie, czy to skojarzenie z tekstem Andrzeja Sikorowskiego jest uzasadnione, każdy z czytelników może odpowiedzieć sobie sam. Zachęcam, bo *Zrób sobie raj* to pomimo wszystko bardzo interesująca książka, którą czyta się jednym tchem.

MAŁGORZATA MICHERDA

Książka „Jolanta” Sylwii Chutnik pozostaje niezbyt udaną próbą zwrócenia uwagi na poważne problemy dzisiejszego świata...

Świat widziany oczami KOBIECY SKRZYWDZONEJ

Sylvia Chutnik w swojej, niedługiej zresztą, twórczości wielokrotnie porusza ważne dla Polaków kwestie: religijność i antysemityzm, wciąż dręczące nasz naród traumy wojenne, a także równouprawnienie kobiet. Dla autorki jako aktywnej feministki jest to temat szczególnie ważny. Zajął się nim m.in. w swoim nagrodzonym Paszportem „Polityki”, debiucie pod tytułem „Kieszonkowy atlas kobiet”.

W powieści Chutnik wydanej przed rokiem tytułową i główną bohaterką jest Jolanta, porzucona przez ojca w dzieciństwie, osierocona przez matkę, niekochana przez brata, bez perspektyw dalszego rozwoju czy nawet szans na spokojne egzystowanie. Nękana depresją Jolanta doznała tak wiele zła, że wypełnia ono jej umysł i sprawia, że mimo starań nie potrafi pozwolić ani samej sobie, ani nikomu innemu uczynić jej życia lepszym. „Nie mówić, nie ufać, nie odczuwać” – oto credo życiowe bohaterki.

Jej życiorys kształtują kolejne traumy, np. odejście ojca. Właściwie nie uczestniczy on w głównej akcji utworu, pojawia się jedynie kilkakrotnie, głównie w retrospekcjach oraz w wyobraźni dziewczyny. Przed rozводом postrzegany przez małą dziewczynkę niemal jako superbohater, jest elementem scalającym rodzinę. Świat Joli dzieli się niejako na epokę sprzed odejścia ojca i po odejściu. Bohaterka mówi:

„(...) dwóch ojców miałam. Jednego z czasów, kiedy byłam mała, a drugiego późniejszego. Oni się chyba nigdy nie poznali. Czasami chciałam ich sobie przedstawić, ale ciągle zapomniałam ich imion”.

Pomimo mijających lat córka nie potrafi wybaczyć ojcu, zapomnieć tego, jak skrzywdził rodzinę. Brakuje jej miłości ojca, przez co nie może zaakceptować samej siebie. A przecież, jak tłumaczy młodzikiem jeszcze Joli ciocia, ojciec „po prostu chciał od życia czegoś, co by mógł sobie wkleić do albumu z napisem »Przygoda«. On miał do tego prawo. Prawo ludzkie”.

Jolanta zastanawia się wtedy, kierując się zresztą zasadami logiki, nad prawami swojej matki. Kobieta bowiem po odejściu męża staje się sgorzkniała, nerwowa, pogarsza się jej stan psychiczny, nadszarpnięty już wypadkiem samochodowym, w wyniku którego wycięto jej macicę. Pograża się w nałogu alkoholowym, nie jest w stanie poradzić sobie z życiem, należycie zaopiekować się dziećmi; wreszcie umiera: opuszczona, zła, nieszczęśliwa.

Kolejnym traumatycznym przeżyciem dla Jolanty staje się gwałt na niej. Zostaje skrzywdzona przez sąsiada, pana Waldka. Z początku nie chce nikomu o tym mówić („Nie mówić, nie ufać, nie odczuwać”), kiedy jednak decyduje się wyznaczyć swoje lęki, nikt jej nie wierzy.

Wydarzenie to wpływa na późniejsze życie młodej kobiety – boi się bliskości, a kiedy stara się przełamać bariery i opory, spotykając się ze swoim przyszłym mężem, Andrzejem, traci nad sobą kontrolę i zachodzi w ciążę.

We wcześnie zawartym małżeństwie również nie jest szczęśliwa. Mimo że Andrzej kocha młodą żonę oraz że rodzi im się córka Jadzia, Jolanta jest przekonana, że mąż opuści ją tak samo, jak uczynił to ojciec i brat, Piotrek, który zaraz po osiągnięciu przez siostrę pełnoletności ucieka za granicę. Co więcej, Andrzejem, który dzięki wyjazdowi do Niemiec zaczyna zarabiać coraz więcej pieniędzy, zaczyna się interesować mafia.

Jolanta nie jest w stanie poradzić sobie ze wszystkim, co spotkało ją w życiu, kilkakrotnie skłania się ku popełnieniu samobójstwa, za każdym razem wycofuje się. W końcu, w napadzie depresji, prawie obłąkana, postanawia się udać nad morze, uciec. Jej towarzyszem i opiekunem zostaje pluszowy piesek, Pankracy.

Historia kończy się pobytem w szpitalu odnalezionej w lesie Jolanty, do której łóżka przychodzą mąż i ojciec.

Co ciekawe, wszystkie najważniejsze postacie w życiu Joli mają szansę wypowiedzenia się, przedstawienia świata widzianego ich oczyma. Każda z nich pisze (bądź mówi? – wskazywałby na to potoczny styl wypowiedzi) „opowieść”. Natrafiamy zatem na „Opowieść matki Jolanty, kobiety wypatroszonej”, „Opowieść ojca Jolanty, mężczyzny nieszczęśliwego” oraz „Opowieść męża Jolanty, człowieka pracowitego”. Każda z tych wypowiedzi staje się obroną, zaprezentowaniem własnego stanowiska czy przyczyn swojego zachowania.

Sylvia Chutnik stara się przemycić do powieści tyle tajemnic, ile może. Pojawia się na przykład w „Jolancie” postać dziwnego dozorca, który zjawia się we wszystkich przełomowych momentach powieści, a którego główna bohaterka irracjonalnie podejrzewa o kanibalizm. Wypowiada on zaledwie jedno pytanie: „A ty nie boisz się tak tu żyć?”, kierując je najpierw do Jolanty, a potem do jej męża.

Mówiąc „tu”, może mieć na myśli zarówno świat, jak i blokowisko, w którym mieszka małżeństwo, a także Żerań w Warszawie.

Warto zaznaczyć, że stolica odgrywa w powieści ogromną i jednocześnie negatywną rolę. To tu działa mafia, tutaj znajdują się tajemnicze trupy na podwórkach (wyglądające zresztą jak wspomniany już dozorca), budynki są zniszczone i ponure.

Inaczej ma się sytuacja na wsi, gdzie mieszka rodzina Andrzeja:

„Bo wieś sielska, wieś sielska nie ma żadnych problemów. Nigdy. Chleb w piecu, kurak bez pierza i wydojona krowa. Na płocie powieszzone garnki, a na ramionach chusta gospodyni zamiatająca problemy tego świata. Oj, dana dana. Mazurskie opowieści, legendy, przemilczane wojenne historie”.

Czyżby więc odzywała się u Chutnik stara filozofia Jeana-Jacques’a Rousseau? A może jest to jedynie jej parodia?

Co ciekawe, w „Jolancie” niezwykle ważne są przedmioty – klucze, np. duralex (jeszcze przed odejściem ojca podawano w nim w domu Jolanty zupę pomidorową), będący symbolem nieosiągalnego już szczęścia, czy zielone szkiełko, pozostałości rozbitej butelki – być może symbol samobójstwa.

Choć głównym tematem powieści pozostaje oczywiście życie nieszczęśliwej kobiety, należy także zwrócić uwagę na tło akcji, przede wszystkim zaś na jej czas. Są to lata przełomu 1989, kiedy w społeczeństwie panuje jednocześnie aura niepokoju, nadziei i wyczekiwania na lepszy świat. Niektórzy z mieszkańców Żerania z lękiem czekają na kolejną wojnę, niektórzy wręcz przeciwnie – z odwagą i uśmiechem patrzą w przyszłość. Także Jolanta próbuje się pocieszać:

„Przedzień w tych wspaniałych zapowiadających się czasach miało być wreszcie świetnie. Przed porodem wybrała się na bazar i oczom nie wierzyła, tyle produktów można tam było znaleźć. Ludzie zaczęli głębiej oddychać, głośniejsze mówić. Zaczęły się marzenia o lepszym życiu”.

Z pewnością nie można zaprzeczyć, że Sylvia Chutnik postawiła sobie ambitne zadanie ukazania egzystencji człowieka znajdującego się w depresji, nieradzącego sobie z własną przeszłością, z własnymi emocjami, wreszcie zmęczonego życiem i myślącego o popełnieniu samobójstwa. Chciała także zaprezentować świat widziany oczami kobiety skrzywdzonej, cierpiącej, jaką była nie tylko Jolanta, ale także jej matka.

Po przeczytaniu książki Chutnik pierwszym moim skojarzeniem była powieść tendencyjna Elizy Orzeszkowej pod tytułem „Marta”. Również w niej mamy do czynienia z problemami kobiet, z groźnym dla nich światem. Tylko że powieść Orzeszkowej pisana jest ręką mistrzyni, czego zdecydowanie nie można powiedzieć o „Jolancie”.

Czytając dzieło Chutnik, odnosi się wrażenie przebywania w świecie zlepionym z narracji... Doroty Masłowskiej i Wiesława Myśliwskiego, którzy niewątpliwie mogli być dla autorki inspiracją. Przeważa tu wpływ ironicznego, parodystycznego stylu groteskowego świata autorki „Wojny polsko-ruskiej” z poezyjnymi, kreowanymi na głęboko przemyślane, wtrąceniami rodem z „Traktatu o łuskaniu fasoli”.

Powieść Sylwii Chutnik wydaje się, niestety, niezbyt udaną próbą zwrócenia uwagi na poważne problemy dzisiejszego świata.

MONIKA SZYMANEK

Sylvia Chutnik, *Jolanta*
Rok wydania: 2105
Wydawnictwo: Znak literanova
Liczba stron: 288

Druga powieść laureatki nagrody literackiej Nike Doroty Masłowskiej „Paw królowej” i tym razem wywołuje kontrowersyjne opinie...

TO NIE JEST BEZTROSKA OPOWIEŚĆ o Polsce i miłości

„Hej, ludzie, pora się zbudzić, posłuchajcie tej historii o tym, jak był pożar w bucie, posłuchajcie o brzydkiej dziewczynie, która miała ciało psa i twarz świni, oczy kaprawę, a każde z innego zestawu, usta pełne zębów, a każdy z innego uśmiechu, żyłę ma na czole i asymetrię szpar powiekowych i uchoń nas, Boże, nikt takiej brzydkiej nie chciał ani znać, ani żaden chłopak nie chciał jej dymać, bo patrząc na taką twarz, zaraz zły każdemu wydawał się świat, a Bóg katolicki USA pastorem, 020.10 Totalizatorem Sportowym, ślepym żonglerem, rokendrolowym hochsztaplerem, hipnotyzerem z Manga Gdynia, co przedstawia ci taką dziewczynę, której najpierw podłożył świnię, z Tysiąclecia Stadionu żółtym cwaniakiem, co sprzedaje ci hrabinę brzydalinę jako super-ekstratwojnowąsuperłaskę”

— tak rozpoczyna Dorota Masłowska książkę „Paw królowej”. Pierwsze zdanie już na samym początku tak dezorientuje czytelnika, że zaczyna się on zastanawiać nad tym, czy nie są to przypadkiem jakieś słowa wyrwane z kontekstu, bredzenie pijanego.

Ciekawość podpowiada, aby czytać dalej, nie rezygnować. Rozsądek — że szkoda czasu...

Domyślam się, że wiele osób, biorąc do ręki tę książkę i zaczynając ją czytać, miało podobne odczucia. Zupełnie się temu nie dziwię. Ja podjęłam wyzwanie i przebrnęłam jakoś „Pawia królowej”. Książka o objętości niespełna 160 stron jest próbą sił dla czytelnika.

Przyznaję się, że z twórczością Doroty Masłowskiej spotykam się po raz pierwszy (nie czytałam „Wojny polsko-ruskiej”...). Pisarka niewątpliwie wyróżnia się na tle twórców współczesnej literatury. Jako obserwatorka życia codziennego, przelewa swe spostrzeżenia na papier w formie nietuzinkowej. Wszystkie perypetie bohaterów to problemy ponadczasowe, nasilające się w społeczeństwie w danym czasie mienią lub bardziej.

Dorotę Masłowską można krytykować lub uwielbiać. Jest barwną osobowością stawiającą nam nietłuwne zadanie.

„Paw Królowej” ukazuje losy ludzi we współczesnej Warszawie. To historie osób biednych, brzydkich, głupich, chciwych, mających nawyki, z kredytami, z problemami, targanych pożądaniem, zdradzanych, które zderzyły się z rzeczywistością. To współczesna groteska.

Główny bohater, wokół którego rozgrywają się losy pozostałych, to Stanisław Retro, upadła gwiazda, samotny, poddawany krytyce i na celowniku medialnych hien osobnik. Historie poszczególnych postaci w książce zataczają kręgi. Czytając, odnosilałam wrażenie, że bohaterowie są beczelnymi prostakami wzajemnie się napędzającymi w machinie zgnilizny moralnej, z którą Dorota Masłowska utożsamia Warszawę. Autorka pisze również o sobie; jako DJ Doris przywołuje przykre, osobiste doświadczenia, z którymi dane jej się było zmierzyć po swoim debiucie literackim.

Książka napisana została w konwencji piosenki hiphopowej, zdaniem wielokrotnie złożonymi, niepoprawnymi gramatycznie, składniowo oraz stylistycznie, z rymami nie zawsze do końca pasującymi do siebie. Użyty język to według autorki współczesna polszczyzna kolokwialna, byle jaka, bazująca na skrótach i zapożyczeniach.

Językowa kreacja autorki nie ma sobie równych. Prymitywne i wulgarne słownictwo jest tutaj odzwierciedleniem wynaturzenia, jakie obserwuje Masłowska.

„Paw Królowej” nie jest książką łatwą, beztroską opowieścią o Polsce i miłości. To wyzwanie intelektualne dla czytelnika. Nie przyszło mi łatwo przebrnąć przez kolejne kartki powieści. Zwykle po 15 stronach przedstawiałam czytać i wracałam do lektury dopiero po dwóch dniach. Bywało i tak, że po dwóch stronach bardzo się zmęczyłam, nie rozumiałam czytanych słów, wracałam kilkakrotnie do jednego wersu.

Buzują we mnie mieszane uczucia względem tego utworu. Z jednej strony jestem oburzona i wściekła na autorkę za poprzeczkę, jaką postawiła czytelnikowi, tworząc dane dzieło, a z drugiej podziwiam jej kunszt pracy.

Czy polecam tę książkę? Zdecydowanie tak, głównie jeśli lubicie zabawy słowem i nie odstrasza was grafomania. Łatwo nie będzie, bardzo możliwe, że nie dotrwaacie z lekturą do końca.

Mimo to uważam, że warto się otworzyć na nowe doznania literackie, szczególnie że problemy poruszane w książce, mimo że dostrzeżone przez autorkę przeszło 11 lat temu, nadal są aktualne.

Zastanawia mnie tylko jedna kwestia: czy czytelnicy zwracają uwagę bardziej na formę czy na treść? Czy treść nie traci na rzecz formy? Czy przypadkiem przesłanie i wnioski, jakie można wysnuć po przeczytaniu „Pawia Królowej”, nie zostają w ogóle dostrzeżone ze względu na przytłaczającą konstrukcję?

Liczba negatywnych opinii równoważy się z tymi pozytywnymi. Zastanawiam się jednak, czy gdyby Dorota Masłowska napisała powieść poprawną polszczyzną, przestrzegając zasad gramatycznych, językiem przystępnym dla czytelnika, odbiór treści byłby wtedy inny. Co czyni tę książkę wyjątkową: budowa czy słowa, fabuła?

Nad odpowiedzią na to pytanie ciągle się zastanawiam...

SYLWIA ŁUKASIK

Dorota Masłowska, *Paw królowej*
Wydawnictwo: Lampa i Iskra Boża
Rok wydania: maj 2015
Liczba stron: 156

„To nie jest zawód dla cyników” opowiadająca o Ryszardzie Kapuścińskim to pozycja obowiązkowa zarówno dla adepta sztuki dziennikarskiej, jak i doświadczonego publicysty i każdego, kto choć trochę interesuje się otaczającym światem

Nie istnieje DZIENNIKARSKI OBIEKTYWIZM

Mimo że na okładce widnieje nazwisko Ryszarda Kapuścińskiego, nie jest to typowa książka dla autora „Cesarza”. To bardziej opowieść o nim samym i o jego sposobie na postrzeganie świata. Nie znajdziemy tutaj żadnej złotej recepty na to, co jest dobre w zawodzie dziennikarskim, dostaniemy zaś garść wskazówek, przemysleń i tropów.

„To nie jest zawód dla cyników” pozostaje zbiorem wykładów, warsztatów oraz wywiadów przeprowadzonych z Ryszardem Kapuścińskim w Ameryce Łacińskiej oraz we Włoszech.

Na nawiązanie do tytułu tej książki natrafiamy już w „Autoportrecie reportera”. W przytoczonym fragmencie niepublikowanego wywiadu Ryszard Kapuściński stwierdza:

„Nigdy nie spotkałem cynicznego reportera. To zbyt trudny zawód dla cyników, wymagający wielkiego poświęcenia i zaangażowania. Za same pieniądze nikt tego nie będzie robił...”

Ale podczas cyklu wykładów zorganizowanych dla dziennikarzy z Ameryki Południowej mistrz nie mówi wyłącznie o tajnikach reporterskiego rzemiosła. Bardziej interesują go mechanizmy rządzące światem i to, w jaki sposób na kierowanie nimi wpływają media.

Książka została podzielona na dwie części: tę wykładową zatytułowano „Pięć zmysłów dziennikarza”, część z włoskich spotkań „To nie jest zawód dla cyników”. Całość tworzy swoistego rodzaju kompendium wiedzy o wykonywaniu zawodu dziennikarza.

Najciekawsze w całej książce są zdecydowanie warsztaty o dziennikarstwie, stanowiące próbę znalezienia „złotego środka” na bycie dobrym w tym fachu czy też sposobu na najlepsze wykonywanie zawodu reportera.

W dobie internetu i pogonią za informacją zawód reportera paradoksalnie traci na znaczeniu. Informacje błyskawicznie docierają do każdego zakątka świata, przygotowywane przez sztab ludzi związanych z mediami. Informacja stała się „produktem” na wagę złota, równie cenne jest dotarcie do niej.

Skutkuje to tym, że wszyscy mają tę samą wiedzę, co konkurencja, relacjonują zwykle wydarzenia z jednego miejsca, bacznie pilnując się nawzajem, podczas gdy ważne rzeczy dzieją się zupełnie gdzie indziej i nierzadko pozostają przemilczane.

Dlatego Kapuściński podkreśla, że dziennikarz stając przed wyzwaniem współczesności, musi się szczególnie starać. Przede wszystkim powinien się ciągle dokształcać (jedna napisana strona na sto przeczytanych) i mieć kontakt z ludźmi. Nie wolno mu być cynikiem, gdyż dziennikarstwo to nie jest zawodem dla cyników.

„Dziennikarstwo nie może być uprawiane przez cyników. Trzeba jednak odróżnić cynizm od ostrożności, sceptycyzmu czy realizmu. Te cechy są niewątpliwie potrzebne, bez nich nie dałoby się wykonywać tego zawodu. Cynizm to cecha nieprzystająca do dziennikarstwa. Cynizm to cecha niegodna człowieka, cecha, która automatycznie wyklucza z dziennikarstwa. Mówimy tu tylko o wielkim dziennikarstwie, bo to jedyne, którym warto się zajmować, a nie o tej odrażającej jego formie, z którą często mamy do czynienia” (cytat z R. Kapuścińskiego, *To nie jest zawód dla cyników*).

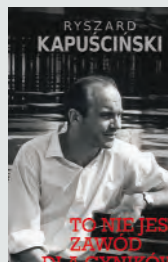
W książce sporo miejsca poświęcono zjawiskom stosunkowo nowym oraz zmianom, jakie spowodowało ich rozprzestrzenianie się. Kapuściński jest ostrożny w wystawianiu kategoriycznych ocen, ale na przykład w powstawaniu nowych typów mediów widzi szansę dla rozwoju tych już od dawna istniejących: „Jestem przekonany o tym, że powstała nowa, bardzo pozytywna płaszczyzna interakcji, gdzie różne gałęzie mediów żyją ze sobą w symbiozie”.

Z podobną rezerwą wypowiada się o globalizacji, wskazując zarówno na pozytywne, jak i negatywne skutki tego zjawiska. Zdecydowanych opinii jednak nie brakuje. Otwarcie mówi o tym, że nie istnieje dziennikarski obiektywizm, a przyczyn kryzysu czytelnictwa i spadku jakości przekazów medialnych upatruje w ignorancji odbiorców.

Książka jest zdecydowanie warta uwagi, szczególnie że rady niby dotyczące zawodu dziennikarskiego mają właściwie wymiar uniwersalny. Ponieważ Kapuściński podczas wykładów nie szukał porad i wskazówek, jak być dobrym dziennikarzem, ale raczej podpowiadał, jak patrzeć na świat, by będąc dziennikarzem, widzieć więcej i dostrzegać to, czego nie widzi się na pierwszy rzut oka.

To pozycja obowiązkowa zarówno dla adepta sztuki dziennikarskiej, jak i doświadczanego publicysty i każdego, kto choć trochę interesuje się otaczającym światem.

STANISŁAW CYGAN



Ryszard Kapuściński, *To nie jest zawód dla cyników*

Tytuł oryginału hiszpańskiego: *Los cinco sentidos del periodista (estar, ver, oír, compartir, pensar)*

Tytuł oryginału włoskiego: *Il cinico non è adatto a questo mestiere*

Conversazioni sul buon giornalismo

Tłumaczenie: Magdalena Szymków, Andrzej Flisek

Wydawnictwo: Agora, Warszawa 2013

Liczba stron: 240

Książka MACIEJA REPLEWICZA „Stanisław Bareja. Król krzywego zwierciadła” jest celną charakterystyką twórczości prześmiewcy Polski Ludowej...

UJĘCIA zamiast rozdziałów

Niedługo minie 29 lat od śmierci twórcy najpopularniejszych polskich komedii okresu PRL-u. „Miś”, „Poszukiwany – Poszukiwana”, „Co mi zrobisz, jak mnie złapiesz”. Wbrew sporom filmoznawców, zarzucającym schlebienie najniższemu gustowi, cieszą się one niesłabnącym zainteresowaniem widzów. Ciągłe obecne w telewizji, zyskały już miano kultowych, a imieniem Barei nazywane są ulice.

Życie reżysera nie było już tak zabawne, jak jego komedie. W jednym z wywiadów nazwał siebie „chłopcem do bicia”. Od lat siedemdziesiątych współpracował z opozycją antykomunistyczną. Z każdej zagranicznej wyprawy przywoził kilogramy publikacji „drugiego obiegu”. Ukrywał je m.in. w pojemnikach do transportu taśmy filmowej opatrzonych adnotacją: *Nie otwierać, materiał światłoczuły*. Skutecznie chroniło je to przed okiem celników...

W piwnicy domu reżysera działała podziemna drukarnia wydawnictwa NOWA. Na jej potrzeby reżyser, na dachu swojego fiata 126 p, z Zachodu przemycał maszynę drukarską. Wówczas karane było to równoznacznie z przemytem broni i materiałów wybuchowych. Bareję, uwielbianego przez widzów, nienawidziła władza, ponieważ wprost manifestował niechęć do ustroju. Kiedy jego koledzy reżyserzy czekali na przydział „malucha”, on kupił w Niemczech używanego mercedesa. Chciał pokazać, że nie jest konsumentem systemu, a do wszystkiego doszedł ciężką pracą.

„Król krzywego zwierciadła” napisany przez Macieja Replewicza nie jest klasyczną biografią, a elementy biograficzne jedynie tłem zgrabnie wplecionym w opowieść o pracy nad kolejnymi filmami. To fakty nieznanne dotąd szerokiej publiczności. Książka jest jakże celną charakterystyką twórczości prześmiewcy Polski Ludowej: scenariuszy zrealizowanych i tych, które Bareja zamknął w szufladzie.

Wiele już napisano o twórcy „Bruneta wieczorową porą”, nikt jednak nie przedstawił go jako baczego obserwatora codzienności, który przenosi te wątki do swoich filmów. Kilka z nich już zdradziłem. Które? Odpowiedź znajduje się w książce...

Ponadto dowiemy się, dlaczego Jacek Fedorowicz nie zagrał Marysi w „Poszukiwany – Poszukiwana” oraz dlaczego, na etapie produkcji, serial „Alternatywy 4” nosił tytuł „Stanisław Anioł”.

Chwała autorowi za tę pracę. Choć nie obyło się bez błędów. W części poświęconej filmowi „Poszukiwany – Poszukiwana” Replewicz informuje, że żonę głównego bohatera zagrała Halina Kowalska, tymczasem w roli Rochowiczowej wystąpiła Jolanta Bohdal.

Nie zmienia to faktu, że książka Macieja Replewicza „Stanisław Bareja. Król krzywego zwierciadła” to gratka nie tylko dla miłośników reżysera. Poszczególne części nie są klasycznymi rozdziałami, lecz ujęciami. Tworzą dwadzieścia cztery odcinki serialu, które można czytać w dowolnej kolejności, bez obawy przed utratą wątku.

ARIEL ŻÓŻYŁOWSKI

Maciej Replewicz, „Stanisław Bareja. Król krzywego zwierciadła”

Wydawca: Wydawnictwo Zysk i S-ka

Poznań 2009. Liczba stron: 436

Skoro jednak dawni herosi skupili się na zarabianiu pieniędzy, może to właśnie owym „zwykłym bohaterom” powinniśmy dziś powierzyć ratowanie świata?

Zmierzch (super) bohaterów?

Chyba każdy z nas w dzieciństwie marzył o tym, by posiadać supermoce. Wielu nawet dziś nie obraziłoby się za taki prezent od losu. Mogłoby nim być na przykład żelazne zdrowie Wolverine’a, dzięki któremu L4 odeszłoby do lamusa, a szef mógłby liczyć na pełną dyspozycyjność. Albo pewność siebie Tony’ego Starka, która by pozwoliła brylować w sferze osobistej i zawodowej.

Cóż, pomarzyć każdy może, prawda?

Bohater bohaterowi nierówny, ale nie każdy od razu musi być aż taki wyjątkowy. Może być zupełnie zwyczajny, codzienny czy nawet nieco prząsny. Od kilku lat jeden ze znanych banków i dwa prywatne serwisy medialne organizują kampanię pod hasłem „Zwykły bohater”, której celem ma być wyszukiwanie i promowanie zwykłych ludzi o niezwykłych dokonaniach. Zwycięzca dostaje pieniądze i trochę medialnego szumu, ale po kilku tygodniach wszyscy o nim zapominają.

Pewna popularna firma z branży budowlanej od pewnego czasu próbuje przekonać klientów, że stosując ich produkty, zostaną „bohaterami domu”. Remont balkonu czy aranżacja pokoju dziecięcego urasta do rangi wyczynu nie z tej ziemi, lecz dobrze wiemy, jak takie prace potrafią spędzić sen z powiek.

Jeden z producentów piwa wypuścił z kolei kampanię pod hasłem „Chwała bohaterom”.

W pierwszym przypadku faktycznie można docenić społeczny wymiar kampanii, a w drugim podkreślać te aspekty prac domowych, które sprawiają przyjemność i dają satysfakcję. Bohaterowie są mniej lub bardziej wyraziści, mają jednak swoje pięć minut.

W trzeciej jednak kampanii (o losie) cześć i chwałę oddaje się tym bohaterom, których obecność uświetnia... weekendowe popijawy. Pojawia się pytanie, czy w dzisiejszych czasach owo miano nadal jest zaszczytne. Wydaje się, że nie do końca. Może w takim razie nieco chwały i splendoru wciąż utrzymuje się wokół etatowych herosów Fabryki Snów?

Zajrzyjmy na chwilę do Hollywood: miejsca, w którym uwspółcześnieni przez sztab speców od efektów specjalnych i marketingowców bohaterowie czują się dziś najlepiej, są kochani i doceniani.

Co więcej, ich dokonania, przeniesione z mniejszym lub większym pietysmem na wielki ekran ze stron komiksów, wreszcie nie odbywają się w czynie społecznym. Czyżby popkulturowa hossa komiksowych herosów trwała w najlepsze?

Ledwie z ekranów kin zszedł *Deadpool*, który ku przerażeniu rodzimych fanów przegrał walentynkową bitwę o kasowe wpływy z *Planetą singli*, a już jego miejsce zajął duet Batmana z Supermanem. Wkrótce na ekranach zagości kolejna odsłona przygód X-menów, a po nich srebrne ekrany szturmować będzie tragikomiczna banda Jokera. Co najmniej do Gwiazdki jesteśmy zatem bezpieczni.

Mimo to w XXI wieku niełatwo być (super) bohaterem. Czyhają na nas zagrożenia w postaci fanów wściekłych z powodu najmniejszych przeróbki czy innowacji, gotowych wylać wiadro pomyj na głowę reżysera czy aktora za brak wierności komiksowym oryginałom.

Twórcy taśmowo produkowanych *superhero movies* niewiele jednak sobie robią z krytyki, bo stawka jest zbyt wysoka. Owszem, z jednej strony na szali leży prestiż profesji w postaci ratowania (wszech) świata, odpowiednio intrygującej i/lub łzawej historii, którą dany heros lub heroína musi mieć w zanadrzu oraz dostatecznie niecodziennych supermoce. Z drugiej jednak jawi się ogromna mamona, zbijana na fanach żądnych kolejnych spektakularnych i efekciarskich adaptacji, a ta przecież – w przeciwieństwie do rzeczonych pomyj – nie śmierdzi.

Wielkie wytwórnie filmowe i studia komiksowe rozpoczęły heroiczny bieg ku podium. Najwyższą lokatę zdobędą te, które zarobią na swoich blockbustach najszybciej i najwięcej, gromadząc przed ekranami najliczniejszą publiczność. Bitwa między Marvel Studios i DC Comics jest zacięta i nie zanośi się ani na remis, ani na walkower, chyba że to fani ostatecznie ogłoszą zwycięzcę. Historia szaleństwa wokół tworzenia zaludnionego herosami wszelkiej maści filmowego uniwersum mogłaby właściwie pomóc stworzyć scenariusz postaci arcyzłoczyńcy. Tutaj nie obowiązuje kodeks honorowy, wszystkie sztuczki są dozwolone.

Jakie są efekty tej wojny?

Avengersi (2012) Marvela (a raczej Disneya) z 623 mln dolarów przychodu w Stanach, z czego 207,4 mln wpadło do kieszeni wytwórni w weekend premiery, to najlepiej zarabiający film superbohater-ski wszech czasów. Na drugim miejscu uplasował się *Mroczny rycerz* (2008) Christophera Nolana z 535 mln dolarów dochodu, przy czym zyski globalne dla DC Comics przekroczyły miliard dolarów, a na trzecim sequel *Avengersów* z zagranicznymi zyskami w wysokości aż 941,5 mln dolarów.

Po szeroko nagłaśnianej w mediach kwietniowej premierze Disney uznał *Czas Ultrona* za porażkę, mimo że zarobił dla studia prawie 1,5 mld dolarów przy sześciokrotnie niższym budżecie. Bycie bohaterem już dawno nie jest misją, stało się biznesem...

Nadchodzi zmierzch (super) bohaterów. Dziś nie wystarczą supermoce i chęć ratowania świata, by wkraść się w łaski fanów. Za każdym, najmniejszym nawet herosem (vide *Ant-man*) stoi potężna machina marketingowa.

Może już wkrótce w pędzie za mamoną dojdzie nawet do ekranizacji przygód takich zapomnianych i dziwacznych bohaterów, jak straszący zbiorów martwymi psami i spawarką ponury Dogwelder albo pożerający materię chłopiec Matter Eater Lad? W końcu cel uświęca środki, zwłaszcza ten w postaci galopujących cen akcji i doskonałych wyników w sprawozdaniu kwartalnym.

Z drugiej strony nie potrzeba wiele, żeby przy skromnym budżecie zostać bohaterem na niewielką skalę. Udowadniają to zwyczajni ludzie, o których niekiedy słyszymy lub czytamy w mediach. Szybko jednak zapominamy o bohaterskich akcjach ratowania wyziębnego dziecka przez policjantów i lekarzy, tonącej kobiety przez przypadkowego przechodnia czy pasażera z zawałem w autobusie przez nastolatkę, o młodych naukowcach walczących o sponsorów na swoje projekty, które mogą zmienić oblicze medycyny.

Tacy bohaterowie, w przeciwieństwie do rezydentów Fabryki Snów, nie zaludniają masowej wyobraźni i nie zostają idolami młodego pokolenia. Trudno ich jednak wielbić, bo są zbyt podobni do nas. Skoro jednak dawni herosi skupili się na zarabianiu pieniędzy, może to właśnie owym „zwykłym bohaterom” powinniśmy dziś powierzyć ratowanie świata?

AGNIESZKA BUKOWCZAN-RZESZUT

Programy „Rolnik szuka żony” i „Kto poślubi mojego syna?” chyba jednak zbyt daleko odbiegają od życia...

„Oddam w dobre ręce tego PRZYSTOJNIAKA”

Każdy czas temu w serwisach plotkarskich głośno było o ślubach uczestników programu rozrywkowego emitowanego przez TVP 1 „Rolnik szuka żony”. Sakramentalne „tak” powiedzieli sobie Robert Filochowski i jego wybranka z programu oraz Grzegorz Bardowski i jego ukochana Ania. Obie pary zakończyły się w sobie właśnie w czasie trwania telewizyjnego show. . .

Czy samotni, ale chcący kochać i być kochanymi ludzie powinni iść w ich ślady i właśnie w programach o sporej, jak się okazuje, oglądalności (prawie 6 mln widzów!) szukać miłości, tej jedynej, na dobre i na złe?

„Rolnik szuka żony” nie jest bynajmniej jedynym tego typu programem. W latach 1992–2005 oglądaliśmy z zainteresowaniem „Randkę w ciemno” z Jackiem Kawalcem, a następnie z Tomaszem Kammelem w roli prowadzących. W owym programie uczestnicy się nie widzieli nawzajem (odgradzał ich na studiu telewizyjnym parawan. . .), a o wyborze partnera, z którym miało się potem spędzić kilkudniowy urlop w atrakcyjnym miejscu, decydowały odpowiedzi na pytania mu zadawane.

Czy był to pełny obraz osoby, której się wcześniej nie znało i nie widziało?

Śmiem wątpić... Kobiety interesują się zazwyczaj mężczyznami wysportowanymi, zadbanymi, którzy muszą się im podobać fizycznie, a nie lalusiowatymi osobnikami mającym nawet błysk w oku. Z kolei panowie chętniej zerkają na niewiasty o długich nogach, z biustem przynajmniej w rozmiarze C i o poślach, których mogłaby im pozazdrościć sama Kim Kardashian. W ciemno się chyba nie da, za żadne skarby. . .

Jak to bywa wśród konkurencji, stacja TVN nie mogła pozostać w tyle za telewizją publiczną mającą swego rolnika szukającego żony i też przygotowała podob-

ny program pt. „Kto poślubi mojego syna?”. Tym razem do akcji wkroczyły kochane mamusie pomagające synom w znalezieniu wymarzonej kandydatki na żonę.

Dziesięć młodych kobiet ubranych niezwykle wyzywająco i przypominających wyglądem raczej panienki lekkich obyczajów musiało stoczyć między sobą zacięty bój o serce synów i być może ich portfel.

A może jednak chodziło o zdobycie względów przyszłej teściowej?

Sytuacja dość absurdalna, gdyż która matka o zdrowych zmysłach wybrałaby synowi kandydatkę na żonę, tak silnie na to nalegając?! Po drugie, która chciałaby widzieć go w objęciach dziewczyny wyglądającej jak. . . niedużany eksperyment chirurga plastycznego?

W finale programu ukochani synowie podejmują decyzję, czy wręczyć pierścionek zaręczynowy wybrance i tym samym porzucić matkę oraz wygodne życie u jej boku, czy też oddać go matce na przechowanie i wrócić do domu pachnącego jeszcze szarlotką.

Jakże śmiesznie wyglądało zachwalanie przez matki synów:

„Mój kochany syn jest wrażliwy, przystojny i zaradny”;

„Mój syn piecze smaczne ciasteczka, najlepsze na całym świecie. Jest bardzo ambitny i przystojny i na pewno będzie idealnym mężem i ojcem”;

„To dusza towarzystwa, wszystkie koleżanki zazdroszczą mi, że mam tak pięknego syna”;

„Oddam w dobre ręce każdy drogocenny fragment tego przystojniaka”.

Na pewno, słysząc takie czy podobne słowa, wszystkie natychmiast rzuciłybyśmy się wprost w objęcia owych dżentelmenów. . .

Gdyby to o mnie chodziło, wybrałabym raczej rolnika szukającego żony, gdyż generalnie ludzie mieszkający na wsi są zaradni, pracowici i szczerzy. . . Nie przeszkadzałoby mi chyba to, że ów książę ma zwykle na nogach gumia-ki i w obozie sporo krów. Nie zniosłabym natomiast życia z człowiekiem wciąż uzależnionym od mamusi, która codziennie smaży mu na obiad schabowego o i podtyka mu go pod nos.

A tak w ogóle to trzeba się raczej rozejrzeć, drogie koleżanki, za siebie i sprawdzić, czy nie czeka tam na nas ów jedyny. . .

IZABELA RZEPECKA

47

Młody człowiek sam powinien decydować o dalszym życiu i nikt nie może mu tego ani ułatwiać, ani utrudniać...

DORASTANIE na ugorze

„Dzieci wesoło wybiegły ze szkoły, zapaliły papierosy, wyciągnęły flaszki. Chodnik zapluły, ludzi przepędziły. Siedzą na ławeczkach. . .”

Nie oszukujmy się. Takie wyobrażenie o współczesnej młodzieży ma pokazać część społeczeństwa. Może i jest w tym trochę prawdy, ale na pewno nie do końca, bo zdarzają się jeszcze młodzi z pasją, starający się realizować wytyczone cele i żyć według pewnych idei i przekonań. Na szczęście. . .

Nie wiem dlaczego, ale wydaje mi się, że dzisiejsza młodzież dorasta zbyt szybko, a przynajmniej stwarza pozory, że jest dorosła i dojrzała (niestety, chyba częściej prawdą jest to drugie. . .).

Czasami sama zastanawiam się nad jakąś konkretną odpowiedzią na pytanie, dlaczego młodzież sięga po używki, i – szczerze mówiąc – nic sensownego nie przychodzi mi do głowy. Czyżby chodziło o szpan (choć nie wiem, czym on naprawdę jest. . .), a może winne pozostaje złe otoczenie lub bezkrytyczne naśladowanie starszych (ale po co?) i negatywny wpływ zagranicznej kultury masowej (ale przecież każdy człowiek swój rozum ma, prawda?). . .

Sama lubię się niekiedy zabawić, wiem jednak, kiedy skończyć (znać granice szaleństwa). A może tylko mi się tak wydaje? Może teraz tak trzeba?

Żałuję, że dzisiaj wszystko wygląda jakoś inaczej niż dawniej. Młodzież potrafiła (a przede wszystkim chciała) się jednaczyć, organizować, jedno-czyć. A teraz odnoszę wrażenie, że młodzi ludzie wolą siedzieć przed kompu-terem i zachłystywać się wirtualnym światem, gdzie niby wszyscy się znają, ale pozostają anonimowi. Pewnie, tak jest wygodniej. . .

W internecie szaleje bitwa na memy, przez którą tracimy zdolność prawdziwego dyskusowania. Każde nowe wydarzenie, niezależnie od tego, z jakiej dziedziny życia społecznego, bywa od razu komentowane za pomocą śmiesznych obrazków z krótkim podpisem (czasem na bazie ważnych zdarzeń tworzy się całe historyjki i serie obrazków). Ponadto większość ludzi woli oglądać zdjęcia niż czytać teksty. Czy to wyłącznie brak czasu, a może zwykłe lenistwo?

Powoli społeczeństwo polskie przekształca się w cyberspołeczeństwo. Częściej zaglądamy na portale społecznościowe i informacyjne niż do gazet. Młodzi ludzie wolą wysłać SMS z ikoną serduszka niż zadzwonić, by powiedzieć najbliższemu, co robią, co czują. To przykre, gdyż przez takie działania zanika coś takiego, jak zwykła rozmowa.

Dlatego powinniśmy zwracać uwagę na to, jak sami się zachowujemy, nie wolno nam dopuścić do przewartościowania otaczającego nas świata. Memy i liczne emotikony są fajne, potrzebny jest jednak umiar, zdrowy rozsądek.

Warto na koniec poruszyć kwestię egzaminów maturalnych i komentarzy na temat stopnia ich trudności. Z jednej strony ludzie wyśmiewają autorów, że tworzą sprawdziany dla. . . szóstkłasiaków, a z drugiej słyszymy o wyższym poziomie części rozszerzonej z danych przedmiotów, tak by ograniczyć liczbę osób wybierających się na studia (rośnie bowiem w ten sposób zapotrzebowanie na zawody podstawowe, wykorzystujące siłę fizyczną).

Cóż, młody człowiek sam powinien decydować o dalszym życiu i nikt nie może mu tego ani ułatwiać, ani utrudniać.

JOANNA RAKOCZY

Coraz liczniejsze jest kasowanie kont w mediach społecznościowych

PRYWATNOŚĆ coraz bardziej zagrożona...

W dobie mediów społecznościowych wszyscy są wszędzie. Codziennie przecież wrzucamy setki tysięcy zdjęć, postów, tweetów, nie ma problemu z podejrzeniem życia koleżanki z podstawówki czy nowej dziewczyny byłego partnera. Czy da się od tego uciec? To pytanie zadaje sobie coraz więcej osób...

W owym ciągłym „wyścigu szczurów” każdy chce się pokazać z jak lepszej strony. Zdjęcia z drogi wakacji, imprez, w nowych ciuchach czy w ciekawej scenerii kreują pewien obraz człowieka, co niekoniecznie pokrywa się z rzeczywistością. Nie należy też zapomnieć o epidemii internetowej, jaką jest popularność selfies, przenoszona jak najgorszy wirus.

Człowiek, raz zarażony, wrzuca codziennie co najmniej kilka „dziubkowych” ujęć z kiblem odbijającym się w lustrze łazienkowym bądź inne tego typu „potworki”. Nie wszyscy jednak chcą tak żyć. Coraz więcej osób podejmuje trudną decyzję porzucenia życia wirtualnego w celu pełniejszego przeżywania tego prawdziwego.

Czy odejście z mediów społecznościowych cieszących się niebywałą popularnością zarówno na świecie, jak i w samej Polsce (ponad 13 mln użytkowników w 2015 roku, według statystyk We Are Social) jest w ogóle możliwe?

Jak się okazuje – tak, da się tego dokonać, niemniej sam proces trwa długo. Coraz więcej osób, zmęczonych wirtualnym „wyścigiem szczurów”, decyduje się na skasowanie konta na Facebooku. Ludzie zaczęli pytać samych siebie: „A co z moją prywatnością? Co ze mną i z moim prawdziwym życiem?”

Nie jest tajemnicą, że Facebook uzależnia. Niepozorne sprawdzenie „co tam na tablicy” może się przerodzić w wielogodzinne przeglądanie bezsensownych wiadomości. Oprócz oczywistej straty czasu pojawia się obawa o udostępniane treści. Lajkujemy posty innych ludzi, zbieramy kciuki w górę pod swoimi wpisami, zdjęciami, jednak rzadko kiedy myślimy o tym, co może się stać z tymi informacjami.

Dzięki licznym kampaniom społecznym, takim jak akcja „Pomyśl zanim wrzucisz” Fundacji „Dzieci Niczyje”, uświadamiamy sobie na szczęście, jakie konsekwencje może nieść nierozwaga w internecie.

Cóż by to był za idealny świat, w którym wszyscy robiliby wszystko na czas i nie istnialiby osobnicy zabiegani i wiecznie narzekający na to, że nie mają na nic czasu i nie wiedzą, kiedy naprawdę odpoczną...

Na tapczanie siedzi leń, czyli JA...

Gdyby mi się chciało zrobić to wszystko, co powinnam, tak jak mi się tego zrobić nie chce, toby ów tekst został napisany o wiele wcześniej, a ja miałabym dwa dni wolnego i święty spokój. Ale nic nie poradzę na to, że niekiedy po prostu nie wystarcza mi siła, a raczej... chęć.

Od razu zastrzegam się, że nie należy tego mylić z żadną depresją, co poniektórzy niesłusznie czynią, ponieważ poważną chorobę łatwo odróżnić od lenistwa.

Tak, trzeba nazywać rzeczy po imieniu! Dopada mnie niekiedy okropne LENISTWO! To chyba najpopularniejsze uzależnienie XXI wieku i w dodatku szybko się rozprzestrzeniające. Podobno cierpi na nie statystycznie każdy, tyle że u jednych choroba przebiega łagodnie, a u innych przeradza się w stan przewlekły.

Pierwsze symptomy lenistwa to przede wszystkim nadmiar obowiązków i dodatkowe wyzwania. W strefie zagrożenia znajdujemy się zwykle wtedy, gdy

Niestety, przez nieuświadomionych rodziców wrzucających zdjęcia swoich półnagich pociech do internetu często korzystają z tego pedofile. Tworzą z nich całe katalogi. Dotarcie do dziecka, na podstawie informacji zawartych w profilu nieostrożnego rodzica również nie stanowi obecnie problemu. Tymczasem skutki takiego zachowania mogą być tragiczne...

Znajdują się na szczęście ludzie, którzy porzucają powoli swą internetową tożsamość, by w pełni cieszyć się z życia prawdziwego.

Jeszcze parę lat temu założenie konta na Naszej-klasie czy mniej wtedy popularnym w Polsce Facebooku było na topie. Kto dzisiaj pamięta „Naszą-klasę”? Jej popularność gwałtownie spadła, gdy nasilił się facebookowy boom. Teraz to właśnie ów portal przeżywa rozkwit, dzieląc rynek jedynie z Twitterem, Instagramem i Snapchatem.

Z kolei z tego ostatniego coraz częściej korzystają ludzie młodzi. Kasują swoje konta facebookowe, przenosząc się do mniej angażującego medium. Przewagą Snapa jest fakt, że zdjęcia znikają po kilku sekundach, co jednak często czyni z niego narzędzie do sekschatu. Poza tym daje poczucie internetowej swobody. Młodzież nie chce już korzystać z Facebooka, na którym konta mają ich rodzice, co umożliwia im wgląd w życie pociech.

Bez wątpienia średnia wieku użytkowników Facebooka w ostatnich latach znacząco wzrosła. Czy to znaczy, że nie jest on już na topie? To raczej zbyt daleko idąca hipoteza. Bardziej adekwatne jest stwierdzenie, że może on współistnieć na rynku z innymi portalami, takimi jak Instagram, Twitter czy Snapchat, ponieważ dzieli je zarówno target, jak i cel użytkownika. Instagram skupia się na fotografiach, Twitter na krótkich komentarzach i szybkości komunikacji, Snapchat zaś na niezobowiązujących i nietrwałych kontaktach z ludźmi.

Czy coraz liczniejsze kasowanie kont w mediach społecznościowych może oznaczać powolne odchodzenie do lamusa tego rodzaju komunikowania się ludzi przez internet? Czy należy się spodziewać, że za kilka lat wszystkie social media staną się przeżytkiem?

Z całą pewnością w związku z narastającą tendencją ochrony prywatności wiele osób odejdzie od nich w ogóle, dając tym samym wyraz swej niezależności, indywidualności i odwadze „pójścia pod prąd” wobec panujących trendów.

Trudno jednak przypuszczać, by możliwe było całkowite zniknięcie mediów społecznościowych. Twórcy portali, idąc z duchem czasu, będą się raczej coraz bardziej dostosowywać do użytkownika, tak by zatrzymać go na dłużej i zaspokoić jego nowe potrzeby. Warto się więc zastanowić nad własną aktywnością w mediach społecznościowych i kierować swoim wizerunkiem w sposób bezpieczny i sensowny.

ANNA DAWIDOWSKA

na horyzoncie pojawia się jakieś nowe zadanie. „Niech poczeka do jutra, ja mam czas” – powtarzają wtedy z ochotą wszyscy cierpiący na lenistwo osobnicy...

Ową przypadłość da się podobno leczyć, jednak walka z nią pozostaje niezwykle trudna. Nie ma jednej recepty, statystyki zaś mówią same za siebie: większość zdrowieje dopiero w ostatniej fazie zwanej fachowo... paniką.

Same motywujące słowa wypowiedziane na początku postanowienia, że przełamie swoje lenistwo, wystarczają jedynie na początku, lecz w zaawansowanym stadium choroby nawet podwójna dawka leku, niestety, nie działa.

Część rodziców stara się jakoś zaradzić lenistwu córki czy syna, stosując kwarantannę wraz z embargiem na telewizję czy inne „rozpraszacze”. Niekiedy owe restrykcje przynoszą rezultaty, ale przeważnie ów dość desperacki sposób dyscyplinowania osobników bywa daleki od doskonałości, a uzdrowienie po tym, jeśli się w ogóle zdarza, traktuje się raczej w kategoriach cudu.

A może by tak organizować comiesięczne albo cokwartalne spotkania Anonimowych Leniów? Tylko ze ilu leni naprawdę by ruszyło tyłek z kanapy i z własnej woli przyszło na taki miting?

Z drugiej jednak strony, pocieszając samą siebie..., zastanawiam się nad tym, co by to był za świat idealny, gdyby wszyscy robiliby wszystko na czas i nie istnialiby ludzie zabiegani i wiecznie narzekający na to, że nie mają czasu na nic i nie wiedzą, kiedy naprawdę odpoczną...

KATARZYNA SUDOŁ

Było disco polo, nie było, znów jest. Był PiS, nie było, znów jest. Mam nadzieję, że umiejętność samodzielnego myślenia też powróci...

WSZYSTKO przez te frytki chrupiące!

Muzyka disco polo trafiła pod strzechy ładnych parę lat temu. W latach 90. przeżywała apogeum, by na chwilę usunąć się w cień i w największym blasku powrócić w drugiej dekadzie XX stulecia. Doszło nawet do tego, że ogólnopolska rozgłośnia, która najbardziej ceni sobie radio, muzykę podobno i fakty, zainteresowała się przeróbką piosenki Zenka Martyniuka wychwalającego „oczy zielone”.

Młody, około dwudziestoletni mężczyzna, podjeżdżając do amerykańskiej restauracji, która z Ameryką ma wspólne jedynie kalorie odkładające się w biodrach konsumentów, złożył zamówienie. ... śpiewając. Zaskoczona kobieta wysłuchała, jakie to jedzenie u nich „świeże” i „kurczaczki” pyszne. Najlepsze jednak ów jegomość zostawił na koniec: „Przez te frytki chrupiące... oszalałem, chyba ukryliście w swoim oleju cały blask”.

Dosuwanie krzesła, kiedy partnerka zasiada do stołu, świadczy o kulturze osobistej mężczyzny, a nie o... niepełnosprawności kobiety

ABSURDALNOŚĆ feminizmu

Przyjęło się, że walkę o równe prawa (niezależnie od kontekstu) należy zawsze traktować jako dobro nadrzędne. W owej teorii można, moim zdaniem, szukać źródła absurdu feminizmu. A jak wiadomo, nonsensów tam nie brakuje: od pomysłu na osobny pas ruchu na drogach dla kobiet kierowców, przez zakazywanie osobnikom płci męskiej siusiania na stojąco, po propozycje reinterpretacji Pisma św.

Dzielni obrońcy status quo biorą do ręki sztandary, udają się na demonstrację i głośno wykrzykują: *Nie będziemy sprzątać! Nie będziemy gotować! Nie będziemy rodzić dzieci!* Ktoś, kto przypadkowo znajdzie się w środku tych wydarzeń, zapyta zdziwiony: „Co tu się właściwie dzieje?”

Cóż, heroiczna walka o izonomię osiągnęła wymiar niedorzeczny. Niedgdyś były to zmagania o prawo do edukacji, głosu czy antykoncepcji, dziś jest to

Wymiana Erasmus pozostaje cudownym doświadczeniem pozwalającym się młodym ludziom z całego świata poznać i zintegrować. Ale o zmianie zakorzenionych poglądów czy opinii mowy już nie ma...

Ach, te STEREOTYPY!

„Lepiej zaliczać się do niektórych niż do wszystkich” Andrzej Sapkowski „Krew elfów”

„Ten kto sądzi za wcześnie, osądza samego siebie” Jan Guillou „Królestwo na końcu drogi”

No ludzie! O McDonalddie można powiedzieć, że ma wszystko, ale nie blask.

Hit trafił oczywiście do internetu, a że on nigdy nie śpi i nic tam nie ginie, w ekspresowym tempie chłopak z głosem Martyniuka, tekstem na miarę Dody i chęcią przebicia się na salony niejakiej pani Krynickiej mówiącej, że wkładki domaciczne podlegają klauzuli sumienia fizjoterapeuty „bo tak”, stał się gwiazdą. Wyznawcy disco polo oszaleli, wydawcy rzeczonoego radia chyba też. Zaprośli kolegę Dawida do siebie, dali mu mikrofon, i kolejne wersy o korkach i libacji poszły w eter.

Do tej pory porządny obywatel kraju nad Wisłą po maturze szedł na studia, w mozołe, przez pięć lat zdobywał wiedzę, w blasku chwały otrzymywał tytuł magistra i otwierała się przed nim droga do... „McDonalda”.

Ów przykład pokazuje jedynie, że wchodzić trzeba z odpowiedniej strony: nie przez główne drzwi prosto do kierownika, z wymiętym CV, ale podjeżdżając od tyłu, z przyzycznym zamiarem huknąć tym, co się ma najlepsze – talentem, niekoniecznie cennym. Talentem wpisania się w masową pogoń za byciem znanym z bycia znanym, czyli z niczego.

Od ponad roku słyhać zewsząd o „dobrej zmianie”. Hmm... zmiany są od zawsze – pory roku się zmieniają, dzień w noc się zmienia, twarz nam się zmienia z wiekiem. Zastanawiam się jedynie, dlaczego gust nam się nie zmienia, tylko jest podzielony na rozmaite etapy i tylko one się zmieniają, w zasadzie następują po sobie w odpowiedniej kolejności.

Było disco polo, nie było, znów jest. Był PiS, nie było, znów jest. Mam nadzieję, że umiejętność samodzielnego myślenia też powróci.

MAGDALENA SKRZYNIARZ

udowadnianie samcom ich słabości i podrzędności. Feministki, tocząc batalię, stawiają sobie za cel równouprawnienie. Ale czy równość to zawsze najlepsze wyjście? Dla mnie „równość” wcale nie równa się „sprawiedliwość”...

Złośliwi mówią, że „feminizm kończy się wtedy, gdy trzeba wnieść lodówkę na czwarte piętro”. Nie uważam, żeby kobiety były w Polsce dyskryminowane. Co więcej, śmiem twierdzić, że mają nawet więcej przywilejów od mężczyzn, począwszy od niższego wieku emerytalnego, przez możliwość rozwoju jako matka/zona/gospodyni domowa, po aktywność zawodową na wielu polach. Mężczyzna wybierający się na urlop ojcowski lub roniący łzę w miescu publicznym wciąż pozostaje obiektem drwin.

To oczywiście, że kobietom należy się szacunek, a umniejszanie ich wartości ze względu na płeć to rzecz niedopuszczalna. Czyż nie jest nam, kobietom, przyjemnie, kiedy mężczyzna otwiera przed nami drzwi czy też chce zapłacić po kolacji, na którą nas zaprosił?

Zamiast doszukiwać się we wszystkim degradacji czy poniżenia, szanowne panie feministki powinny docenić dobre wychowanie i maniere panów. Nadal uważam, że dosuwanie krzesła, kiedy partnerka zasiada do stołu, świadczy o kulturze osobistej mężczyzny, a nie o... niepełnosprawności kobiety.

NATALIA PRZEWROCKA

wym, lepszym, często się wywyższają. Jeśli coś ich zachwyca, to wyłącznie dlatego, że w każdej chwili mogą udowodnić, iż... u nich jest znacznie lepiej. Kolega z zajęć po wygłoszeniu na jednym z oficjalnych spotkań, według mnie, nie najlepszej mowy był tak z siebie zadowolony, a nawet dumny, że gratulującego mu hiszpańskiego profesora potraktował lekceważąco, opierając się dumnie ręką o ścianę i mówiąc: „Oh, thanks...”.

Dla odmiany Francuzi, choć mówi się o nich, że bywają zadufani w sobie i żądają wręcz od innych posługiwania się ich językiem, przy bliższym spotkaniu okazują się niezwykle ciepłymi i towarzyskimi ludźmi. Ochoczo bratają się z innymi i chętnie porozumiewają się w innych językach.

Wiele osób ciągle nie potrafi się przystosować do tego, że zwierzęta funkcjonują z nami na co dzień w przestrzeni publicznej i że trzeba się dzielić z nimi dobrem wspólnym

Tak, jestem PSIARĄ...

Psiarz (psarze, psary, psiarczyki) to według „Słownika języka polskiego PWN” „miłośnik i zamiłowany hodowca psów”, a także „łowczy urządzający polowanie, mający pieczę nad psami myśliwskimi; w dawnych dworach magnackich i szlacheckich: specjalny służący pełniący tę funkcję”.

W okresie wczesnego średniowiecza grupa książęcej ludności służebnej sprawowała opiekę nad psami szkolonymi do łowów. Mimo że ową funkcję piastowano do XX wieku, pojęcie *psiarz* nadal jest żywe. Ale warto, myślę, pokazać je w nieco innym ujęciu.

Mój pies od dwóch lat towarzyszy mi każdego dnia. Poranny spacer, wspólne zakupy, wyjścia do kawiarni i wyjazdy na urlop... – dzielimy z „Zorą” prawie wszystkie chwile. Nawet gdy piszę ten tekst, pies zaczepta mnie, kładąc łapki na klawiaturze laptopa i zachęcając do zabawy.

Czy stałam się psiarą? Zdecydowanie tak. Jestem miłośnikiem zwierząt wrażliwym na krzywdy, jakie doznają ze strony ludzi.

Pojęcie *psiarza* z początków średniowiecza zostało współcześnie zaadaptowane w społecznym rozumieniu nieco inaczej. Moim zdaniem takie osoby odbierane są raczej prześmiewczo i niezbyt pozytywnie, szczególnie w miastach.

Po pierwsze psiarze to osoby zapatrzone w swojego psa, chcące mu przychylić nieba. Wiedzą wszystko o rasie, sposobach żywienia pupila i o psim fashion, są aktywne na forach, biorą udział w każdym wydaniu o tematyce poświęconej zwierzętom.

Dodatkowo łączą się w hermetyczne grupy uwarunkowane rasą swojego psa lub rejonem zamieszkania. Aby dołączyć do danego grona, nowy właściciel wraz z psem musi się mocno napracować. Bez akceptacji innych nie ma wspólnych spotkań...

Co stanowi podstawę tych zbiorowości?

Psiarze wiedzą absolutnie wszystko o psach pozostałych członków: z jakiej jest hodowli, jaki ma charakter, ile waży, jaką je karmie, na co ma uczulenie, czym lubi się bawić? Nie wiedzą natomiast zupełnie nic... o sobie nawzajem.

Od dwóch lat codziennie spotykam na spacerze te same osoby. Kocham ich psy jak własnego, ale czy myślicie, że znam chociażby imię właścicieli?

Nic bardziej mylnego. Za to o ich pupilach mogłabym książki pisać...

Oto zapis krótkiej scenki z przypadkowego spotkania dwóch psiarzy:

– *O jaki słodki piesek, czy mój może się przywitać?*

– *Oczywiście!*

– *To jest „Zora”.*

– *„Bąbel”, przywitaj się.*

– *Ooo, miłość od pierwszego wejrzenia (achy i ochy).*

– *Ile Twój ma? Mój rok kończy za tydzień.*

– *Moja ma 2 lata.*

I tak dalej...

Rozmowa trwa średnio kwadrans. Psiarz bywa otwarty, życzliwy i skory do zawierania znajomości dosłownie z każdym, pod warunkiem że nowo poznana osoba również ma psa.

Druga ważna kwestia to brak powszechnej sympatii okazywanej właścicielom czworonogów. Sądzę, że wiele osób ciągle nie potrafi się przystosować do tego, że zwierzęta funkcjonują z nami na co dzień w przestrzeni publicznej i że trzeba się dzielić z nimi dobrem wspólnym.

Nieraz czytam na forum: „Po co zabierać psa do sklepu czy kawiarni? Pies roznosi bakterie, stresuje się i szczeka”. Rzecz jasna wtedy rozpoczyna się burzliwa dyskusja zwolenników i przeciwników, a niekiedy padają ostre słowa, że gorsze od zwierząt w przestrzeni publicznej są jedynie mamuśki wraz ze swymi maluchami.

Jestem psiarą i zdaję sobie z tego sprawę, mam z tego powodu przyklejoną przez otoczenie łatkę. Nie obchodzi mnie to, gdyż wiem, że jeśli rozsądnie podchodzę do sprawy, to sama sobie niczego zarzucić nie mogę.

SYLWIA ŁUKASIK

50

► Hiszpanie uchodzą z kolei powszechnie za naród niezwykle hałaśliwy, spóźnialski, ale i bardzo otwarty. Niestety, prawdziwe są tylko dwie pierwsze cechy. Otwartość wobec kogoś ograniczają wyłącznie do własnych kręgów. Młodzi nie lubią obcokrajowców i wolą ich trzymać na dystans.

Okazuje się, że Hindusi, rzekomo zatwardziały chroniący „świętą krowę”, chętnie zamawiają w restauracji... wołowinę. Co więcej, wyznawcy hinduizmu w okresie Bożego Narodzenia z ochotą śpiewają piosenki o Jezusie („*Przecież to postać wykreowana w Ameryce*” – mówią).

Włosi mają za to opinię wiecznych lekkoduchów, lecz na każdym kroku próbują udowodnić, że niczym się od innych narodowości nie różnią. Ciekawostką pozostaje fakt, że spora część Włochów nosi okulary, mimo że nie ma ze wzrokiem żadnych kłopotów (podobną wyglądającą w okularach na bardziej inteligentnych...).

Anglicy, uchodzący za sztywnych, nudnych i poważnych jegomościów, w rzeczywistości szukają przygód i nowych przygód. Chętnie zawierają znajomości i potrafią wiele wybaczyć obcokrajowcowi mającemu z angielszczyzną niejakie trudności.

Meksykanie, mimo że głęboko wierzący, nie kryją... awersji do religii, co objawia się nawet niechęcią do celebrowania jakże skomercjalizowanych świąt Bożego Narodzenia. Mój współlokator Meksykanin nie krył niezadowolenia, gdy wraz z Niemką przystrajałyśmy mieszkanie świątecznymi ozdobami.

A co z nami, Polakami? Oczywiście, Polacy to wciąż złodzieje i pijacy! Nieważne, że przez pół roku nie kupiłam ani jednej butelki wódki i właściwie nie piłam alkoholu. Współlokatorzy wiedzieli lepiej, że gorzałka pozostaje moją miłością i że drinkuję o każdej porze dnia i nocy...

Wręcz z niedowierzaniem podsłuchiłam pewnego razu na zajęciach rozmowę Amerykanina

i Niemki, którzy zaśmiewali się z żartu. Usłyszałam tylko: „*Polak podchodzi do kasy...*” i sarkastyczny wybuch śmiechu. Okazało się, że panuje opinia, iż Polacy nigdy nie podchodzą do kasy z koszykiem towarów, gdyż zawsze je... kradną.

Wymiana Erasmus pozostaje cudownym doświadczeniem pozwalającym się młodym ludziom z całego świata poznać i zintegrować. Ale o zmianie zakorzenionych poglądów czy opinii mowy już nie ma. Jedyne, co można usłyszeć, to zapewnienie ze strony koleżanek i kolegów z grupy czy współlokatorów: „*Sylwia, nie odpowiadaj klasycznemu wizerunkowi przedstawiciela Twojego kraju*”.

Cóż, przyznaję, że ja także nie tak łatwo zmieniam zdanie o obcokrajowcach, których spotykam na swej drodze za granicą...

SYLWIA CZEKAJ

Odjechałam z piskiem opon. Włączyłam ulubioną płytę i w końcu mogłam się cieszyć z przyjemności prowadzenia samochodu

WCALE

nie trzymałam się blisko krawężnika!

Nie potrafi parkować, skręt w lewo sygnalizuje prawym kierunkiem, lusterka używa do poprawienia makijażu, w samochodzie ma taki sam bałagan jak w torebce, a gdy wjeżdża do garażu, to lepiej nie patrzeć...

Opinia przeciętnego mężczyzny o damskich umiejętnościach za kierownicą to litania wad i słabości. Żartom na ten temat również nie ma końca. Co z tym fantem zrobić?

To była udana wycieczka, ale wyłącznie do czasu, gdy grono panów postanowiło kupić sobie piwo dla przyjemniejszego spędzenia drogi powrotnej, co spowodowało, że za kierownicą usiadłam ja, kobieta z sześcioletnim stażem.

Zaczęło się dobrze, dopilnowałam wszystkiego: od ustawienia lusterek do zapięcia pasów, ba, nawet włączyłam światła...

W miarę szybko przyzwyczałam się do obcego auta i mknęłam autostradą do domu. Z tylnych siedzeń cały czas patrzyło mi na ręce trzech doświadczonych mistrzów kierownicy. Co jakiś czas dostawałam złotą radę, która nie była mi do niczego przydatna, bo przecież prowadzę, odkąd odebrałam z urzędu ów wspaniały dokument, na koncie nie mam żadnej stłuczki ani zarysowania samochodu, nie mówiąc już o mandacie.

Przyjmowałam owe wszystkie rady z uśmiechem na twarzy, dopóki nie dowiedziałam się, że „trzymam się za blisko krawężnika”. Tego było już za wiele. Ledwo minęłam znak witający nas z powrotem w Krakowie, zatrzymałam auto i grzecznie podziękowałam doradcom od spraw bezpieczeństwa za wspólną jazdę. Wycieczka dobiegła końca...

Odjechałam z piskiem opon. Włączyłam ulubioną płytę i w końcu mogłam się cieszyć z przyjemności prowadzenia samochodu.

Dlaczego stereotypowa kobieta bywa złym kierowcą? Podobno brakuje nam wyobraźni przestrzennej, decyzyjności, refleksu i dobrej koordynacji. Dziwne jest jedynie to, że autorami owych „naukowych” twierdzeń są pewni siebie mężczyźni, którzy drogowe popisy przypłacili już niejednym mandatem czy stłuczką.

A jakie są fakty?

Ze statystyk Komendy Głównej Policji wynika, że w 2011 r. kobiety były sprawcami zaledwie 19,9 proc. wszystkich wypadków na polskich drogach, a to oznacza, że lwia część wypadków spowodowali mężczyźni.

Kobiety prowadzą mądrzej, są ostrożniejsze i rzadziej przekraczają dozwoloną prędkość. Mają instynkt unikania zbędnego ryzyka i dbania o najbliższe otoczenie, a więc również o współpasażerów i pozostałych uczestników ruchu. Wielu psychologów wskazuje też na większą podzielność uwagi kobiet niż mężczyzn.

Badania pokazują ponadto, że kobiety przywiązują większą uwagę do znaków, za to mężczyźni podejmują większe ryzyko – jeżdżą bliżej innych samochodów, zmieniają pasy bez zasygnalizowania i częściej siadają za kierownicę po alkoholu.

Mężczyźni mają to szczęście, że już od najmłodszych lat interesują się techniką i motoryzacją. Ale jako nauczyciele wykazują się zdecydowanie mniejszą cierpliwością i dokładnością, więc postuluję, by kobiety nie bały się zawodu instruktora jazdy.

Przez wciąż powtarzane obiegowe opinie o tym, jak tragicznie jeździmy, nabywamy kompleksów, które nas później przytłaczają. Nie wierzymy we własne zdolności na drodze i jesteśmy wobec siebie bardzo krytyczne. To błędne koło. Niby chcemy zerwać z panującymi stereotypami, a jednak boimy się pokazania swoich umiejętności.

Co w takim razie zrobić?

Należy się wyżyć strachu przed prowadzeniem pojazdów. Przestańmy się bać przyspieszać, parkować na ciasnych parkingach i jeździć o najbardziej zatłoczonych godzinach. Jeśli wciąż nie czujemy się za kierownicą pewnie, to właśnie dlatego, że jeździmy za mało i nie ćwiczymy. Czas to zmienić.

Na szczęście liczba pań z prawem jazdy stale rośnie, same wybieramy samochody, kupujemy je za własne pieniądze, decydujemy o ubezpieczeniu i dbamy o przeglądy. Tym samym żywot mitu o beznadziejnej babie za kierownicą dobiega powoli.

PATRYCJA ŚWIĄDER

Nie wszyscy wiedzą, że po otrzymaniu e-maila, SMS-a czy połączenia telefonicznego z wyświetlonym numerem należy obowiązkowo, zwrótnie, zareagować...

SAVOIR-VIVRE minus 2.0

W korespondencji e-mailowej znane są dwie szkoły dobrego zachowania się. Przedstawiciele pierwszej – szanując czas osoby otrzymującej e-mail – w miarę szybko starają się odpowiedzieć na wiadomość albo czynią to z opóźnieniem, tłumacząc zwłokę różnymi względami, na przykład zdarzeniami losowymi, brakiem właściwego oprogramowania komputerowego lub nadmiarem liczby przyjmowanej korespondencji, zapominając, że w tym ostatnim przypadku zawsze można dokonać selekcji, gdyż niektóre e-maile mają znaczenie priorytetowe.

Stosując się do ściśle określonych i przyjętych zasad etykiety, z takimi osobami można i powinno się utrzymywać kontakt. Współpraca bowiem wygląda zawsze sympatycznie i satysfakcjonuje obydwie strony.

Brak czasu na przygotowanie i wysłanie odpowiedzi nie może być tutaj żadnym wytłumaczeniem. Prowadzi jedynie do samozadowolenia oraz do zaspokojenia własnego komfortu psychicznego.

Pojawiają się tutaj jeszcze dwa istotne problemy: ochota do kontynuowania korespondencji e-mailowej i celowość tego działania, ale to jest już zupełnie inna sprawa.

A reprezentanci drugiej szkoły, no właśnie...

Gorzej, jeśli ktoś – niestety – w ogóle nie odpowiada na e-mail do niego wysłany. Nadawca bije się wówczas z myślami, co się stało: czy to wiadomość nie dotarła do adresata lub potraktowana została jako spam, czy też ktoś celowo ją zlekceważył?

Jakakolwiek jest prawda, korespondencja e-mailowa traci wówczas bezpowrotnie na znaczeniu.

A wystarczyłoby zwykłe, krótkie: „Tak”; „Dziękuję”; „E-mail doszedł!”, albo coś jeszcze krótszego, chociażby postawienie wykrzyknika „!”, jak to uczynił swego czasu pewien francuski wydawca nagabywany przez Wiktora Hugo o losy „Nędzników”. Była to jakże lapidarna odpowiedź na znak zapytania „?” w liście pisarza... (Stanisław Jodłowski, *Zasady interpunkcji. Podręcznik (wydanie nowe, zmienione i poszerzone)*, red. Jan Godyń, Kraków 2002, s. 64, za: „Przekrój” 1952, nr 369, s. 10f).

Z etykietą dotyczącą korespondencji e-mailowej wiąże się prowadzenie rozmów telefonicznych za pomocą telefonów komórkowych, na których ekranach wyświetla się numer. I w tym wypadku zdarza się, że niektóre osoby nie widzą potrzeby oddzwonienia...

A co zrobić w sytuacji, gdy umówiona osoba regularnie spóźnia się na spotkanie lub w ogóle na konkretne spotkanie nie przychodzi?

prof. dr ZBIGNIEW PASZEK (gościnnie)

**Piękna jest mnogość nazywania
w różny sposób tych samych rzeczy...**

SZNYCLE, czyli KOTLETY MIELONE

W Krakowie nie chodzi się już po „fajki do trafiki” i nie wyciąga ciepłych bułeczek z „szabaśnika”. W Warszawie zaś rzadko chwyta się pióro za „obsadkę”. Zmieniają się realia, zanikają powoli regionalizmy. Ale nie wszystkie. Zdarza się, że niektóre (głównie te z Mazowsza) wchłaniane są przez polszczyznę ogólnoliteracką.

Dobrym przykładem obrazującym istnieje w języku polskim regionalizmów może być poniższy tekst...

Na *polu (dworze)* straszny mróz. *Duje (wieje)* silny i przenikliwy wiatr. Pan Mirek może i poleżałby jeszcze pod ciepłą pierzynką, ale nie dzisiaj. Dzisiaj musi wcześniej wstać i przygotować się na popołudniowy przyjazd *kuzyna (brata ciotecznego)* Janusza z Warszawy. A tu tyle na głowie. Żona Danusia rozpisała mu całą listę niezbędnych zakupów.

Wstaje więc nasz bohater, robi sobie śniadanie, zakłada *beretkę (beret)* i idzie *na nogach* (nigdy *na piechotę*) na pobliski targ. Ma tam zaprzyjaźnioną panią Halinkę, która sprzedaje najlepszą w całym mieście świeżą *wękę (bułkę paryską)*. Dzisiaj zaproponowała nawet: „*Panie Mirku! Może pan skosztuje (spróbuje) chrustu (faworków)? Piekłam wczoraj do wieczora!*”.

Pan Mirek nie tylko *skosztował*, ale i kupił pół kilo smakołyków.

Ale czas goni. Teraz szybko do mięsnego znajdującego się w hali targowej. Trzeba kupić *golonko (golonkę)* i trochę mięsa mielonego, żeby Danusia *sznydle (kotlety mielone)* przygotowała.

Dwa stragany dalej pan Mirek ujrzał skrzynię z dorodnymi *ostrężynami (jeżynami)*, więc stanął w kolejce, by je kupić. Przed nim jakiś jegomość prosił o 20 deko *jagód*. . . „*Pewnie krawciarz (warszawiak)*” – pomyślał rodowity krakus.

W końcu przyszła kolej na pana Mirka: oprócz *ostrężyn* postanowił kupić *kawona (arbuza)* i trochę *borówek*. Sprzedawczyni od siebie dodała jeszcze *kwaśne mleko (zsiadłe mleko)* i zapakowała wszystko do *woreczka (siatki)*.

Na koniec pan Mirek wstąpił na chwilę do cukierni po *piszingerę (andrutę)* i *pomadki (czokoladki)*.

Po powrocie do domu rozluźnił *krawatkę (krawat)* i postanowił *ogłdnąć (obejrzeć)* ulubiony serial. Zanim jednak to zrobił, umył ręce w łazienki i *przyglądając* się nowym, kolorowym *flizom (płytkom)*, zastanawiał się, gdzie przed wyjściem do sklepu zostawił *kapcie (pantofle)*. „*Może przy drewnianym nakastliku (szafce nocnej)?*” – powiedział głośno do siebie.

„*Miasto moje, a w nim najpiękniejszy mój świat, najpiękniejsze dni*. . .”. Piękna jest też mnogość nazywania w różny sposób tych samych rzeczy. I choć spory i przekomarzania się na temat regionalizmów wciąż trwają, chyba dobrze przez język podtrzymywać i pielęgnować ideę „małej ojczyzny”.

ADRIANNA SZUSTAK

Biegne do autobusu, żeby się nie spóźnić na uczelnię, wsiamam, ledwo znajduję w ścisłym miejscu koło okna... Nagle stojąca obok dziewczyna, na oko 24-letnia, donośnym głosem, ku uciesze jednych, a utraپieniu drugich, wypomina chłopakowi, jaki jest nieogarnięty, że znowu zostawił burdel w kuchni i że ma dosyć niespłukiwania za sobą wody w toalecie. A w ogóle, to powinien spoważnieć, bo ona, owszem, chciałaby mieć kiedyś dziecko, ale nie od razu dwójkę!

Idę ulicą i zastanawiam się, czy mijający mnie właśnie chłopak nie jest może tym, który zostawił wczoraj burdel w kuchni i syf w toalecie...

**Niby ciągle pragniemy prywatności,
a sami ją chętnie udostępniamy nieznajomym!**

Co jest z nami NIE TAK...?

W drodze powrotnej do domu nolens volens jestem świadkiem sytuacji, kiedy starsza kobieta opowiada komuś głośno przez telefon w autobusie, że NFZ to dziadostwo, że jej nowy urolog „jakoś jej nie podchodzi” i że „wolała poprzedniego, bo młodszy był i lepiej się jej z nim rozmawiało”.

Na rondzie Mogińskim znowu doświadczam niecodziennego widoku: dziewczyna rzuca plecakiem o ziemię i krzyczy wniebogłosy do chłopaka: „Jak mógłś mnie zdradzić?!”. Wieczorem z pewnością opisz to na Facebooku, ona – że facet jest nic niewartym gnojkiem, on – że dziewczyna była miłośniczką jego życia i nigdy o niej nie zapomni. A potem na profilu wstawi jej obrazek z kwiatkami na przeprosiny... Za dwa dni ona, uspokojona, napisze, że „kocham swojego misiaczka i że jest on jej całym życiem”.

Wieczorem crolluję tablicę główną na tym portalu społecznościowym i już wiem, że pewna Kasia 20 minut temu zaczęła rodzić! „Ale konieczna okazała się cesarka” – informuje siostra. Dumny tata pół godziny później wstawia zdjęcie nowo narodzonego nagiego chłopca z podpisem: „Dziewczyny będą się uganiać za tak hojnie obdarzonym przez naturę mężczyzną!”.

Niby ciągle pragniemy prywatności, a sami ją chętnie udostępniamy nieznajomym! Co jest z nami nie tak...?

GABRIELA MOSKAŁA

Godz. 8.05. O rany, nie wierzę własnym oczom, na parkingu nie ma samochodu mojego szefa. A więc dzisiaj się udało...

Kilka scen Z ŻYCIA MATKI PRACUJĄCEJ

5.30 – pobudka, czas wstawać. „O nie!” – krzyczy moje drugie „ja”. – „Jeszcze nie teraz, za chwilę” – proszę samą siebie o dodatkowych pięć minut.

5.45 – zrywam się i wiem, że straciłam kwadrans i chyba nie zdążę do pracy...

Za chwilę zaczynają bić dzwony w pobliskim kościele, zapraszając na poranną mszę. Owe dźwięki zawsze wzbudzają we mnie dziwny niepokój. Może dlatego, że od tej chwili mam jedynie pół godziny na to, by wypić kawę, zjeść tost z dżemem i przyszykować ubranie dla synka. Do tego śniadanie dla męża i koszula do wyprasowania.

O właśnie, widzę, że mąż wstaje i jak zwykle mówi, iż ma jeszcze dużo czasu. Cóż, jemu toaleta i golenie zajmuje kilka minut...

6.20 W pośpiechu prasuję koszulę i ubieram synka. Za chwilę obaj są gotowi do wyjścia, zaczekają na mnie w samochodzie.

Pakuję śmieci i jednocześnie wkładam buty („Kurczę, ten lewy trochę mnie ciśnie, ale trudno, w tych obcasach wyglądam nieco szczuplej. Zniosę ból, choćbym miała biec kilometr za autobusem, na który jeśli zaraz nie wyjdę, raczej nie wybiegnę, to na pewno się spóźnię...”).

Biegne po schodach i jak co dzień spotykam sąsiada z pieskiem. Zwierzętko skacze, chcąc się przywitać. Wygląda na to, że mnie lubi. Jednak mój nowy płaszczek znajduje się w niebezpieczeństwie. Cóż, po chwili rzeczywiście błyszczą na nim mokre ślady łap...

Jeśli już, to bym wolała po wyjściu z domu spotkać mojego ulubieńca Taro, piękniego czarnego labradora mieszkającego piętro niżej. To pies „oaza spokoju”, na mój widok merdający ogonem i dający się pogłaskać.

Uff, jestem wreszcie na dole. Nerwowo szukam samochodu. „Pewnie mąż znowu zaparkował z drugiej strony bloku” – złoścę się. Biegne z olbrzymim worem śmieci, który obją się o każdy napotkany krzaczek. O matko, teraz wiem, że już na pewno nie zdążę do pracy, serce zaczyna bić szybciej („Czyżby za mocna była ta kawa...?”), a szpilki powoli dają się we znaki.

Zdyszana, jestem wreszcie przy samochodzie, możemy jechać do łobka. Przed nami codzienny rytuał: kurteczka, czapeczka, bućki, kotek pod pachę i buzi na pożegnanie. Na widok malutkich stópek ochoczo drepających w stronę sali serce mi ściska, a do oczu napływają łzy...

Nie ma jednak czasu na sentymenty, za chwilę odjeżdża mój autobus. O, widzę go już z daleka. Zdążyć czy nie zdążyć? Na szczęście pan Tadek poczekał.

Uff, teraz można chwilę odpocząć i zebrać myśli.

Noga zaczyna boleć coraz bardziej, a o miejscu siedzącym można tylko pomarzyć. Ale to dobrze, nikt w tej sytuacji nie zauważy śladów łap nieokrzesanego pieska na moim płaszczku...

Rany boskie! Korek! Teraz jest pewne, że się spóźnię do roboty. Kto wymyślił te okropne czerwone światła na skrzyżowaniach palące się tak długo! Jakby tego było mało, znowu roboty drogowe, więc niecierpliwie czekamy, aż koparka łaskawie pozwoli nam przejechać. Oczywiście wyobraźni widzę naburmuszoną minę mojego szefa.

Wreszcie jestem na miejscu, na zegarze wybiła godz. 8.05. O rany, nie wierzę własnym oczom, na parkingu nie ma samochodu mojego szefa. A więc dzisiaj się udało...

ANNA ANKLEWICZ